

**PROF. GRZEGORZ
W. KOŁODKO**
CO NAM DAŁ SOCJALIZM

PROF. PAUL POAST
SCHYLEK USA I ŚWIAT
NA WOJNIE

PROF. WOJCIECH KULESZA
MIT SAMCA ALFA

JACEK PAŁKIEWICZ
10 KULTOWYCH
WYPRAW

KONIEC KŁAMSTWA I CHAMSTWA



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115



9 771509 311300

52 >

• TEATR CAPITOL •

RETRO sylwester 2023/2024 z Hirkiem Wroną!



KOMEDIA ODLOTOWA, CZYLI LUMBAGO

Duża Scena - g. 17:30 i 21:00

SOLD OUT



Prezent urodzinowy

Scena Mniejsza - g. 18:00 i 21:30

SOLD OUT



NASTĘPNEGO DNIA RANO

Scena Amfiteatr - g. 21:30

SOLD OUT

Do wieczornych spektakli
retro impreza z Hirkiem Wroną do samego rana!

• KUP



• www.teatrcapitol.pl/sylwester •

Partneri Medialni



Partnerzy Teatru



W obronie łupów

Czy kogoś zdziwił szturm Kaczyńskiego i pisowskich polityków na siedzibę TVP? Przez osiem lat prezes PiS był przecież faktycznym szefem tego medium. I przyzwyczaił się, że wszystko jest jego. Pracownicy tzw. telewizji publicznej też. Uważał, że są żołnierzami partii. No to byli. Teraz będą musieli zapłacić za kłamstwa pisane na Nowogrodzkiej.

Jeśli brakowało dowodu, że dalsze trwanie tych mediów nie ma żadnego sensu, to Kaczyński, Morawiecki, Sasin i Macierewicz, jadąc na Woronicza, pokazali, że pora przerwać tę hucpę.

Kaczyński kolejnymi awanturami chce za wszelką cenę utrzymać partię w ryzach. Konsolidacja przez zagrożenie. Bo poza grupą, która dla prezesa jest gotowa na najgorsze lajdactwa, wielu polityków PiS wie, że to Kaczyński jest powodem porażki. Cyników, którzy wstąpili do partii władzy, nie interesują fobie i fochy prezesa. Nie chcą przejść do niechlubnej przeszłości. Przycupnęli, nie widać ich na czele walczących z nową władzą. Szukają nowego miódodajnego ula.

Gdy PiS miało władzę nad wszystkim, było groźne. Wielu Polaków bało się działań partii, które były bliskie metodom mafii



Drodzy Czytelnicy,
życzymy Wam, by nowy, 2024 rok
był wreszcie lepszy!
Dla Polski i dla nas.
Białe znowu będzie białe.
A czarne trafi na swoje miejsce.

Politycy, pamiętajcie,
że polityka to służba.
A my nie zapominajmy,
że życzliwość umiła życie.
Przytulamy noworocznie
Zespół „Przeglądu”

i grup przestępczych. Jeśli nadszedł czas elementarnej sprawiedliwości, to wielu nominatów PiS czeka sala sądowa.

Tematem dnia 20 grudnia, gdy piszę ten komentarz, są zmiany w mediach publicznych. Obserwuję bój o publiczną telewizję. Pełna paranoja. Bronią jej ci, którzy kryminalnymi metodami, kłamstwami i chamstwem doprowadzili ją do stanu agonalnego. Taka ona jest dziś publiczna, jak jej obrońcy są demokratami i strażnikami wolności.

Walka toczy się o telewizję naprawdę publiczną. Publiczną, czyli jaką? Na przykład także naszych czytelników. Taką z prawdziwymi informacjami. Z ograniczeniem udziału polityków i celebrytów, którzy wypowiadają się na każdy możliwy temat. Łatwiej to napisać niż zrobić. Nie będzie w Polsce prawdziwie publicznych mediów, dopóki nie przetnie się liny między politykami a mediami. To muszą być dwa odrębne

światy. Jeśli tych wężi się nie rozerwie, zmiany będą polegały tylko na tym, że inna partia będzie rządzić mediami.

Prawdziwy węzeł gordyjski. Jak odciąć polityków od mediów?

BAKOWSKI



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (4/2023)



„Troje na jedną”
z **EWĄ ŁĘTOWSKĄ**
„Ja jestem stałocięplna”

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

MEDIA

8 **Bój o TVP**

9 **TVP, czyli szpital zakaźny**

– rozmowa z Jackiem Snopkiewiczem

KRAJ

14 **Tak upada smoleńska religia**

Koniec hucpy Macierewicza

18 **Rzecznik na bakier z prawem**

Przypadki Wojciecha Andrusiewicza

20 **Wierzyliśmy, że socjalizm da się naprawić**

– rozmowa z prof. Grzegorzem W. Kołodką

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

26 **Schyłek USA i świat na wojnie**

– rozmowa z prof. Paulem Poastem

ZAGRANICA

30 **Efekt jo-jo**

Światowe wybory 2024

38 **Jałtańska gafa Surkisa**

Euro 2012

HISTORIA

34 **Kwestia sumienia**

Kanada przystąpiła dla upowców

PSYCHOLOGIA

42 **Spółeczna epoka lodowcowa**

– rozmowa z prof. Wojciechem Kuleszą

OBSERWACJE

45 **Dziesięć kultowych wypraw**

Jacka Pałkiewicza

48 **Fenomen planszówek**

Gry rodzinne i towarzyskie

KULTURA

50 **Żart pisze się sam**

– rozmowa z Olgą Drendą

54 **Kino. Zaległości dla inteligenta**

Śmierć przyspiesza, pociągi się spóźniają

57 **Culturalia**

58 **Nagusy w winiarni**

„Bachanalia” Tycjana

66 **Julia Curyło. Panna młoda,**

jednorożec i inne światy

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**

W obronie łupów

13 **Jan Widacki**

Abp Gądecki w oblężonej twierdzy

17 **Andrzej Romanowski**

Koniec cyrku

29 **Roman Kurkiewicz**

Stać nas na lepszą, sprawiedliwszą Polskę

33 **Tomasz Jastrun**

Ogluszeni

41 **Wojciech Kuczok**

Czarna dycha

53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**

Jak rozpoznać anioła

42

PSYCHOLOGIA

SPÓŁECZNA EPOKA LODOWCOWA

– rozmowa
z prof. Wojciechem Kuleszą



45

OBSERWACJE

DZIEŚIĘĆ KULTOWYCH WYPRAW JACKA PAŁKIEWICZA



50

KULTURA

ŻART PISZE SIĘ SAM

– rozmowa
z Olgą Drendą



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 8bea9ebd81



Zelenki na krawędzi

Na początku konfliktu – w momencie napaści Rosji na Ukrainę – doświadczenie aktorskie Zełenskiego było jego sporym atutem. Potrafił pokazać się na salonach – rozmawiać z wielkimi tego świata; odpowiednio modulować głos, nadawać dramaturgię i powagę temu, o czym opowiadał.

Potem to bycie showmanem zaczęło coraz bardziej ciążyć, ponieważ coraz bardziej uwidaczniano brak doświadczenia politycznego – bo polityka to jednak nie tylko teatr, ale i realne działania. Reformy i modernizacja kraju. Przypomnijmy, że przed wybuchem wojny Zełenski nie miał praktycznie żadnych znaczących sukcesów w tej materii.

Do tego trzeba chyba dodać, niestety, postsowiecką mentalność i rozdęte ego, które nie pozwala mu przyznać się do błędów. Przykładowo nikt nie winił Ukraińców za Przewodów – wszak bronili się i wystarczyło przeprosić za ten niefortunny wypadek. Wybrano jednak pójście w zaparte i całość stała się tragifarsą. Co gorsza dla samej Ukrainy, Zełenski zaczyna pomijać Żołuznego w komunikacji z innymi generałami i ma to opłakane skutki. Wprowadza ferment i chaos w armii.

Postsowiecka mentalność to m.in. tolerowanie rozdętego do monstrualnych rozmiarów łapownictwa wewnątrz własnego państwa czy szanowanie przede wszystkim silnych. To ostatnie objawiło się w szybkiej zmianie „kluczowego” europejskiego sojusznika – na tego, który może dać więcej, czyli niejako przeorientowanie się z Polski na Niemcy.

Należy też zaznaczyć, że to światowi liderzy, w tym polscy, i media zrobili Zełenskiemu sporą krzywdę – bo całym możliwe, że na jakimś poziomie on faktycznie uwierzył, że jest obrońcą światowej demokracji. Zrobili z niego quasi-bóstwo; wynieśli go na piedestał, z którego nie chce – a może już nawet nie potrafi – samodzielnie zejść.

Bogusz Dawidowicz



Co z tą policją?

Od chwili zakończenia działalności Milicji Obywatelskiej i powstania policji wszystko przebiegało zgodnie z planem. Ci sami ludzie, ale pod innym szyldem, nadal dzielnie pilnowali porządku publicznego, walcząc jednocześnie z ogromną przestępczością. Sukcesów nie brakowało, a i notowania w społeczeństwie były wysokie. Kiedy postanowiono wprowadzić nowy podział administracyjny, a przy okazji wprowadzono powiaty, czyli nową czapę polityczną, policja zaczęła stawać się narzędziem politycznym. Przez ponad dwie dekady pchano swoich do tej służby, chociaż nie mieli specjalnego zapału. Ta maszyna jeszcze jakoś funkcjonowała, ale wszystko szło coraz wolniej. Nie było zachęty do pracy, bo zamiast kierować pieniądze do jednostek terenowych, aby tam policjanci dobrze zarabiali, płacono tym, którzy kwitki przekładają, a nie funkcjonariuszom prowadzącym postępowania przygotowawcze czy ze służb patrolowych. Nazbierało się tego bardzo dużo. I trudno będzie to wszystko uporządkować, bo jaki może być poziom policji, skoro szuka się ludzi po urzędach pracy?

Andrzej Kościński

ZDJĘCIE TYGODNIA



Muzułmanki obserwują redyk, czyli uroczyste wyjście pasterzy ze stadami owiec na wypas, podczas 54. Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich. Jest to jedno ze zdjęć roku Agencji East News.

Sąd Okręgowy w Warszawie skazał Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika na dwa lata pozbawienia wolności za liczne przestępstwa w tzw. aferze gruntowej. Skazani wyroku nie uznają, co w wypadku polityków PiS nikogo nie dziwi. A prezydent Duda może ich ułaskawić po raz drugi.

Co najmniej 111 osób zmarło w wyniku interwencji policji w ciągu ostatnich pięciu lat. Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich zajmowało się tymi przypadkami śmierci. Przemoc w policji eskaluje, podobnie jak mactactwo. Sprawcy są chronieni, postępowania umarzane.

Premier Tusk powołał nowych szefów służb specjalnych. Szefem ABW został **płk Rafał Syrysko**, szefem Agencji Wywiadu **płk Paweł Szota**, Służby Kontrwywiadu Wojskowego **gen. Jarosław Stróżyk**, a Służby Wywiadu Wojskowego **płk Dorota Kawecka**.

Prezydent Duda, wbrew apelom hierarchów Kościoła, podpisał przygotowaną przez koalicję rządzącą ustawę o finansowaniu in vitro ze środków publicznych.

Cztery zakony żeńskie w USA złożyły pozew przeciwko producentowi broni Smith & Wesson. Zakonnice występują jako akcjonariuszki, bo kupiły ponad 1 tys. akcji tego producenta broni. Chcą doprowadzić do ograniczenia liczby ofiar masowych mordów.

Zmarł ksiądz prałat dr Wiesław Aleksander Niewęglowski. Założyciel

Duszpasterstwa Środowisk Twórczych. Związany z mediami, doprowadził do integracji i współpracy organizacji dziennikarskich w sprawach dotyczących etyki. Szukał dróg porozumienia. Otwarty, życzliwy, z wielkim poczuciem humoru. Działal ponad podziałami.

Wszystkim narzekającym na drożyznę dedykujemy informację o zarobkach Adama Glapińskiego, prezesa NBP. W 2022 r. zarobił on 1 317 000 zł. A do tego jeszcze nagrody. Jakież 700 tys. zł. **Glapiński skutki inflacji zna tylko z raportów.**

Maciej Lasek został wiceministrem funduszy i polityki regionalnej oraz pełnomocnikiem rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Z funkcją pożegnała się małopolska kurator oświaty **Barbara Nowak**. Robiła, co chciała, bo miała pełne poparcie PiS i ministra Czarnka. W głupoty, które głosiła, trudno uwierzyć. Ale internet utrwalił je dla potomnych.

Stanisław Karczewski, były marszałek Senatu, lekarz, dorobił w 2022 r. w POZ i specjalistycznej przychodni 260 tys. zł. Jako senator, emeryt i lekarz otrzymał łącznie 600 tys. zł.

Sąd w Oławie skazał na rok bezwzględnej więzienia opiekunkę kundelka Aksla, która, nie podejmując leczenia, doprowadziła psa do stanu agonalnego.

42 mln zł przeznaczyła była minister finansów Magdalena Rzeczkowska na nagrody dla pracowników w 2023 r.

PRZEBŁYSKI

Piesiewicz przyblokowany

Jaki będzie los prezesa PKOl Radosława Piesiewicza? Wiemy, jaki powinien być. Torba i kij. I koniec z tym wstydem. Piesiewicz został wybrany pod presją kancelarii Dudy na miejsce Andrzeja Kraśnickiego.

Przez wiele lat kierowania Polskim Komitetem Olimpijskim Kraśnicki nie brał żadnego wynagrodzenia. Przyszedł Piesiewicz z wielką pensją, premiami i prowizjami od kasy, którą miał dać eksminister Sasin. Nie zdąży.

Piesiewiczowi tak się spodobało w PKOl, że chciał się tam zabetonować. Do 31 października 2032 r. Wszystko było dogadane z prezesami kilku związków sportowych. Ale nie takie numery z nowym ministrem sportu Sławomirem Nitrasem. Bezcenne plany Piesiewicza zostały zablokowane. A torba ciągle czeka.



Generałowie wygrywają na mapach

Pamiętacie gen. Waldemara Skrzypczaka, jak w TVN z red. Konradem Piaseckim na tle wielkiej mapy wygrywały wojnę na Ukrainie? We dwóch. Wystarczyły im strzałki i pałeczki do wskazywania kierunków zwycięskich ataków. Jak ktoś chce sobie obejrzeć te pokazy, znajdzie je w internecie. Tylko tam. Bo w realu mamy, co mamy. A gen. Skrzypczak mówi teraz, że „Ukraina na pewno nie wygra na polu bitwy, bo nie ma odpowiedniego potencjału”. Gdyby to powiedział rok temu, byłby ekspertem. A tak jest tylko echem cudzych opinii. Choć to i tak lepsze od wynurzeń gen. Polki, który ciągle gada jak wczesny Skrzypczak.



Loteria dla swoich

Czy z oferty Totalizatora Sportowego korzystają tylko smakosze dojnej zmiany? Byłoby to pytanie absurda, gdyby nie reklamowy zwrot firmy kierowanej od 2017 r. przez Olgierda Cieślika tylko w tę stronę. Gdzie byli, i to po wielokroć, ogłoszenia Loterii Świątecznej? W tygodnikach „Sieci” i „Gazeta Polska”. Nieprzypadkowo.

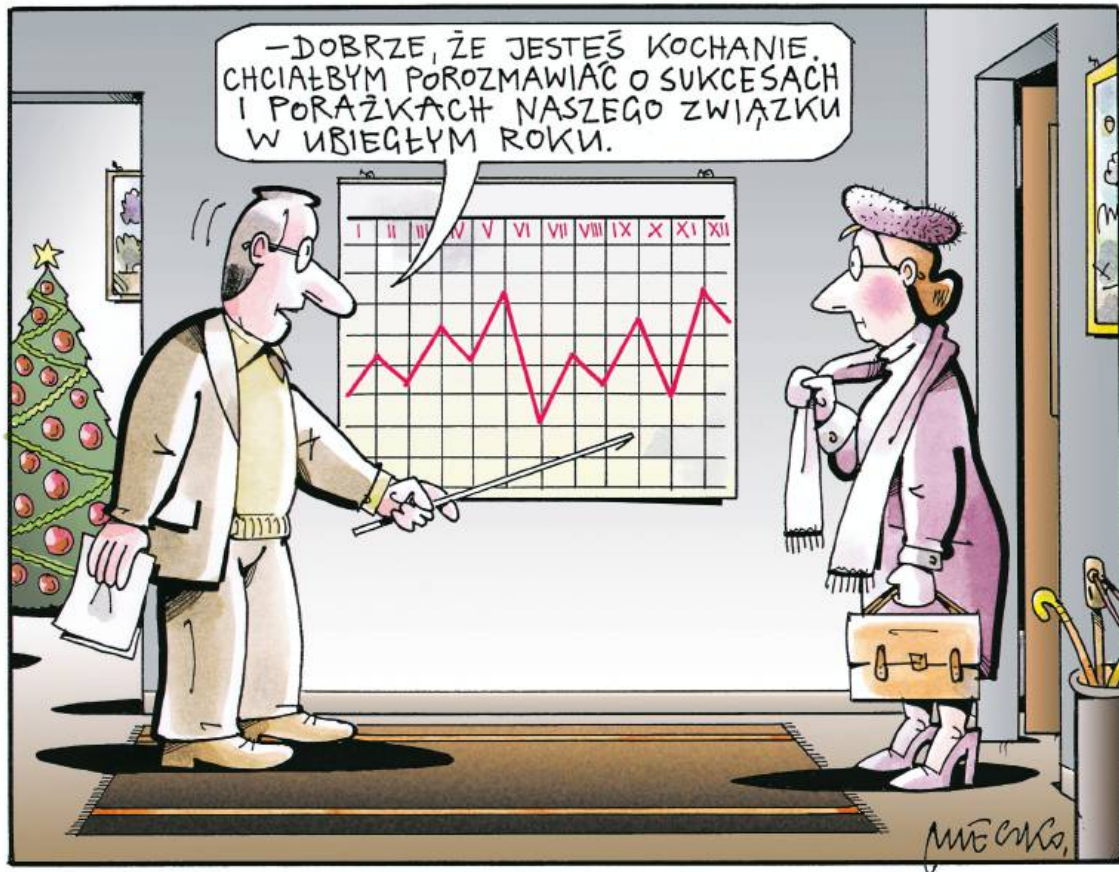
Totalizator Sportowy za rządów PiS, podobnie jak wszystko, co ta partia przytuliła do pierśi, traktował większość Polaków jak niewart

zainteresowania margines. Za tę jednostronność w kierowaniu reklam i promocji przyjdzie zapłacić posadami. Ale partyjnej łaty na szyldzie TS szybko się nie pozbędzie.

Biedni milionerzy

Wielu ludzi w Polsce ciągle żyje w biedzie. I po kilka razy ogląda każdą złotówkę. Ale to nie oni są na czele lamentujących. Najbardziej skarżą się na swoją niedolę rozmaici artyści. Bo ich emerytury są często na poziomie minimalnej, która od 1 kwietnia 2023 r. wynosi 1588,44 zł. Dlaczego tyle? Bo mimo ogromnych dochodów z występów, koncertów, nagrań, reklam nie odprowadzali składek do ZUS. Czyli wzięli się na gapę. Zamiast skruszyć czy odrobiny refleksji są teraz jęki i odwracanie kota ogonem. Jaki ten ZUS straszny. Bo Krzysztof Cugowski dostaje 1722 zł emerytury, Ryszard Rynkowski – 1277 zł, Maryla Rodowicz – 1917 zł. Chcieliby dopłaty od państwa. Czyli od tych, którzy płacą składki. Ale naród nie chce się dolożyć. Zostaje Mentzen z Konfederacji. Gdyby rzadził, nie byłoby ZUS. A więc i placu artystów.





PYTANIE TYGODNIA | Czy rząd Tuska może liczyć na lojalność urzędników?

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,

politolożka, Uniwersytet Warszawski

Oczywiście należy pamiętać, że w Polsce rozbrojono korpus służby cywilnej i zepsuto szkołę, która miała kształcić urzędników. Chcąc ująć sprawę zwięźle: można założyć, że najwyższy szczebel urzędniczy zostanie zwolniony i zastąpiony nowymi ludźmi. Jednakże pewna pamięć DNA korpusu służby cywilnej na pewno była, jest i będzie. Pytanie, które trzeba dziś zadać, to jak ten korpus odbudować, żeby zapewnić w niedalekiej przyszłości systemową ciągłość działań państwa niezależnie od kolejnych zmian władzy.

PROF. ROBERT ALBERSKI,

politolog, Uniwersytet Wrocławski

W modelu charakterystycznym dla demokracji zmiana władzy powinna oznaczać tyle, że zmienia się najwyższy szczebel decyzyjny w ministerstwach. Powinniśmy mieć urzędników służby cywilnej, którzy są apolityczni, dzięki czemu ich pozycja zawodowa jest stabilna. To oznacza, że pracują z każdą władzą, która w demokratycznym trybie obejmuje rządy. Próbowano w Polsce taki model stworzyć. Mieliśmy ustawę o służbie cywilnej, a nawet szkołę, która kształciła urzędników. Niestety, ten system awansu urzędniczego leży dziś w gruzach. Dlatego nie ma

jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, na ile nowy rząd może polegać na urzędnikach. Wszystko zależy od tego, jak bardzo przez ostatnie osiem lat udało się PiS skolonizować aparat administracyjny. Należy jednak podkreślić, że nie jest to wyłącznie sprawka PiS. To wynika z modelu, który kształtował się przez ponad 20 lat i umożliwił partii Kaczyńskiego wciśnięcie gazu do dechy.

PAWEŁ KASPRZAK,

działacz społeczny, współzałożyciel Obywateli RP

Każda władza może liczyć na lojalność urzędników. Jeśli już jesteśmy przy takiej retoryce, że obecnie dokonuje się transformacja na miarę wydarzeń z 1989 r., to warto przypomnieć, że rząd Mazowieckiego musiał mieć do czynienia z postkomunistyczną kadrą urzędniczą, czego wszyscy się obawiali. Większych zgrzytów jednak nie było. Wszystko zależało od urzędu i charakteru ludzi. Weźmy trzy przypadki. Policja w ogóle nie stawiała się nowej władzy i wykonywała pokornie rozkazy PiS. Z drugiej strony mieliśmy kadry w sądach, które stawiały opór, kiedy władza zaczęła demolować sądownictwo. Na końcu mamy Telewizję Polską. Oprócz pojedynczych przypadków ludzi, którzy trzasnęli drzwiami, nie chcąc robić propagandy, masa osób nie widziała powodu, dla którego miałyby odejść. Nie będą go widzieć również teraz.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Bój o TVP

Robert Walenciak

To nie jest zaskoczenie. Gdy piszę te słowa, w środę, 20 grudnia, w siedzibie TVP na Woronicza przebywa przewodniczący nowej rady nadzorczej adwokat Piotr Zemła oraz grupa posłów PiS. Zemła przejmuje władzę, a postowie (PiS) bronią TVP własnymi ciałami.

Tak miało być. Telewizja publiczna miała zostać odebrana PiS, było to jednym z postulatów łączących partię obecnej koalicji. Takie były zresztą oczekiwania milionów wyborców. Miało to swoją przyczynę. PiS przekształciło TVP w partyjną szczytnię, której jedynym przestaniem było wychwalanie Kaczyńskiego i PiS, a zohydowanie wszystkich, którzy mu zagrażają. Z Donaldem Tuskiem na czele. Robiono to bez umiaru i bez kultury. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z PRZEGLĄDEM tydzień temu porównywał propagandę TVP do propagandy z roku 1968.

Dziennikarze TVP Info przekraczali wszelkie granice partyjnej służalczości i zaangażowania. Mylili swoje role. A to, co można zaakceptować w TV Republika, nie może funkcjonować w medium publicznym, od którego wymaga się powagi, bezstronności, szacunku dla wszystkich Polaków.

To bój o zachowanie partyjnych wpływów, o obronę partyjnego radiowęzła i o miliony dla wykonawców tego zadania.

W tym sensie nowa koalicja nie miała wyjścia. Mogła zostawić pisowską TVP, godząc się na codzienny festiwal kłamstw i pomył, albo próbować coś zmienić.

Zdecydowano się na zmianę. Najpierw Sejm przyjął uchwałę wzywającą do przywrócenia standardów w mediach publicznych oraz Polskiej Agencji Prasowej. Na jej podstawie oraz korzystając z istniejących luk prawnych, nowy minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz zwołał walne zgromadzenie i odwołał rady nadzorcze oraz zarządy mediów publicznych. Tak wyjęto PiS z rąk wygodne narzędzie polityczne.

Gdy piszę te słowa, walka jeszcze trwa. W siedzibie TVP zgromadzeni są postowie PiS, Kaczyński woła, że broni niezależności dziennikarskiej, wolności słowa, pluralizmu.

Wolne żarty. Dla niego niezależność dziennikarska jest wtedy, gdy dziennikarz służy mu za podnóżek. Gdy PiS doszło do władzy, w jedną noc przegłosowało ustawy, dzięki którym przejęło media publiczne. A potem wyrzuciło z telewizji i radia kilkuset dziennikarzy. W to

miejsce weszli ludzie z nadania partii. PiS miało osiem lat, by zbudować wzorcowe media publiczne, zwłaszcza że wymyśliło model zasilania ich publicznymi pieniędzmi. Ale zamiast tego zbudowało partyjną telewizję i radio, którego nikt nie słucha. Dziś słuchalność wszystkich stacji Polskiego Radia, łącznie z Jedynką, nie sięga 10%, to mniej niż osiem lat temu miała sama Trójka.

PiS tak walczyło o pluralizm w mediach, że najpierw spacyfikowało te publiczne, a potem przejęło (via Orlen) media regionalne, wzięło pod but duże portale, niewiele brakowało, a przejęłoby TVN. To była droga węgierska, całkowitego podporządkowania mediów, co jednak z różnych względów się nie udało. Dziś więc politycy PiS są ostatnimi, którzy mogą mówić o niezależnych mediach.

Widać to zresztą na ulicy – na apele, aby bronić pisowskich mediów, odpowiedziała garstka działaczy. I tyle. Każdy przecież widzi, o co tutaj się walczy. To bój o zachowanie partyjnych wpływów, o obronę partyjnego radiowęzła i o miliony dla wykonawców tego zadania.

A dlaczego ten bój jest tak zażarty? Dlatego, że Kaczyński wciąż gra w tę samą grę – wszystko albo nic. My patrioci, a oni zdrajcy. Dla niego wojna jest lepsza od porozumienia, od konsensusu. A mity – o obaleniu rządu Jana Olszewskiego, o zamachu smoleńskim, a teraz o zdrazieckim Tusku – są jak tlen.

Zwróćmy uwagę, że środowisko PiS, w tym prezydent Duda, nigdy nie wyszło z propozycją mediów publicznych dla wszystkich, a przynajmniej takich, które szanowałyby inny punkt widzenia. Tymczasem gdyby zbudowano porządne media publiczne, niezależne, cieszące się poparciem różnych środowisk, byłyby one do ruszenia. To pokazuje, jak Kaczyński traktuje media.

A czy można wierzyć, że Platforma, która właśnie przejmuje telewizję, będzie gwarantem nowej jakości? Że nominaci tej partii będą lepsi od nominatów poprzedniej?

Wiele się mówi o dwóch krokach dotyczących mediów publicznych. Pierwszy, który obserwujemy, to ich przejęcie i „oczyszczenie”. Drugi to przyjęcie nowej ustawy o mediach publicznych, która oddzieli je od polityków, odda w ręce twórców i dziennikarzy. To jedyna szansa, chyba zresztą ostatnia, by uratować media publiczne. Inaczej trzeba by je zamknąć i zaorać.

O tym wszystkim rozmawiam zresztą z Jackiem Snopkiewiczem, szefem pierwszych „Wiadomości”, który pięć razy wracał do TVP i zna tę instytucję od podszewki. Zna jej grzechy, zna ludzi, wie, jaka jest jej siła. Zachęcam do lektury.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

TVP, czyli szpital zakaźny

Wirusy opanowały każdą tkankę TVP: wirus polityczny, wirus niekompetencji, wirus nielojalności i wirus pychy

Rozmawia Robert Walenciak

Czy my jako dziennikarze przegraliśmy z politykami?

– Przegrała przede wszystkim Telewizja Polska, ale też w znacznej mierze inne telewizje. Mówię o kanałach informacyjnych i dziennikach. To politycy narzucają narrację każdego dnia, a nie dziennikarze. Co więcej, w tych narracjach jest bardzo mało konkretów. Jeżeli oglądamy TVP Info, a warto dla analizy tej propagandy, to bez przerwy emitują jakieś wypowiedzi polityków, konferencje, oświadczenia, kłótnie, zaprzeczenia; trudno z tej magmy wyłowić konkret. A w czasie kampanii wyborczej pomijali lub opluwali partie opozycyjne.

Jest za to komentarz.

– W TVP Info komentatorami były wyłącznie osoby związane z partią, mówiące o wielkości dokonań PiS lub atakujące opozycję. Dlaczego dziennikarstwo jest dzisiaj w takim, a nie innym punkcie? To zasadnicze pytanie, które należy rozszerzyć o inne: dlaczego dziennikarze z TVP Info i z Telewizji Polskiej, a część znam, nawet przyjmowałem ich do pracy, sprzedali swoje dusze i twarze?

Jedli z ręki władzy, zamiast patrzeć władzę na ręce.

– Porównajmy dwa okresy. Dawny, którego już nikt nie pamięta, czyli okres Solidarności lat 1980-1981. To był czas, kiedy mieliśmy telewizję państwową pod całkowitą kontrolą partii. I po sierpniu 1980 r., wtedy zarówno część telewizji, jak i część radia zbuntowała się. Do tego stopnia, a pamiętam te czasy, że władza straciła nad wieloma programami kontrolę.

Pan był wówczas szefem redakcji reportażu w telewizji.



JACEK SNOPKIEWICZ

– reporter, autor reportażu telewizyjnych, książek i słuchowisk dokumentalnych; prowadzi zajęcia z reportażu telewizyjnego i systemów medialnych w PWSFTviT w Łodzi. Jest współredaktorem wydanej ostatnio książki „Nowe supermedium. Współczesne oblicza telewizji i scenariusze przyszłości”. Z TVP był zwalniany i odchodził pięć razy. Był założycielem „Wiadomości”, trzykrotnie kierował programami informacyjnymi, stworzył Akademię Telewizyjną TVP, był dyrektorem biura programowego. Odszedł z TVP dzień przed przyjściem „dobrej zmiany”.

– Co tu dużo mówić, miałem pozycję, zespół reporterów i dokumentalistów „Fakt”, świetlaną przyszłość. I się zbuntowałem! Ryzykując wszystko, co potem traćono się w stanie wojennym. Bunt polegał przede wszystkim na tym, że to kłamstwo, które próbowano wmontować w cały system telewizyjno-radiowy, było nie do wytrzymania. Tak naprawdę był to bunt przeciwko kłamstwu, za którym kryły się przekręty, prowokacje, przemilczenia władz, dzielenie społeczeństwa. Człowiek nie mógł na to się zgodzić. Mimo że my wszyscy byliśmy wychowani w duchu

PRL i nie znaliśmy innego świata. W roku 2016 przyszła „dobra zmiana”. Kilkaset osób odeszło, większość została i przez lata nie było śladu buntu ani oporu.

Telewizja milionerów

W telewizji Kurskiego...

– Jeśli był bunt, to buntowali się zdemoralizowani związkowcy upominający się o premię na święta albo podwyżki. A dziennikarze – cisza. Kompletne poddanie się. To jest dla mnie fascynujące – dlaczego oni się nie zbuntowali? Aż tak ►

► zawierzyli PiS, że będzie rządziło wiecznie? I to dziennikarze, analitycy rzeczywistości!

Jaka według pana jest odpowiedź na to pytanie?

– Dlatego, że otrzymali fantastyczne propozycje finansowe. Nigdy nie zarabiał się w telewizji tak dobrze jak za czasów „dobrej zmiany”. Pojawiła się wielka kasa do podziału, pojawili się milionerzy. Przede wszystkim w części propagandowo-informacyjnej. Ale inne gatunki też służyły propagandzie lub kreowaniu wizerunku prezesa Kurskiego i jego damy. Studenci przynieśli na zajęcia skrót transmisji wielkanocnego koncertu Andrei Bocellego. Prezesa z żoną pokazano na przebitkach ze 20 razy, plus specjalne wejście po czerwonym dywanie, plus bałwochwalczy komentarz prowadzącego Tomasza Kammela. A realizatorem był były mąż nowej żony prezesa. Po części to była już prywatna telewizja.

I jedni mieli miliony, a drudzy figę?

– PiS, tak jak w innych spółkach, wykreowało grupę milionerów, choć kilkaset osób w telewizji zarabia do dzisiaj niewiele ponad pensję minimalną. Raport NIK stwierdza, że

Wciąż to pana szokuje?

– Część tych ludzi przyjmowałem do pracy albo ratowałem w różnych sytuacjach, więc powiem panu: wielu dziennikarzy w latach 1980-1981 miało większe poczucie odpowiedzialności zawodowej i wartości niż oni!

Holecka od etyki

A wtedy nie było żadnych spisanych zasad etycznych.

– Spisano je dopiero w roku 1994, w Akademii Telewizyjnej, sam je współtworzyłem. One były jasne. Ale potem wszystkie te regulacje zostały opanowane przez tych, którzy się sprzedali. Kto jest w Komisji Etyki? W Komisji Etyki jest Danuta Holecka czy tacy autorzy TVP Info jak Krzysztof Nowina-Konopka i Przemysław Wenerski... No więc jak to mogło działać? Inne ciało – komisja ds. karty ekranowej, która właściwie jest pustką na ekran. A kto był przez lata „dobrej zmiany” szefem tej komisji? Dyrektorka biura kadr, wcześniej dyrektorka biura administracji, która, jeśli się nie mylę, przyszła do TVP razem z dyrektorem biura zarządu, tym z Ursusa...

Cała historia telewizji to zmagania z różnymi partiami, które coraz sprytniej budowały swoje wpływy.

w 2022 r. powyżej 1 mln zł rocznie zarabiał 10 wybranych, a prawie 30 przekraczało półmilionowy roczny dochód. Szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej w ostatnim roku zarobił 1,5 mln zł, czyli 125 tys. zł miesięcznie. A w jaki sposób? To była pensja plus umowa cywilnoprawna na nadzór nad czymś innym. Na dodatek ci, którzy tak dużo zarabiali, dyrektorzy – i chodzi nie tylko o TAI, ale również o inne struktury – podpisywali takie umowy ze swoimi zastępcami. Dyrektor dostawał zlecenia, a jego zastępca akceptował to podpisem. PiS proponowało wielkie pieniądze i ci, którzy się sprzedali, chwycili przynętę jak karpie, zapominając, że przyjdzie czas wigilii. Łatwość zarabiania, poczucie bezkarności doprowadziły do tej demoralizacji.

Ze Stanisławem Bortkiewiczem, dyrektorem ds. korporacyjnych TVP, szarą eminencją telewizji Jacka Kurskiego.

– Rozmontowano taką strukturę, wprowadzając jeszcze do komisji Michała Adamczyka i Krzysztofa Ziemia. Ale jest jeszcze inna sprawa. Rok 1989 otworzył przed młodymi ludźmi fantastyczne perspektywy szybkich, błyskotliwych karier w mediach. Przyjęci z konkursu Tomasz Lis czy Jolanta Pieńkowska po kilku miesiącach prowadzili programy na żywo, zaczynając od wieczornych „Wiadomości”, zostawiali korespondentami zagranicznymi. Wcześniej trzeba było na to czekać latami. Rok 1989 to początek tworzenia nowych gwiazd polskich mediów: Moniki Olejnik, Piotra Kraśki czy nieżyjącego już Kamila Durczoka. Moje pytanie jest takie:

co gwiazdy zostawiają po sobie? Czy ktoś, kto osiągnął sukces, maks w swoim życiu zawodowym, przekazał te doświadczenia uczniom? Miał ich, w ogóle o to się starał? I odpowiadam, że nic o tym nie wiem. Oni nie zostawili swoich uczniów, nie stworzyli relacji mistrz-uczeń. Zajęci byli wyłącznie swoją karierą, lansem, życiem celebrytów. Wystarczy wziąć roczniki „Super Expressu”, żeby zobaczyć te kompromitujące ustawki – a to się rozwodzę, a to pokazuję nowe meble, a to wręczyłem pierścionek, a to jestem nad Morzem Czerwonym, a to nurkuję z nową partnerką... No nie!

Wracam do czasów PRL – jak zaczynałem w zawodzie, miałem mistrzów. Moim mistrzem był już dziś zapomniany Krzysztof Kąkolewski, autor słynnego cyklu „Co u pana słychać?”. Nas, młodych reporterów, zdążył zaprosić do siebie do domu Melchior Wańkowicz. Pracowałem w „Kulturze”, gdzie byłem szefem reportażu. Pracowałem z Ryszardem Kapuścińskim, biurko w biurko. Objawiła się Teresa Torańska... Ale oni wszyscy bili się o jakość, o tematy, o sposób pisania, o pieniądze w ogóle nie było mowy. Kapuściński jeździł pordzewiałą ładą i chodził w trampkach. Pytaliśmy go: „Rysiek, z czego ty żyjesz?”. „No, żyję trochę z pisania...”. Nie było takiego myślenia jak dzisiaj: nachapać się! Pokazać się! Te zdjęcia Jarosława Olechowskiego, byłego szefa TAI, które wyciekły do internetu, te moksyny ze świecidełkami... To pokazuje świat wartości i stopień demoralizacji, bo Jarek za moich czasów w TVP Info był bardzo dobrym reporterem i nawet podpisał list w obronie niezależności dziennikarskiej.

Z drugiej strony, jeżeli chcemy mieć porządną telewizję, sama Rada Etyki nie wystarczy.

– Bagno telewizyjne jest tak głębokie, że nie ma możliwości wyjścia z niego.

Wtedy nie było strachu przed władzą

Ale pan telewizję naprawiał.

– Pięć razy wracałem do telewizji, w różnych okresach. Telewizja

to jest magia, niestety, niewiele po sobie zostawia. Najważniejszy był ten powrót po stanie wojennym za czasów premiera Mazowieckiego. Opisałem to w roku 1992, w książce „Telewizja naga”, którą wydałem razem z Aleksandrą Jakubowską, po odejściu z „Wiadomości” całego kierownictwa. Przez ten rok „Wiadomości” były rzeczywiście wolne, nie było możliwości ingerencji, co zawdzięczamy premierowi Mazowieckiemu, który dzwonił z pretensjami – był jeszcze telefon rządowy – ale z prezesem Andrzejem Drawiczem chronił tę pierwszą ekipę.

Nigdy nie zarabiano się w telewizji tak dobrze jak za czasów „dobrej zmiany”. Łatwość zarabiania i poczucie bezkarności doprowadziły do demoralizacji.

Telewizja w tym czasie była w strukturze Radiokomitetu, czyli bezpośrednio zależna od premiera. Premier mógł pana wyrzucić jednym telefonem.

– A on prosił mnie na rozmowę, żeby zrozumieć, o co mi chodzi. Już wówczas był naturalny konflikt pomiędzy władzą a dziennikarstwem, popieraliśmy ten rząd, ale tłumaczyłem, że to my, dziennikarze, decydujemy, co dajemy na antenę, zgodnie z zasadami sztuki. To był jedyny okres, kiedy programy informacyjne były całkowicie wolne i pozbawione strachu przed władzą. To padło w momencie, kiedy wybory wygrał Lech Wałęsa i telewizję zaczęli nachodzić jego ludzie, wkurzający aroganci. Ale dlaczego o tym mówię? Otóż każdy piszący marzy, żeby przynajmniej jedno zdanie po nim zostało. Z tego, co napisać. I z tego, co ja pisałem w różnych książkach, zostało jedno moje zdanie z „Telewizji nagiej” – że Telewizja Polska jest jak szpital zakaźny. Nie można go remontować, trzeba spalić i zbudować nowy. To zdanie z siłą wraca dzisiaj. Głębokość demoralizacji pracowników, demoralizacji strukturalnej, strategicznej, jest tak wielka, że nawet gdyby przyszedł najmądrzejszy menedżer, nie jest w stanie tego zmienić. Co roku przyjmowano do telewizji ok. 250 osób, przez lata, wymieniano ludzi

do spodu, bez konkursów, po znajomości, bez kompetencji. Wirusy opanowały każdą tkankę TVP.

Jakie?

– Pierwszy to wirus polityczny. Telewizja w różnych okresach była mniej lub bardziej nim zarażona. Prezesi, mniej lub bardziej, byli podlegli swoim decydom. Różnie można ich oceniać. Wiesław Walendziak moim zdaniem był niezależny. Po nim był Ryszard Miazek – nie miał wizji, ale nie szkodził. Robert Kwiatkowski – urodzony menedżer, choć za ostry, zmieniał telewizję, inwestował. I w jakimś sensie ją chronił.

Jak?

– Powiem panu... Ja za prezesa Miazka dość przypadkowo zostałem szefem TAI. Była afera z poprzednim dyrektorem, Miazek miał dzień, aby kogoś znaleźć, padło na mnie; prosił, nie miałem wyboru. Potem przyszedł Kwiatkowski, nie ruszał mnie, nie naciskał. I pamiętam, była sprawa z prezydentem Kwaśniewskim, z grobami, z Charkowem. W „Wiadomościach” to puściliśmy. Potem w „Panoramie”. Nie mogłem inaczej. Zszedłem do newsroomu i powiedziałem: „To musi być”. Kwiatkowski się wściekł. Ale żadnej krzywdy nam nie zrobił. Moim zdaniem zrozumiał, że w końcu było to również w jego interesie – bez tej informacji byłaby kompromitacja i prezesa, i „Wiadomości”, i nas wszystkich. Nie można było przekroczyć pewnej czerwonej linii. I te osoby, o których mówię, jej nie przekraczały. Co więcej, Robert Kwiatkowski przekazał prezesurę Janowi Dworakowi uroczystie w studiu podczas wewnętrznej transmisji do wszystkich OTV.

Czas demoralizacji

Co więc stało się później?

– Ta linia zaczęła być przekraczana za prezesury Bronisława

Wildsteina, telewizyjnego pyszałka, który od razu zlikwidował kartę ekranową, może dlatego, że nigdy by jej nie dostał. Do dzisiaj nadyma się w swoich programach, by przypomnieć jego ostatnie zachwyty nad prezeską Trybunału Konstytucyjnego. Zaczął robić czystkę. Nie jakieś postkomuny, tylko młodszego pokolenia. Szefem TAI był Robert Kozak, szefem Jedynki Piotr Radziszewski, jego zastępcą od kultury i teatru młody Piotr Dejmek... Poszli na bruk natychmiast. Cała historia telewizji to zmagania z różnymi partiami, które coraz sprytniej budowały swoje wpływy. Za pierwszego PiS to już szło na rympał. Ale inne partie w rękawiczkach. Wyglądało to tak, że ja jako szef TAI czy „Wiadomości” mogłem czuć się niezależny, bo nikt do mnie nie dzwonił i nie mówił, co mam robić. Ale politycy wynaleźli bypasy i docierali do wydawców. Na tym polegały początki demoralizacji, że wydawcy zaczęli się podwijać pod polityków.

Jak to wyglądało?

– Miałem taką sytuację, że coś tam było, zszedłem przed emisją do „Wiadomości”, usiadłem obok wydawcy, patrzę – grzeje mu się prywatny telefon. Nie odebrał. Bał się. Dzień później zakazałem używania prywatnych komórek w newsroomie. Tak wyglądał w telewizji wirus polityczny. Drugi był wirus niekompetencji. Polegał na tym, że ciągle sprowadzano ludzi,

Bagno telewizyjne jest tak głębokie, że nie ma możliwości wyjścia z niego.

którzy nie mieli o tej robocie zielonego pojęcia. Z różnych partii. Przychodziły noname’y i odchodziły. Traktowali telewizję jak łup. Trzeci wirus to wirus nielojalności. Telewizja nigdy nie była lojalna wobec swoich pracowników i źle ich traktowała. A pracownicy byli nielojalni wobec telewizji, czego przykładem są te wszystkie łatwe odejścia – ludzie, którzy zaczynali karierę w TVP, bez mrugnienia okiem odchodzili do innych stacji. No i wirus pychy, styl ▶

► zachowań publicznych, brak szacunku dla widza, brak pokory. I jakieś głębokie zakłamanie, kiedy dzisiaj skandują: „Wolne media!”.

Co zgubiono za PO

A kasa, dojenie?

– Nasze zarobki były dobre, ale nie oszałamiające. Dopiero za Kurskiego poszło to w jakimś nieprawdopodobnym kierunku. Zobaczymy za jakiś czas, ile wniosków trafi do prokuratora. Bo musi, za ewidentne przekręty. Wracam do braku uczniów, braku mistrzów – otóż bardzo duże zaniechania powstały za kadencji PO w TVP, za czasów Juliusza Brauna. Wtedy „Wiadomości” poszły na zderzenie z „Faktami”,

To ważne?

– W twardych zasadach dziennikarstwa światowego dwie rzeczy są najważniejsze. Pierwsza – reporter, który dostarcza konkrety, czyli fakty. I druga rzecz – komentarze. *Anchor*, człowiek kotwica, doświadczony, wiarygodny, często siwe włosy. On jest przezroczysty i nie można go posądzić o sprzyjanie komukolwiek. W okresie platformerskim nie przygotowano widza na propagandę, zagubiony, niepoinformowany, nierozumiejący świata stał się łatwym łupem. Zawiodło zresztą wiele innych ogniw, od edukacji począwszy, np. znajomość historii najnowszej to tragedia – wiem, bo biorę udział w egzaminach wstępnych do łódzkiej Filmówki. I teraz, jeżeli mamy

banana tej koalicji. A tego przecież nie chcemy.

W drugim etapie, po wyborach prezydenckich, powinna wejść w życie nowa ustawa o mediach publicznych. Jest kilka projektów, m.in. Jana Dworaka i prof. Tadeusza Kowalskiego czy Obywatelski Pakt na rzecz Mediów Publicznych. Osią tych pomysłów jest niezależność mediów, ale to politycy będą taką uchwałę podejmowali.

A czy oni mogą akceptować coś, co nie będzie pod ich kontrolą?

– Na kilometr widać, że jeśli ta zmiana będzie dokonywana przez polityków, to oni nie mogą zrezygnować ze swojego oddziaływania, bo tak są skonstruowani. W różnych okresach kierowałem telewizyjną informacją, więc mogłem obserwować, jak sfera dziennikarskiej wolności się zmniejsza. Nie ukrywam – wybierałem też kompromis, bo ile razy można składać rezygnację. Jeśli PSL chce pokazać wybory miss sołtysa – proszę bardzo, ale w „Teleexpressie”. A flagowiec, „Wiadomości”, niech będzie niezależny. Ale warto przypomnieć jeszcze jedno – jak politycy zachowują się w okresach wielkich napięć. Była wielka powódź na Dolnym Śląsku. Byłem wtedy w TAI. I nikt nam w parady nie wchodził. Katastrofa smoleńska. Byłem wtedy w Info. Żadnego telefonu! Przez dwa, trzy miesiące – cisza. W takich okresach politycy się wycofują. Bo można się sparzyć. Telewizja nadaje moc politykowi, ale i strąca w przepaść.

Wniosek jest prosty – trzeba przeciąć więzi z politykami.

– Trzeba. Może lekcja, jaką dało nam PiS, tworząc media narodowe, jest tak bolesna i szkodliwa dla racji państwa, by przypomnieć kombinacje wyborcze, że politycy potrafią się samoograniczyć i zbudują media publiczne tak mocne jak twierdza nie do zdobycia. Muszą także pamiętać o sile społeczeństwa w internecie, o organizacjach pozarządowych, o milionowym marszu i obietnicach. Patrzmy im na ręce, nie dajmy się wykiwać!

PiS, jak w innych spółkach, wykreowało grupę milionerów, choć kilkaset osób w telewizji zarabia do dzisiaj niewiele ponad pensję minimalną.

walcząc o oglądalność. Stawiały na informacje mające przyciągać widzów: ludzkie nieszczęścia, sensacje, wypadki samochodowe, katastrofy w Patagonii. Takie coś to może w „Teleexpressie”... A TAI kierował człowiek bez doświadczenia, widzieliśmy, jak często stawiał się na Woronicza.

Jak pan na tę zmianę zareagował?

– My, z ramienia Akademii Telewizyjnej, przedstawiliśmy swoją opinię na kolegium programowym. Prezes nam odpowiedział, że musimy się kierować ku nowemu pokoleniu. Potem jeszcze w tym rozpedzie zgłosiliśmy pomysł poważnego dziennika wieczornego z komentatorami. Jakiś kompromis – „Wiadomości” niech się ścigają o szeroką widownię, ale ten ambitniejszy widz, który czegoś nie rozumie, niech zajrzy do wieczornego dziennika i posłucha komentarzy. Nasza propozycja została skwitowana w ten sposób: „A skąd pieniądze?”. Z telewizji wypłukiwano komentatorów, ich rolę przejmowali politycy, wygłaszając na jeden temat przeciwstawne opinie. Nie ma poważnej telewizji bez poważnych, niezależnych komentatorów.

kolejną zmianę, to pierwsze pytanie brzmi: kto tej zmiany będzie dokonywał? Otóż będzie jej dokonywał świat polityki.

Czy znów nas wykiwają?

Oni muszą się dogadać...

– Ale kto z kim? Przecież nie może być mowy o rozmowach z PiS, bo ono jest skompromitowane, przyłapano je na złodziejstwie i przekrętach. Nie ma mowy! Demokratyczna koalicja składa się z kilku partii. Niektóre rządziły w telewizji, nie sądzę, aby pohamowały swój apetyt. Nie znamy zresztą kulis porozumienia. Cieszymy się z nadchodzącej zmiany, pamiętając o tych apetytach.

Zmiany w TVP widzę w dwóch etapach. Pierwszy to przerwanie propagandy i kłamstw, rozliczenie, zdejmowanie na antenie metod manipulacji, audyty itd. Powinno to zrobić osoba, która zna naturę telewizji, i tu nie ukrywam, że widzę przede wszystkim Janusza Daszczyńskiego. Na dodatek bezprawnie zwolnionego po wygranym konkursie, a teraz autora programu naprawczego. Nie-trafieni kandydaci mogą sprawić, że sprawa TVP okaże się skórka od

Z Galicji



Jan Widacki

Abp Gądecki w oblężonej twierdzy

Apelując do prezydenta o niepodpisywanie ustawy o finansowaniu przez państwo procedury in vitro, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Gądecki po raz kolejny pokazał, że nie rozumie, na czym polega konstytucyjny, poświadczony konkordatem rozdział Kościoła od państwa. Nie rozumie też rzeczy znacznie bardziej podstawowej – tego, że w cywilizacji zachodniej co najmniej od czasu zakończenia walk cesarstwa z papieżem, które nastąpiło jeszcze w średniowieczu, rozróżnia się sacrum i profanum, porządek świecki i porządek duchowny. Jeśli Kościół procedurę in vitro, akceptowaną w całym cywilizowanym świecie (jej twórca, Robert Geoffrey Edwards, otrzymał nawet w roku 2010 Nagrodę Nobla), uważa za niemoralną, to wolno mu. Co więcej, ma prawo tak nauczać swoich wiernych, aby metody tej nie stosowali. Może do nich apelować albo i grozić karami kościelnymi na ziemi i ogniem piekielnym po śmierci.

Tymczasem abp Gądecki zaapelował nie do wiernych, ale do prezydenta, aby ustawę zawetował! Dobrze chociaż, że powstrzymał się od zaszantażowania głowy państwa ekskomuniką w razie podpisania ustawy.

Jak łatwo się domyślić, sprawa się powtórzy, gdy będzie uchwalana ustawa dopuszczająca przerwanie ciąży.

Arcybiskup i niestety, zdaje się, większość polskiego episkopatu nie rozumie, że domaganie się od państwa konkretnego kształtu prawa, wskazywanie, co ma być uznane za przestępstwo, a co nie, co ma być refundowane, a co nie, jest możliwe tylko w państwie wyznaniowym. Polska i inne kraje cywilizacji zachodniej na szczęście takimi państwami nie są.

Podobnie jak państwo nie ma prawa ingerować w nauczanie Kościoła, pouczać go, co jest grzechem, a co nie jest, domagać się, by coś zostało za grzech uznane, bo byłoby to korzystne dla państwa i jego doktryny, również Kościół nie ma prawa domagać się od państwa, by nadało prawu taki kształt, który odpowiada aktualnemu nauczaniu Kościoła.

Kościół, owszem, miałby prawo, a nawet obowiązek protestować, gdyby państwo tworzyło prawo łamiące sumienia wiernych. Takie jak prawo w Chinach, które wymuszało aborcję trzeciej i każdej kolejnej ciąży. Miałby

prawo, a nawet obowiązek protestować, gdyby przyjmowano prawo zmuszające do stosowania in vitro pary, które ze względów religijnych i moralnych nie chciały tej procedurze się poddać. Jednak ani ustawa o refundacji in vitro, ani przyszła ustawa regulująca prawo do przerwania ciąży nikogo do niczego nie zmusza. Katolik, czy raczej katoliczka posłuszna nauczaniu Kościoła, jeśli nie będzie chciała, nie dokona aborcji, nie skorzysta z metody in vitro.

Próba wymuszania na prezydencie, a wcześniej już niejednokrotnie na parlamentarzystach, przyjęcia prawa w kształcie oczekiwanym przez episkopat jest łamaniem zasady rozdziału Kościoła od państwa. Jest równocześnie przyznaniem się do klęski duszpasterskiej, do tego, że wierni nie słuchają swoich „pasterzy” i trzeba ich do tego posłuszeństwa przymusić świeckim prawem.

Kościół w Polsce, zawsze czujący się oblężoną twierdzą, teraz już musi się czuć wzięty niemal w szatańskie kleszcze.

Abp Gądecki w ogóle wykazuje ostatnio dużą aktywność epistolarną. Zanim napisał do prezydenta, pisał do papieża, protestując przeciw zwiększaniu demokracji w Kościele (Kościół synodalny) i wszelkim próbom nadążania przez Kościół za zmieniającym się światem, co najwyraźniej jest wolą i programem papieża Franciszka. Kościół w Polsce, zawsze czujący się oblężoną twierdzą, teraz już musi się czuć oblężony zupełnie, ba, wzięty niemal w szatańskie kleszcze! Z jednej strony, liberalno-lewicowy rząd, który w przeciwieństwie do kilku poprzednich odmawia mu realizacji jego zachcianek, z drugiej, w Watykanie też coraz wyraźniej herezją pachnie. Co gorsza, papież zasłużonych polskich biskupów karze! Potępia pedofilię i pazerność na dobra doczesne! Tak dotąd nie bywało! Z trzeciej strony – laicyzujące się społeczeństwo. Ks. Józef Tischner w dyskusjach przekonywał: „Mówicie, że w Kościele demokracji nie ma. W Kościele demokracja jest! Co tydzień w niedzielę odbywa się głosowanie na tacę!”. To niedzielne głosowanie Kościół wyraźnie przegrywa. Wciąż jeszcze nie wie, że na własne życzenie, i wciąż szuka winnych dookoła.

Tak upada religia smoleńska

Antoni Macierewicz nie ma swojej podkomisji ani ochrony.
Ta hucpa wreszcie się skończyła

Robert Walenciak

Nie ma już podkomisji smoleńskiej Antoniego Macierewicza. Rozwiązał ją nowy minister obrony, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. „Od dziś (czyli od 15 grudnia) członkom podkomisji zostają cofnięte wszelkie upoważnienia i pełnomocnictwa do działań związanych z pracami podkomisji”, poinformował nowy rzecznik MON Janusz Sejmej.

Poszło szybko. Owszem, Macierewicz próbował się bronić. Dziennikarzom oświadczył, że decyzja ministra jest bezprawna, a podkomisja będzie dalej funkcjonować. „Komisja nie została zlikwidowana, bo pan minister nie ma takiego uprawnienia. Komisja działa do sierpnia 2024 r. Nie ma żadnych przepisów umożliwiających ministrowi likwidację”, przekonywał. Zwołał więc jej posiedzenie na 18 grudnia. Groził też, że w sprawie szefa MON złoży zawiadomienie do prokuratury. Mówił przy tym, że Tusk chroni Putina. Wszystko to były strachy na Lachy.

Macierewicz przyszedł do siedziby komisji przy ulicy Kolskiej w Warszawie i wyszedł. Żandarmeria Wojskowa obiekt zamknęła i opieczętowała. „Teraz rozpoczynamy kolejny proces weryfikacji, audytu działań komisji, audytu finansowego, merytorycznego, tego, co przez osiem lat tam się wydarzyło”, powiedział mediom Kosiniak-Kamysz.

Tak oto zakończyła działalność podkomisja smoleńska. Z punktu widzenia interesów państwa i społeczeństwa instytucja szkodliwa i marnotrawna. Z punktu widzenia interesów PiS – początkowo ważna. Później jednak, gdy okazało się, że to tylko kosztowna atrapa, popadła

w zapomnienie; w zasadzie potrzebna była jedynie Macierewiczowi, by zaspokajać jego ego.

To ego otrzymało bolesny cios. Podkomisja była przecież dziełem Macierewicza. To on, jeszcze jako poseł opozycji, prowadził w Sejmie zespół parlamentarny ds. katastrofy. Gdy PiS przejęło władzę, jako minister obrony powołał na bazie zespołu podkomisję. To było w lutym 2016 r., jej pierwsze posiedzenie odbyło się 7 marca. Podkomisja miała swoją siedzibę, teoretycznie badała przyczyny katastrofy, miała na to pieniądze. Jak obliczono, kosztowała państwo polskie ok. 33 mln zł, dokładną sumę poznamy, gdy zespół ekspertów przeprowadzi jej audyt.

Macierewicz miał więc i fundusze, i tytuł, by być ważnym. Podczas kolejnych miesięcznic katastrofy Jarosław Kaczyński, stojąc na drabince, wołał, że zbliżamy się do poznania

limuzyny. Tą limuzyną, w asyście ochroniarza, poruszał się przez wiele lat. A MON nigdy nie podało powodów, dla których korzystał ze specjalnych uprawnień należnych ministrom. Nie informowało też, ile taka ochrona kosztuje.

A były to kwoty niemałe. „Rzeczpospolita” próbowała je oszacować. Wyliczyła, że jeśli Macierewicz ma całodobową ochronę, musi go obsługiwać co najmniej osiem osób miesięcznie. Średnia pensja zasadnicza w Żandarmerii Wojskowej to ponad 5 tys. zł brutto plus różne dodatki, co samo w sobie daje ok. 40 tys. zł. Do tego należy doliczyć co najmniej dwa etaty kierowcy, koszty paliwa, amortyzacji i auta. Innymi słowy, ów gest kosztował polskiego podatnika kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie.

Ale ten rozdział jest zamknięty – nowy minister obrony ochronę wycofał. Tak na naszych oczach

Podczas kolejnych miesięcznic katastrofy Jarosław Kaczyński, stojąc na drabince, wołał, że Antoni za chwilę ujawni prawdę.

prawdy i że Antoni za chwilę ją ujawni. A tłum, coraz rzadszy, skandował: „Antoni, Antoni!”.

W glorii wielkiego śledczego, który rozwikłuje najstraszliwsze tajemnice, mógł Macierewicz jeździć po klubach „Gazety Polskiej”, po salach parafialnych, i opowiadać o wybuchach, bombach i spiskach.

Ta rola stała się dla niego jeszcze ważniejsza, gdy w styczniu 2018 r. na stanowisku ministra obrony zastąpił go Mariusz Błaszczak. Ten – nie miejmy złudzeń, na polecenie Kaczyńskiego – obsypał go kolejnymi przywilejami. Macierewicz zachował prawo do ochrony i służbowej

zakończyła się smutna historia podkomisji, która na dobrą sprawę nie powinna była powstać, niczego nie ustaliła i bardziej była ciałem propagandowym niż jakimkolwiek innym. Gdy popatrzymy na nią z perspektywy ośmiu lat, widzimy jak na dłoni kicz i hucpę.

Pisałem o tym wielokrotnie – wia-ra, że pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. doszło nie do katastrofy, lecz do zamachu, była motorem PiS. Religią. Głównym męczennikiem tej religii był Jarosław Kaczyński, a głównym kapłanem – Macierewicz. Odrzucili oni ustalenia Komisji

Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego pod przewodnictwem ówczesnego szefa MSWiA Jerzego Millera. Raport tej komisji, przedstawiony w lipcu 2011 r., mówił, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do katastrofy lotniczej. Że jej przyczyną było zejście poniżej minimalnej wysokości zniżania, czego konsekwencją było zderzenie samolotu z drzewami.

Śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej prowadziła też od roku 2010 prokuratura. Najpierw była to Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Po pisowskiej reformie prokuratury śledztwo przejęła Prokuratura Krajowa. Od marca 2016 r. prowadzi je Zespół Śledczy nr 1 Prokuratury Krajowej.

typowych dla katastrofy komunikacyjnej”, mówił w PRZEGŁADZIE (nr 16/2022) dr inż. Maciej Lasek, poseł PO, członek komisji Millera, były przewodniczący Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych. Czyli, jak można wnioskować, śledztwo smoleńskie jest przez prokuraturę sztucznie przedłużane. Ale doceniemy ją za jedno – gdy okazało się, że wyniki badań nie potwierdzają tez partii rządzącej, przynajmniej zamilkła.

Inaczej działała podkomisja Macierewicza. To ona miała ujawnić „prawdę”.

Co istotne, żaden z jej członków nie badał wcześniej katastrof lotniczych. Była więc ciałem złożonym

na zakup śmigłowców Caracal, który w 2015 r. podpisał poprzedni rząd. Gdy sprawa wyszła na jaw – po cichu wrócił do USA.

Kazimierz Nowaczyk – kolejny przewodniczący. Pracował jako fizyk doświadczalny na Wydziale Biochemii i Biologii Molekularnej Szkoły Medycznej University of Maryland. On z kolei był autorem koncepcji, że tupolew ominą feralną brzozę, a potem rozpadł się w wyniku „dwóch wstrząsów”, czyli wybuchów. 11 stycznia 2018 r. na stanowisku przewodniczącego podkomisji zastąpił go Antoni Macierewicz.

Wiesław Binienda – przedstawiano go jako tego, który uczestniczył w badaniach katastrofy promu Columbia.

Jednakże w raporcie na temat Columbii nie został wymieniony, choć podane są nazwiska nawet sekretarek i kierowców. Binienda jest absolwentem Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej. W 1982 r. wyjechał do USA i doszedł do stanowiska profesora na Wydziale Inżynierii Cywilnej University of Akron, uczelni zajmującej w rankingu amerykańskich szkół wyższych 585. miejsce na 650. Co nie przeszkadzało ludziom PiS opowiadać, że

to wielki i słynny uniwersytet. A z samolotami i katastrofami lotniczymi Binienda nie miał nic wspólnego.

Głośno było też o innym członku komisji – o Glennie Jørgensenie, prywatnie mężu Ewy Stankiewicz, szefowej Stowarzyszenia Solidarni 2010. A to dlatego, że Jørgensen się zbuntował i oskarżył przewodniczącego podkomisji, że de facto blokuje możliwość zbadania katastrofy. „Wprowadza chaos i konflikty – pisał o Macierewiczu w tygodniku „Sieci”. – Rozpowszechnia błędne informacje oraz aktywnie blokuje wszelkie próby prowadzenia systematycznego śledztwa opartego na dowodach”.

Cóż za naiwność... Jørgensen najwyraźniej wierzył w zamach, a Macierewicz takich złudzeń nie miał. Sprawę rozgrywał zatem jak wytrawny hochsztapler – zamiast jakiegokolwiek badania kończyć, wołał niewygodne



Przejmując osiem lat temu władzę, PiS rzuciło więc wszystkie siły, by udowodnić tezę o zamachu. Prokuratura zarządziła ekshumacje, nie licząc się ze sprzeciwem rodzin. Pobrano próbki ze szczątków ofiar i wysłano je do trzech laboratoriów za granicą. Jednego we Włoszech i dwóch w Wielkiej Brytanii. W przekonaniu, że badania wykażą to, co każdy wyznawca religii smoleńskiej wiedział – ślady materiałów wybuchowych.

Próbki ciał, jak zapowiadano początkowo, miały być zbadane w ciągu pół roku, potem te terminy się przedłużały. W każdym razie wiadomo, że prokuratura ma wyniki od kilku lat i ich nie udostępnia, trzyma je w tajemnicy. „Te ekshumacje już dawno są zakończone, z tego, co wiem, niczego nie wniosły do śledztwa, oprócz konkluzji, że pasażerowie ponieśli śmierć w wyniku obrażeń

z dyletantów. O tych „gwiazdach”, które ściągnął pod swoje skrzydła Macierewicz, pisałem już w PRZEGŁADZIE (15/2021), więc tylko kilka zdań przypomnienia:

Wacław Berczyński – pierwszy przewodniczący komisji. Absolwent Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Południowej Kalifornii, potem pracownik Boeinga. Twierdził, że kadłub takiej maszyny jak Tu-154M powinien zderzenie z ziemią wytrzymać, poza tym katastrofa nastąpiła w wyniku wybuchu bomby termobarycznej. Macierewicz mówił o Berczyńskim, że „badał dziesiątki katastrof lotnictwa wojskowego” w USA. To były kłamstwa. Nie ma żadnych dokumentów, które by to poświadczały. Wiadomo jedynie, że był w Boeingu informatykiem. A już po przejęciu władzy przez PiS mocno się zaangażował w storpedowanie kontraktu

PRYWATYZACJA WIARY

Brednie smoleńskie zebrane przez Krzysztofa Łozińskiego (KOD):

- Sztuczna mgła
- Rozpylono hel
- Bomba próżniowa wytworzyła próżnię pod samolotem
- Samolot ściągnięto magnesem
- Brzoza to miękki patyk
- Brzoza nie urwała skrzydła, Rosjanie sami ją złamali
- Tupolew to przerobiony bombowiec i powinien wytrzymać upadek z 80 m
- Samolot z żelaza powinien wylądować w lesie
- Bomba próżniowa w samolocie
- Bomba w skrzydle
- Bomba w śródlacie

- Dwa wybuchy
- Bomba w gaśnicy w kokpicie
- Bomba taśmowa w skrzydle
- Samolot nie mógł się rozlecieć, bo spadł z kilku metrów
- Trzy osoby przeżyły
- Dobijano rannych
- Rozpoznano dźwięk wybuchu
- Wykryto jony trotylu i nitrogliceryny
- Raport Millera jest przepisany z raportu Anodiny (Tatjana Anodina, przewodnicząca Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego, MAK, była wiceprzewodniczącą specjalnej rosyjskiej komisji rządowej do zbadania przyczyn katastrofy – przyp. aut.)
- Tusk gratulował zamachu Putinowi

► informacje ukrywać i rzucać kolejne oskarżenia.

Tak było, co ujawnił Piotr Świerczek z TVN 24, z symulacjami katastrofy, które zamówiono w amerykańskim instytucie NIAR (National Institute for Aviation Research), robiąc z tego zresztą wielkie halo. Zapłacono za nie 8 mln zł. Kłopot w tym, że wyniki Amerykanów potwierdziły przebieg katastrofy opisany w raporcie Komisji Millera. Czyli przeczyły tezie o zamachu. Zostały więc ukryte.

Podkomisja prowadziła także swoje badania. Były one dość nietypowe. Prokuratorzy prowadzący śledztwo kilkakrotnie wyjeżdżali do Smoleńska, razem z biegłymi oglądali wrak. Natomiast z podkomisji Macierewicza nikt się nie pofatygował ani do Smoleńska, ani do Moskwy, by zrobić własną kopię zapisów czarnych skrzynek Tu-154M, które tam są zdeponowane.

To akurat można zrozumieć – żadne bowiem rejestratory dźwięku czy parametrów lotu nie potwierdzają tezy o wybuchu. Ale i na to wyznawcy religii smoleńskiej mają odpowiedź – czarne skrzynki zostały przez Rosjan sfalszowane.

O szaleństwie działań podkomisji mogliśmy się przekonać, gdy okazało się, że jej członkowie pocięli bliźniaczy egzemplarz Tu-154, który stał na lotnisku w Mińsku Mazowieckim. To był samolot, który wcześniej za grube

pieniądze wyremontowano. W roku 2011, na zlecenie komisji Millera, wykonano na nim loty, by sprawdzić działanie niektórych jego systemów, symulując lot do Smoleńska. Ten samolot można było sprzedać, ale to już niemożliwe, bo członkowie podkomisji wycięli fragmenty konstrukcji skrzydła, żeby zobaczyć, jak maszyna jest zbudowana. I w ten sposób ze sprawnego samolotu zrobili wrak.

Swój raport podkomisja miała przygotować na 10. rocznicę katastrofy, ale tak się nie stało. 10 kwietnia

strony rosyjskiej na statek powietrzny Tu-154M z delegacją prezydenta RP; głównym i bezspornym dowodem tej ingerencji był wybuch w lewym skrzydle na 100 m przed minięciem przez samolot brzozy na działce doktora Bodina nad terenem, gdzie nie było ani wysokich drzew, ani innych przeszkód mogących zagrozić samolotowi”, deklarował. Czyli wybuch, zamach!

A skąd się wzięły bomby? Macierewicz wysnuł tezę, co pokazał we wspomnianym filmie na 10. rocznicę katastrofy, że bomba została podłożona podczas remontu samolotu w rosyjskiej Samarze dziewięć miesięcy wcześniej. „Bomba paskowa” miała zostać umieszczona w skrzydłach, a do samolotu włożono bombę termobaryczną.

Nieważne, że ten samolot po powrocie z remontu wykonał kilkadziesiąt lotów i żadne badanie pirotechniczne, żadne działania mechaników nie wykryły tych bomb. Jakim cudem? Macierewicz nie wyjaśnił także, jak te niewykrywalne materiały wybuchowe zostały aktywowane. I dlaczego akurat przy lądowaniu pod Smoleńskiem, a nie wcześniej czy później...

Opublikowanie raportu nie zakończyło prac podkomisji. W zasadzie raport niczego nie zmienił. Nawet pisowskie media de facto go zlekceważyły, tam chyba już nikt przytomny nie wierzy w zamach, państwo polskie również – bo jeśli był to zamach,

Koniec kłamstwa smoleńskiego? Nie bądźmy naiwni, ta wiara będzie trwać. Ale przynajmniej nie za nasze pieniądze.

2020 r. raport się nie ukazał, podobno z powodu pandemii. Potem, gdy sejmowa Komisja Obrony Narodowej domagała się sprawozdania z prac podkomisji, Macierewicz puścił pośłom ponadgodzinny film. „To załącznik do raportu podkomisji”, tłumaczył. Ale później zmienił zdanie i mówił, że był to „raport filmowy”. A cały raport na piśmie jest gotowy i znajduje się w sejfie podkomisji. I „może zostać opublikowany w ciągu kwartału”.

Ostatecznie przedstawił go w kwietniu 2022 r. „Przyczyną katastrofy 10 kwietnia nad Smoleńskiem był akt bezprawnej ingerencji

dla czego nic nie zrobiono? Dlaczego ani premier, ani minister spraw zagranicznych, generalnie cały rząd, przy tych tezach, wprost wskazujących, że to Rosja przeprowadziła zamach, nie kiwnęli palcem?

A Macierewicz dalej mógł się cieszyć tytułem szefa podkomisji, ministerialną limuzyną i ochroną. Do ubiegłego tygodnia.

Mamy więc koniec kłamstwa smoleńskiego? Nie bądźmy naiwni, ta wiara będzie trwać. Ale przynajmniej nie za nasze pieniądze.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Koniec cyrku

Ten cyrk trwał nie tylko dwa powyborcze miesiące, podczas których pisowska władza rozdała, co jeszcze mogła, i ukryła, co tylko chciała. Ten cyrk trwał długich osiem lat, w trakcie których pisowska władza zdegradowała Polskę do żalosnego pajaca, bredzącego światu o swej godności. Czy trzeba przypominać wojenki prowadzone z niemal wszystkimi naszymi sąsiadami, włączając w to wojenkę największą: z Unią Europejską – naszym domem?

Możemy się cieszyć. Pisowscy sędziowie nie unieważnili wyborów, pisowska władza nie wprowadziła stanu wyjątkowego, pisowski prezydent nie skorzystał z „raportu częściowego” osławionej komisji. A zatem przez dwa jesienne miesiące, podczas których PiS celebrowało swój cyrk, udało nam się wrócić do Europy. Przeszliśmy z barbarzyństwa do cywilizacji... Czy jednak na pewno?

Bo pierwsze dni po powstaniu rządu Donalda Tuska pokazały, co jeszcze może nas czekać. 11 grudnia, po poruszającym wystąpieniu nowego premiera i po odśpiewaniu hymnu narodowego, na mównicę, jak zawsze bez trybu, wszedł sobie Jarosław Kaczyński. I oświadczył, że Tusk jest „niemieckim agentem”. A pisowscy posłowie zaczęli skandować: „Do Berlina, do Berlina!”. Pomijam absurd tej sytuacji – Niemcy są naszym sąsiadem i choćby przez sam ten fakt najbliższym sojusznikiem – ale jak można nie zdawać sobie sprawy, że podkopując w ten sposób polskiego premiera, podkopuje się zarazem Polskę? Ale u pisowców, wbrew ich patetycznym deklaracjom, nigdy nie było myślenia w kategoriach państwa – wyparło je myślenie w kategoriach partii. Lub inaczej: partia to było dla nich państwo, rację stanu zastąpiono racją partii. Tak długo weszli za dziedzictwem Komunistycznej Partii Polski, aż wreszcie stoczyli się na jej pozycje. Tyle przynajmniej, że nie są sterowani z zewnątrz. Choć Bogiem a prawdą – kto to wie?

Z kolei 12 grudnia poseł Konfederacji Grzegorz Braun zgasił w Sejmie gaśnicą świecę chanukowe i zdemolował sejmowe pomieszczenie. Czyli Polska pozostała krajem barbarzyńskim. Co było do okazania. Ale dla PiS pojawił się kłopot. Obchodzenie Chanuki wprowadził w Pałacu Prezydenckim Lech Kaczyński. Stało się to 18 grudnia 2006 r. W ślad za tym w roku następnym pojawiła się Chanuka także w Sejmie. Czy Jarosław Kaczyński,

tak zawsze czuł na dziedzictwo brata, nie spostrzegł, że zbezczeszczono jego pamięć? A przyjął to – nawet w przeciwieństwie do innych pisowców! – w milczeniu. Zatem pamięć brata jest u niego jedynie funkcją polityki. Co było do okazania.

A potem, 13 grudnia, odbyło się zaprzysiężenie nowego rządu. Wolno się cieszyć, że prezydent Rzeczypospolitej zachowuje się wobec premiera uprzejmie. W krajach cywilizowanych jest to norma, jednak u nas należy się pochwała. A jednak... Skoro jeszcze przed paru miesiącami dr Duda mówił o Tusku w stylistyce porównywalnej do prezesa – to czyż nie mam prawa do obaw? Wszak pisowski prezydent ma niejednego jeszcze asa w rękawie.

Przypomnijmy: rząd Morawieckiego złożył projekt budżetu 29 września. Od tego momentu liczy się do uchwalenia budżetu okres czteromiesięczny. A zatem Sejm musi przyjąć ustawę budżetową do 29 stycznia. Czy więc cyrk z dwutygodniowym rządem Morawieckiego nie słu-

żył aby temu właśnie głównemu celowi? Że może rząd nie zdąży i Sejm nie zdąży? Bo jeśli terminy nie zostałyby dotrzymane, prezydent miałby prawo rozwiązać par-

lament. Miałby prawo – choć różne są interpretacje tego prawa. Ale nie sądzę, by dr Duda nie skorzystał z okazji. I by zadrzała mu ręka.

W nowy rok wkraczamy tak czy inaczej z potężną opozycją parlamentarną – opozycją, która nie ma skrupułów. Oraz z siedmiomilionowym elektoratem partii, która jest wroga polskiej racji stanu. Ergo: partii wrogiej własnemu państwu. To nowość, bo przedwojenna KPP mogła liczyć na poparcie najwyższej kilkudziesięciu tysięcy obywateli, w większości zresztą narodowości niepolskiej. KPP miała cel: włączyć Polskę do ZSRR. Co jest celem PiS, walczącego z naszymi sojusznikami? Tylko jedno – doprowadzić do osamotnienia Polski. W naszym położeniu geopolitycznym to droga prowadząca do rozbiorów.

Chciałoby się na koniec złożyć moc życzeń noworocznych. Ale tym razem wystarczy te życzenia ograniczyć do trzech. Pierwsze: by rząd Tuska umiał na czas ominąć wszystkie rafy i pułapki. Te naturalne i te na niego zastawione. Drugie: by partie tworzące rząd były zawsze jak jedna drużyna. Trzecie: by wokół PiS w Sejmie został utrzymany kordon sanitarny. Zatem – trzymajmy się! I niech będzie szczęśliwy ten nowy, 2024 rok!

Pisowcy rację stanu zastąpili racją partii.

Rzecznik na bakier z prawem

Czy Wojciech Andrusiewicz sprowadzi kłopoty na prezesa NBP Adama Glapińskiego?

Andrzej Sikorski

Po przegranych przez PiS wyborach ludzie ustępującego obozu władzy rozpierzchli się w poszukiwaniu ciepłych posad. A ponieważ pozostało kilka instytucji i urzędów zabetonowanych przez partię Jarosława Kaczyńskiego, jest gdzie się zaczepić. Objęcie przez Wojciecha Andrusiewicza prestiżowego stołka rzecznika prasowego Narodowego Banku Polskiego uznane zostało przez komentatorów jako złoty spadochron.

Podpuścił ministra

Andrusiewicz był rzecznikiem Ministerstwa Zdrowia od grudnia 2019 r. do sierpnia 2023 r., gdy do dymisji podał się skompromitowany szef tego resortu Adam Niedzielski. Przyczyną był skandal z ujawnieniem przez Niedzielskiego na Twitterze, że dr Piotr Pisula z Poznania, który powiedział „Faktom” TVN, że nie mógł wypisać żadnemu pacjentowi recepty na silne leki przeciwbólowe w związku z ograniczeniami, jakie weszły w życie na mocy ministerialnego rozporządzenia, wypisał taką receptę sobie, co miało świadczyć o tym, że lekarz kłamał. Pisula jednak

Andrusiewicz był rzecznikiem Ministerstwa Zdrowia od grudnia 2019 r. do sierpnia 2023 r., gdy do dymisji podał się skompromitowany szef tego resortu Adam Niedzielski.

mówił prawdę, bo medycy mieli rzeczywiście problemy z wystawieniem recept pacjentom, mogli natomiast wystawić je sobie.

Aby zniszczyć reputację szanowanemu lekarzowi, Niedzielski nie tylko ujawnił dane wrażliwe, ale też nadużył swoich uprawnień, gdyż wymusił na



Minister Niedzielski tłumaczył, że do ujawnienia danych doktora Pisuli namówił go Wojciech Andrusiewicz. Nz. konferencja prasowa 9 maja 2023 r.

podwładnych urzędnikach, aby ci przekazali mu zastrzeżone informacje. Byli to dyrektor Departamentu Innowacji, który polecenie Niedzielskiego przekazał szefowi Centrum e-Zdrowia, a ten niedługo później odpowiedział mu za pośrednictwem popularnego komunikatora WhatsApp (sic!).

w liście do premiera Mateusza Morawieckiego napisał m.in.: „Ujawnienie przez członka polskiego rządu wrażliwych informacji jest jawnym złamaniem Konstytucji RP. Nie dostrzegam uzasadnienia i podstawy prawnej po stronie ministra zdrowia do udostępnienia tych informacji. Deklarowane publicznie przez ministra zdrowia intencje, motywacja i cel ich ujawnienia (...), nie uprawniają do złamania prawa do prywatności i wykracza dalece poza działania w granicach prawa”.

Gdy zrobiło się gorąco, minister Niedzielski został wezwany do siedziby PiS, gdzie (jak informowała „Gazeta Wyborcza”) tłumaczył się Jarosławowi Kaczyńskiemu, że to wina Andrusiewicza, który był pomysłodawcą akcji i namówił go do nielegalnych działań wobec doktora Pisuli (sic!).

Postępowanie w sprawie ujawnienia wrażliwych informacji wszczął Urząd Ochrony Danych Osobowych, a Naczelna Izba Lekarska zapowiedziała, że złoży zawiadomienie do prokuratury. Swojego oburzenia nie krył też prezes Naczelnej Rady Adwokackiej Przemysław Rosati, który

Przyznał się do zarzucanego mu czynu

Jeśli to prawda, nie byłby to pierwszy raz, gdy Andrusiewicz igra z prawem. Zanim został rzecznikiem resortu zdrowia, był rzecznikiem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. W grudniu 2015 r. wysłałem do niego mejla z pytaniami dotyczącymi współpracy ZUS z firmą Prokom. Pomimo wielokrotnych monitów Andrusiewicz nie raczył odpowiedzieć.

Wcześniej Andrusiewicz był rzecznikiem ZUS. Nigdy nie odpowiedział na wysłane w grudniu 2015 r. pytania dotyczące współpracy ZUS z Prokodem.

Po kilkunastu miesiącach oczekiwania na odpowiedź powiadomiłem prokuraturę o popełnieniu przestępstwa przez rzecznika ZUS. Zgodnie z art. 23 ustawy o dostępie do informacji publicznej: „Kto, wbrew ciążącemu na nim obowiązkowi, nie udostępnia informacji publicznej, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku”.

Wezwany przed oblicze prokuratora Andrusiewicz przyznał się do winy. „Ogłoszony mi (...) zarzut, zrozumiałem i przyznaję się do zarzucanego mi czynu. (...) Odpowiadając na pytanie, dlaczego nie udzieliłem odpowiedzi na pytanie red. Sikorskiego, jedyne co mam na wytłumaczenie to natłok pracy i brak odpowiedzi od osób, do których skierowana została sprawa. (...) Co nie zmienia faktu, że w tym przypadku popełniłem błąd (...). Taki błąd zdarzył się po raz pierwszy, gdzie odpowiedź nie została udzielona i do dziś był to błąd ostatni (...). Staram się podchodzić do swojej pracy profesjonalnie, stąd też samo postępowanie prowadzone przez prokuraturę i policję jest swego rodzaju karą”, tłumaczył się Andrusiewicz.

Suchej nitki na postępowaniu podwładnego nie zostawił Łukasz Borowski, dyrektor gabinetu prezesa ZUS, który był przesłuchiwany w charakterze świadka: „Nadal nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czemu rzecznik Andrusiewicz nie nadał dalszego biegu sprawie, tj. zapytaniu

red. Sikorskiego, nie wiem, dlaczego nie poinformował go o ewentualnej opieszałości. (...) Na chwilę obecną nie wyciągnęliśmy żadnej odpowiedzialności dyscyplinarnej wobec rzecznika, zamierzam z nim o tym porozmawiać. Sam rzecznik mnie nie poinformował, że zawałił sprawę z nieudzieleniem odpowiedzi, dowiedziałem się o tym dopiero z pisma prokuratury. Zdaję sobie sprawę, że rzecznik ma wiele spraw na głowie, ale niedopuszczalne jest, aby nie

gdy zapadł wyrok uznający jego winę (grudzień 2018 r.), ani nawet przez kolejny rok, gdy był jeszcze rzecznikiem ZUS. Konsekwencje tego będzie musiała ponieść teraz prezes ZUS Gertruda Uścińska.

Przypuszczenie, że nie popełni przestępstwa

Sąd na wniosek prokuratora na podstawie art. 66 Kodeksu karnego umorzył warunkowo postępowanie wobec Andrusiewicza na okres jednego roku próby. Przepis ten mówi, że można „warunkowo umorzyć postępowanie karne, jeżeli wina i społeczna szkodliwość czynu nie są znaczne, okoliczności jego popełnienia nie budzą wątpliwości, a postawa sprawcy niekaranego za przestępstwo umyślne, jego właściwości i warunki osobiste oraz dotychczasowy sposób życia uzasadniają przypuszczenie, że pomimo umorzenia postępowania będzie przestrzegał porządku prawnego, w szczególności nie popełni przestępstwa”.

Niestety, prokurator i sędzia chyba się pomylili, a prezes NBP Adam Glapiński będzie musiał mieć na oku swojego rzecznika, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten wsadzi go na minę, podobnie jak to zrobił z innymi swoimi szefami. ■

SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

Kulisy wielkiej polityki i pracy wywiadów światowych potęg

Książki PRZEGLĄDU

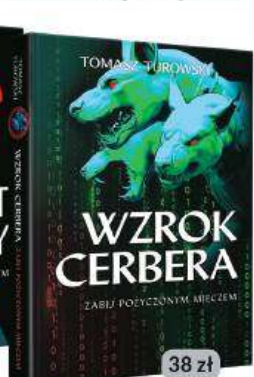
**Kolejna książka
Tomasza Turowskiego
o tematyce szpiegowskiej.
Był jednym z najlepszych
oficerów wywiadu.
Wie, o czym pisze,
i robi to zawsze ciekawie.
Zachęcam do lektury.**

Gen. Gromosław Czempiński



**CHICHOT
HIENY**

39 zł



**WZROK
CERBERA**

38 zł

WZROK CERBERA – finał trylogii ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Wierzyliśmy, że socjalizm da się naprawić

Myśmy nie kpili z hasła „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”



Rozmawia Robert Walenciak

Chińczycy mówią, że każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Zaczniemy więc od tego pierwszego kroku. W jaki sposób chłopak z Tczewa wybrał studia na SGPiS (dziś SGH)? Dlaczego ekonomię i dlaczego tam?

– Wtedy nie wiedziałem, co to jest ekonomia, bo w szkole nikt nam tego nie wyjaśniał. Ale przyglądałem się, co się wokół dzieje, i wielu

aspektów funkcjonowania rzeczywistości gospodarczej nie rozumiałem. A chciałem zrozumieć! Dzięki temu, że miałem mądrych nauczycieli, którzy pobudzili moje zainteresowania, regularnie czytałem dwa tygodniki – „Politykę” i „Kulturę”. Tej klasy tygodników we współczesnej Polsce nie ma.

Miał pan pieniądze na „Politykę” i „Kulturę”?

– Bogaci nie byliśmy, ale biedy też nie klepał. W dzieciństwie nie miałem piłki skórzanej, zawsze

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO

– ekonomista, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego, wiceprezes Rady Ministrów i minister finansów w latach 1994-1997 i 2002-2003, twórca programów rozwoju społeczno-gospodarczego Strategia dla Polski, Pakietu 2000 i Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej.

gumową. Nie miałem modnych wtedy butów ze szpicami, bo trzeba je było kupić od prywatnego szewca, drogo, a w państwowych sklepach nie było. Miewałem inne akcesoria tamtego czasu, typu koszula non-iron, ale płaszcz ortaliowego już nie. Natomiast na książki i gazety pieniądze dostawałem od rodziców zawsze, bez żadnych problemów. Czytałem także tygodnik „Dookoła Świata” oraz „Film”. I miesięcznik „Kino”.

Chciał pan wyrwać się stamtąd?

– Chciałem studiować dostatecznie daleko, aby nie być zmuszonym do dojeżdżania z domu na uczelnię. Dlatego od razu wyeliminowałem studia w Gdańsku, chociaż bardzo lubię Trójmiasto. Przez rok, po maturze, dojeżdżałem tam do pracy dzień w dzień. Mój brat, Genek, jeździł do Gdańska do Technikum Komunikacyjnego, a potem całe swoje zawodowe życie. Mój tata, inżynier budowy dróg i mostów, odkąd tylko pamiętam, aż do emerytury.

11 lipca – ten moment mojego życia

A dlaczego wybrał pan Warszawę?

– Siostra studiowała na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Odwiedzałem ją kilka razy, będąc jeszcze w ogólniaku. I tak, interesując się problematyką społeczną, podjąłem decyzję, że spróbuję dostać się do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Za pierwszym razem, w 1967 r., nie przyjęli mnie, co miało daleko idące konsekwencje; marzec '68 spędziłem w Gdańsku, ale już 23 marca, w przeddzień imienin siostry, Gabrieli, byłem w Warszawie, waletując przez kilka dni w żeńskim akademiku na Madałińskiego. Na studia dostałem się za drugim razem, w 1968 r. Moment, kiedy 11 lipca zobaczyłem swoje nazwisko na liście przyjętych na studia, był jedną z najważniejszych chwil mojego życia. Jakimś niesamowitym zbiegiem okoliczności tego samego dnia, 11 lipca, ale pokolenie później, w 1996 r., jako wicepremier Rzeczypospolitej Polskiej podpisałem w Paryżu historyczny akt przystąpienia do OECD.

I co dalej? Jakie były pańskie zamiary na samym początku studiów?

– Po pierwsze, był jeden wielki znak zapytania – co to jest ekonomia? Po drugie, szybko zrozumiałem, że są i będą przedmioty, które mnie fascynują, i takie, które mnie mało interesują. Przyjąłem więc taką taktykę: to, co ciekawe, zgłębię, idąc nawet dalej, niż profesorowie i ich asystenci wymagają, a resztę dla porządku zaliczam, bo muszę. Po trzecie, wielce interesujące okazały się wykłady z ekonomii politycznej kapitalizmu prowadzone przez prof. Maksymiliana Pohorillego. To one skierowały mnie na tory ekonomii. I po czwarte, w pierwszych dniach studiów na SGPiS zostałem działaczem.

11 lipca 1968 r. dostałem się na studia, a 28 lat później jako wicepremier Rzeczypospolitej Polskiej podpisałem historyczny akt przystąpienia do OECD.

Tak szybko?

– Nigdy przedtem nie byłem działaczem. No, kilka razy byłem gospodarzem klasy. W Tczewie używałem życia nastolatka. Częściej miałem sprawowanie obniżone niż nie... W klasie dziewiątej i dziesiątej liceum – według obecnego systemu drugiej i trzeciej – miałem ocenę dostateczną. Na świadectwie maturalnym rada pedagogiczna oceny ze sprawowania mi nie obniżyła ze względów humanitarnych, bo to przekreśliłoby jakiegokolwiek szanse na dostanie się na studia.

Dlaczego obniżano panu ocenę ze sprawowania?

– Za krnąbrność, za niesubordynację, za chyba zbyt częste stawianie nauczycielom niewygodnych pytań i za różne młodzieżowe rozróby.

W ZSP rozwinąłem skrzydła

A jak pan został działaczem?

– Na zebraniu, w przerwie pierwszego wykładu z matematyki, zjawiała się koleżanka, studiowała rok wyżej, i powiedziała, że trzeba wybrać starostę grupy. Cisza. Nikt nie chciał. Więc aby skończyć sprawę, powiedziałem: „To ja mogę być”.

Zaraz potem był kolejny punkt, spotkanie starostów, na którym przewodnicząca komisji ds. pierwszego roku zapowiedziała, że każda grupa dostanie jakieś ważne zadanie. Wymienili ich kilka. Jedno z nich było takie, że na naszych otrzęsinach, które szykowano w klubie Hades, trzeba przeprowadzić wybór miss roku, a to niełatwe zadanie. No to natychmiast się zgłosiłem i przygotowałem pomysł, jak to przeprowadzić, bo zawsze lubiłem niełatwe zadania.

A potem w klubie Hades w podziemiach SGPiS były te otrzęsiny. I pan...

– Zezłościłem się, bo kierownik klubu też miał swój scenariusz. Wystąpił, zabrał głos i pod jego dyktando

do wybrano miss roku. Ja miałem inną koleżankę upatrzoną do obiektywnego zwycięstwa, więc zrobiłem awanturę przewodniczącemu rady wydziałowej. „Jak to możliwe, że dajecie nam zadanie, my przygotowujemy plan, a wy robicie swoje konkursy!”, objechałem go. Był tak zszokowany, że sprawdzili moje papiery złożone w dziekanacie przed egzaminami wstępnymi.

Ciekawi byli, co to za człowiek, skąd się wziął?

– A w tych papierach opinię miałem taką, że lepszej mieć nie można. Przez rok pracowałem jako robotnik na budowie tunelu pod dworcem Gdańsk Główny. Miałem dobre stosunki z kierownikiem budowy. Poszedłem więc do niego i mówię: „Panie inżynierze, na studia będę zdawał, potrzebuję opinię”. On na to: „Napisz i przynieś”. Napisałem, przyniosłem, kierownik podpisał. To była chyba najlepsza opinia spośród wszystkich kandydatów na SGPiS.

Nie dziwi mnie to.

– Jak przeczytali, jaki jestem och! i ach! – a dałem wyraz swojej aktywności, energii i witalności przy incydencie z pięknoscią pierwszego roku – to mi zaproponowali, żebyśmy

wszedł w skład Rady Wydziału Zrzeszenia Studentów Polskich, ZSP. Jeszcze w październiku, na pierwszym semestrze, zostałem jej członkiem – przewodniczącym komisji propagandy i informacji. Chodziło o propagowanie ruchu studenckiego, informowanie o tym, co dzieje się w zrzeszeniu, na wydziale, w naszej akademickiej społeczności. No i tak rozwinąłem skrzydła.

Nie miałem czasu na nieciekawe wykłady

ZSP pana wciągnęło?

– Absolutnie! Już w połowie drugiego roku studiów zostałem przewodniczącym Komisji Kultury Rady Uczelnianej. Dobrze się w tym czułem. Gdy byłem szefem komisji propagandy i informacji na wydziale,

oddziaływanie na zmianę rzeczywistości na lepszą. Oczywiście na wąskim poletku, na uczelni; żeby były dobre warunki do studiów, zarówno materialne, jak i intelektualne. Z czasem horyzonty społecznych i politycznych zainteresowań się poszerzały. Coraz bardziej uświadamiałem sobie, ile problemów jest wokół. Już na drugim roku, studiując ekonomię polityczną socjalizmu, zacząłem sobie zadawać pytanie: skoro jest tak dobrze w teorii, to dlaczego nie jest tak dobrze, a czasami wręcz jest źle w praktyce? Błąd koncepcji czy wykonania?

Był pan wybierany do ciał ZSP?

– Rada Wydziału dokooptowała mnie do swojego składu. Do Rady Uczelnianej były w pełni demokratyczne wybory, tajne i powszechne. Z kolei rada wybrała Komitet Wyko-

w w drugim terminie. Bardzo to przeżyłem. W związku z tym zostałem zmuszony do ustąpienia ze stanowiska przewodniczącego RU ZSP. Realizowaliśmy zasadę, że działacz studencki ma być wzorem dla innych, a repetent takim nie być.

O co chodzi z tym podtekstem politycznym?

– Była jesień 1971 r. Po drodze działy się różne rzeczy. Po grudniu 1970 r. powstała na SGPiS partyjna komisja, w której był przedstawiciel każdego z pięciu wydziałów oraz student, więc z klucza jako prezes ZSP trafiłem tam i ja. No i robiliśmy wielką uczelnianą odnowę. Trzeba było posprzątać, usuwać błędy, reformować i inicjować. Ja się wtedy uczyłem polityki realnej... Do dziś pamiętam, jak sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Jerzy Kuberski, później ambasador Polski w Watykanie, na spotkaniu za zamkniętymi drzwiami, wysłuchawszy naszych uwag co do funkcjonowania nie tylko naszej uczelni, lecz szerzej środowiska akademickiego z jego badaniami naukowymi i dydaktyką, powiedział, abyśmy uważali, co piszemy w swoim raporcie, bo nie można robić sobie zbyt wielu wrogów naraz. A ja sobie narobiłem trochę tych wrogów... I niektórzy uważali, że zostałem na tę repetę skierowany, żeby był ze mną święty spokój.

Wybrałem naukę

Żeby miał pan nauczkę?

– Pewnie tak, ale studia skończyłem w terminie. Chodziłem na zajęcia rok wyżej, niczego nie powtarzałem, z wyjątkiem tego angielskiego, który szybko zdałem. Zrobiłem – formalnie biorąc – dwa lata studiów w ciągu jednego roku, przedłożyłem pracę maderską napisaną u prof. Pohorillego z oceną bardzo dobrą i zostałem panem magistrem. Notabene wtedy w moim życiorysie pierwszy raz pojawia się Ministerstwo Finansów, bo za tę pracę, o nierównowadze rynkowej w Polsce, dostałem nagrodę ministra finansów. Chyba aż 2 tys. zł! Ministrem wtedy był Stefan Jędrzychowski. I walka szła o to, aby zostać w Warszawie.

Na świadectwie maturalnym rada pedagogiczna oceny ze sprawowania mi nie obniżyła ze względów humanitarnych, bo to przekreśliłoby szanse na dostanie się na studia.

założyłem i redagowałem gazetkę ścienną „Studenckie Vademecum”. Mój pierwszy artykuł do dziś pamiętam: „Ona jedna, ich czterech i nas tysiące”. To był esej o wielkim wydarzeniu kulturalnym, jakim był bal ze znakomitą Mirą Kubasińską i zespołem Breakout w kultowej auli spadochronowej. To jest to wspaniałe atrium, jak się wchodzi do SGH. Potem, gdy byłem przewodniczącym komisji kultury, miałem okazję sam organizować podobne bale. Wielka frajda! Zrobiłem bal ze Skaldami, z Niemenem, z Trubadurami. Zorganizowałem koncert Marka Grechuty. Z wszystkimi, przy okazji, człowiek wypił więcej niż jedno piwo.

Nie sądzę, by miał pan czas na naukę.

– Nie miałem czasu, żeby chodzić na nieciekawe wykłady. Ale to, co mnie interesowało, czytałem, i to ponad zadaną lekturę. I dyskutowałem. Wtedy również wstąpiłem do partii – to musiało być gdzieś pod koniec pierwszego roku studiów – widząc w PZPR postępową organizację, która zwiększała możliwość

nawczy, też w pełni demokratycznie, z przypisaniem do komisji. Potem moje ambicje wzrosły; postanowiłem zostać przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP. To było na początku trzeciego roku studiów.

I były wybory...

– I to jakie! Komitet Uczelniany PZPR zarekomendował przewodniczącego komisji ds. spółdzielczości studenckiej. A ja i tak wystartowałem, wbrew partii, i w ostrej rywalizacji, w tajnych wyborach, wygrałem. Zostałem najmłodszym w historii SGPiS przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP. A potem było potem.

To znaczy?

– Były różne atrakcje życia studenckiego. I tak się złożyło, że oblałem – dzisiaj mało kto by w to wierzył – egzamin z języka angielskiego. Potem, z różnych powodów, nie podszedłem w terminie do poprawkowego i od razu zostałem skierowany na repetę. Nie ja jeden uważałem, że był w tym podtekst polityczny. Bez możliwości wyjaśnienia, dlaczego nie zjawiłem się

To co pan zrobił?

– Zaczepiłem się jako kierownik usług gastronomicznych w Studenckiej Spółdzielni Pracy Universitas. Przez parę miesięcy. Barek na piętrze w klubie Stodoła to moje dzieło. Już po zakończeniu budowy klubu powiedziałem: „Tu czegoś brakuje”. I rzutem na taśmę powstał barek. Więc włóczyłem się po klubach studenckich, które zaopatrywałem: Nowy Medyk, Stodoła, Hades, Remont... To było piękne życie, ale bez perspektyw. Na szczęście okazało się, że są dwa dodatkowe miejsca na studiach doktoranckich. Na początku grudnia były egzaminy, poszedłem i z marszu zdałem. Zostałem doktorantem SGPiS. To był kolejny przełom w życiu. Szybko napisałem dysertację doktorską u prof. Pohorillego na temat cykliczności wzrostu w gospodarce socjalistycznej. To była nowatorska praca, która odbiła się echem nie tylko w Polsce. Potem znalazł się etat w Katedrze Ekonomii Politycznej na Wydziale Ekonomii Produkcji, gdzie wcześniej studiowałem. To przesądziło, że wszedłem na ścieżkę kariery naukowej.

Wybór był świadomy?

– W pełni. W tym czasie nauka była już moim priorytetem. Już wiedziałem, że to wspaniała sprawa, że chodzi tu o prawdę, o docieranie do istoty rzeczy. Że uzyskanie odpowiedzi na każde pytanie od razu



W 1968 r. Grzegorz W. Kołodko dostał się na studia na SGPiS.

Obserwuj, analizuj, staraj się zrozumieć, co od czego zależy, a jak już zrozumiesz, wyjaśnij to innym. Dlatego dużo publikuję, w wielu językach. A potem jest część postulatyczna – tzw. ekonomia normatywna. Gdy rozumiesz już, jak jest i dlaczego, to co i jak zrobić, aby było lepiej. Natychmiast człowiek staje przed pytaniami: lepiej – to znaczy jak? Lepiej – ale dla kogo? Lepiej – ale

Przez rok pracowałem jako robotnik na budowie tunelu pod dworcem Gdańsk Główny.

stawia nas w obliczu następnych pytań. Jest to więc nigdy niekończąca się przygoda intelektualna. To było fascynujące. Zwłaszcza że nasza rzeczywistość w tamtym okresie rozjeżdżała się z tym, co nauki ekonomiczne przedstawiały. Kontestowania i wątpliwości było coraz więcej. Dla mnie ekonomia – nauka humanistyczna, z człowiekiem i jego potrzebami w centrum – ma w sobie dwa niezbywalne nurty. Opisowy – tzw. ekonomia deskryptywna.

jakim kosztem? Lepiej – ale jak się podzielić kosztami i efektami? To są odwieczne pytania.

Jaka była wtedy Polska waszych marzeń?

– Wtedy? Myśmy nie kpili z hasła „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Na pewno chodziło nam o to, aby była to Polska socjalistyczna, ludowa, z autentyczną sprawiedliwością społeczną, ale zarazem by gospodarka była lepsza – ekspansywna, szybko rozwijająca się.

Dla mnie bardzo ważne było cały czas – już od roku 1970 – aby była ona dynamicznie zrównoważona.

To był szok kulturowy

Kiedy po raz pierwszy pojechał pan na Zachód?

– Po raz pierwszy za granicę pojechałem, będąc panem magistrem. Jeśli więc ktoś spotka się z opinią, że gdy byłem działaczem, wykorzystywałem to interesownie do wyjazdów zagranicznych, jest to nieprawda. Odwrotnie, będąc prezesem Rady Uczelnianej ZSP, miałem możliwości wręcz samokwalifikowania się, ale gdy zobaczyłem, jaka atmosfera towarzyszy przydzielaniu tych wyjazdów – na praktyki, na wycieczki, w ramach wymiany – doszedłem do wniosku, że w tym nie będę uczestniczył. Byłem ponad tę ostrą rywalizację i demonstracyjnie nie wyjechałem ani razu podczas studiów. A wcześniej, gdy mieszkalem z rodziną w Tczewie, też nie wyjeżdżaliśmy za granicę, bo było to dla nas zbyt drogie.

Jaki więc był pański pierwszy wyjazd?

– Praktyka studencka, trzytygodniowa. Wyższa Szkoła Ekonomiczna w Bratysławie, potem krótki pobyt w Brnie i Praga. To był lipiec 1973 r., byłem doktorantem. Na tak nieciekawym wyjeździe nikt z etatowej kadry Katedry Ekonomii Politycznej nie chciał jechać jako opiekun grupy studentów. Więc „wrobili” mnie, za co jestem bardzo wdzięczny.

Dlaczego?

– To był szok kulturowy. Choć była to tylko Czechosłowacja, dla mnie był to też inny świat. Podobnie, ale inaczej – od języka i kuchni po kulturę i zwyczaje. Zafascynowało mnie to. Rozglądałem się też wokół jako ekonomista: dlaczego, choć ustrój podobny, niedobory są mniejsze, kolejki krótsze? Dlaczego piwo jest nawet późno wieczorem, a u nas już wczesnym popołudniem nie starczało? Rok później to już był wyjazd indywidualny, na całość, na Zachód. Wyjechałem na czterotygodniową praktykę AIESEC w oddziale banku ▶

► w Cagliari na południu Sardynii. Jechałem tam miesiąc, po drodze zwiedziłem Wiedeń, byłem w Wenecji, Bolonii, San Marino, Pizie, Florencji, Rzymie i zaokrętowałem się w Neapolu. Wracając, popłynąłem promem do Genui i stamtąd autostopem, przez włoską i francuską Riwierę, do Marsylii i Paryża, i dalej do Brukseli, Amsterdamu, do Kolonii i do Monachium na festiwal piwa, stamtąd do Getynge i do Berlina Zachodniego. Całą trasę od Genui do Berlina zrobiłem autostopem. Do Berlina wschodniego metrem i potem już pociągami. Przejechawszy Odrę, zgłosiłem się do konduktora z prośbą o bilet kredytowy, bo byłem bez grosza, a dokładniej

socjalizmu jest reformowalna. W roku 1977 byłem po raz pierwszy w USA, w pierwszym Nowy Jork i Waszyngton, później przez miesiąc mieszkalem ze zwykłymi amerykańskimi rodzinami na prowincji w stanie Ohio, a potem z przyjaciółmi zjechaliśmy całe Stany od wybrzeża do wybrzeża; 20 tys. km w niespełna miesiąc! Wszystkie noce w jadącym samochodzie...

Szybciej zmniejszyć dystans

Jak pan sobie wtedy wyobrażał przyszłą Polskę?

– Wtedy nie sądziłem, że z czasem staniami się krajem kapitalistycznym, tylko chciałem, aby nasz

otwarcia gospodarki narodowej na kontakty ze światem zewnętrznym, w tym z Zachodem, co sprzyjało konkurencyjności naszej gospodarki. Poprawiało się zarządzanie, intensyfikowany był postęp techniczny. Jednakże systemowy brak tzw. twardych ograniczeń budżetowych prowadził do przeinwestowania gospodarki i załamania równowagi gospodarczej. Pisałem o tym, przestrzegając, już w pracy doktorskiej złożonej w 1975 r. **A lata 80.?**

– To już zupełnie inna epoka. Obok pracy w SGPiS byłem na pół etatu doradcą prezesa NBP, Stanisława Majewskiego. Gdy szedł do Sejmu, podpowiadałem mu, żeby, prezentując bilans przychodów i wydatków ludności z wciąż dużą luką popytową, nie piszczeć jak mysz, tylko ryknąć jak lew. Pamiętam, co mi odpowiedział: „Panie doktorze, to nie jest dobry czas, bo jeszcze duch Popiełuszki krąży nad Sejmem”.

Ogromną wagę miały czynniki polityczne.

– Tak, zdecydowanie. Zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Tamte reformy wszakże, które co bardziej światli przywódcy polityczni ze swoim zapleczem fachowych ekonomistów chcieli przeprowadzić, to nie był zamiar odchodzenia od ustroju socjalistycznego, lecz próba jego ratowania przez nadanie mu wyższej efektywności ekonomicznej i uzyskanie większej akceptacji społecznej. Niezbyt udane, bo niekonsekwentne były reformy pierwszej połowy lat 80. W międzyczasie opublikowałem jedną z pierwszych w Polsce monografii o inflacji w socjalizmie; to była moja książka profesorska. Zatytułowałem ją „Polska w świecie inflacji”; tak trochę à propos „Alcji w Krainie Czarów”.

Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić

Prezesem NBP został wtedy prof. Władysław Baka.

– Tak. Współpracowałem z nim, gdy przygotowywał „Program umacniania pieniądza”. Ale wtedy, w roku 1987, wskutek coraz silniejszej inflacji pieniądza coraz bardziej słabł. Nie mógł się umacniać, bo to wymagałoby spadku

Wbrew partii wystartowałem w tajnych wyborach, wygrałem i zostałem najmłodszym w historii SGPiS przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP.

bez feniga. Wróciłem do Warszawy, wymieniałem na złote 10 marek zachodnioniemieckich, które w Getyndze dał mi tamtejszy biedny student, zapłaciłem za bilet z Berlina i jeszcze wystarczyło mi na wykupienie obiadów na cały październik w stołówce pracowniczej SGPiS. Nawet jeszcze zostało na bilet do kina.

To przejechał pan przez jedno lato całą Europę Zachodnią...

– Prawie. W następnym roku popłynąłem do Helsinek, przejechałem autostopem Finlandię, Nordkapp w Norwegii, dotarłem do Sztokholmu, pojechałem na południe Szwecji i tam przez trzy tygodnie i trzy dni pracowałem, układając kwiaty w szklarni; znowu jako niewykwalifikowany robotnik. Zarobiłem tyle pieniędzy, że starczyło mi na tydzień pobytu na Wyspach Kanaryjskich. Byłem wyzyskiwanym robotnikiem w tym „zgniłym kapitalizmie” i miałem okazję porównać tym razem już praktykę, nie tylko teorię, do losu proletariusza w Polsce Ludowej. W sposób oczywisty te wszystkie obserwacje i doświadczenia zmuszały do przemyśleń i miały wpływ na moje naukowe zainteresowania i badania, choć wtedy jeszcze byłem przekonany, że gospodarka realnego

dystans rozwojowy do Europy Zachodniej szybciej się zmniejszał, uważając, że można tego dokonać w ramach ustroju socjalistycznego, ale z zasadniczo większą dozą regulacji rynkowej. Wierzyliśmy, w przytłaczającej większości, nawet kontestując punktowo realny socjalizm, że to jeszcze da się naprawić, ulepszyć... Jeszcze tak podchodziłem do sprawy, robiąc habilitację w 1984 r.

Epokowym osiągnięciem socjalizmu było uprzemysłowienie kraju.

A tak przy okazji, od tamtego czasu sam projektuję okładki większości moich książek. Wtedy były to stoje przeciętego pnia drzewa z kilkoma dziesiątkami w środku; od nadmiaru słusznych celów pień pękał.

Czy myślał pan, że socjalizm będzie ewoluował?

– On już wtedy ewoluował. Pierwsza wielka zmiana, którą obserwowałem, to były lata 70. Mieliśmy do czynienia z luzowaniem planowania nakazowo-rozdziałczego, wzmacnianiem roli sektora prywatnego, z innym stosunkiem do rolnictwa indywidualnego, z coraz większą skalą

cen i wzmocnienia kursu walutowego złotego. Tymczasem nie tylko rosły ceny, lecz także poszerzał się zakres bardzo dotkliwych niedoborów, i w sferze produkcji, i w odniesieniu do towarów konsumpcyjnych.

To ten syndrom, który w literaturze nazwał pan shortageflation.

– Tak. I to była główna przyczyna upadku państwowego socjalizmu, z czego później stosowne wnioski wyciągnęli Chińczycy. Tam już od z górą 30 lat nie ma niedoborów, choć – tak uważam – socjalizmu też nie ma. Ani kapitalizmu. To hybrydowy system, który nazywam chinizmem. Wracając zaś do Polski, proponowałem prof. Bace, aby opracować i wdrażać przełomowy program nie wzmacniania pieniądza, ale wzrostu roli pieniądza, czyli w istocie by pójść dalej i szybciej w kierunku urynkwienia i deregulacji, liberalizacji gospodarki i pluralizmu własnościowego. I tym razem pamiętam odpowiedź prezesa NBP: „Panie docencie, jeszcze atrament na planie pięcioletnim nie wysychał”.

Widział pan Zachód, który jest efektywny gospodarczo. Nie miał pan wrażenia, że tu nie ma co reformować, że to trzeba zmienić?

– Z czasem – tak. Zależy, o który moment historii pan pyta. Inaczej widziałem to, rozpoczynając w 1968 r. studia na SGPiS, inaczej, kiedy już co nieco rozumiałem ze sposobu funkcjonowania gospodarki socjalistycznej w 1978 r., jeszcze inaczej w 1988 r., gdy już było oczywiste, że sensowne urynkwienie gospodarki jest niemożliwe bez demokracji państwa.

Bo socjalizm się wypalił?

– Państwowy socjalizm wiele spraw rozwiązał. Jego wielkim sukcesem była strukturalna likwidacja bezrobocia, poprawa jakości kapitału ludzkiego, poczynając od totalnej eliminacji analfabetyzmu. Epokowym osiągnięciem było uprzemysłowienie kraju. Polski socjalizm to był przełom nie tylko polityczny i kulturowy, lecz także ekonomiczny, który

przyświecającej jej zasady „im gorzej, tym lepiej”. Nie może funkcjonować żaden rynek, jeśli ceny nie są swobodne. A oswobodzanie cen było natychmiast blokowane strajkami i protestami przez Solidarność, która, choć zdelegalizowana, była tolerowana. Potrzebna była odpowiedź polityczna, a nie tylko ekonomiczna. Trzeba było dogadać się ponad podziałami ideowo-politycznymi.

Pierwsze rządy solidarnościowe miały przyzwolenie społeczne na rzeczy nie do pomyślenia przed rokiem 1989.

unowocześnił strukturę gospodarki i wyeliminował eksploatorskie instytucje. Z czasem wszakże zaczął więcej problemów tworzyć, niż rozwiązywać – zwłaszcza w sferze nierównowagi – i dlatego musiał upaść pod ciężarem własnej niewydolności wobec warunków technologicznych i zmian w gospodarce światowej.

To tłumaczy życiowe drogi wielu ludzi, którzy przeszli przez Polskę Ludową, a potem III RP.

– Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić. Że należy iść w kierunku wielosektorowej społecznej gospodarki rynkowej. Ale potrzebny był przełom polityczny, by dokonać jakościowego, nieodwracalnego pchnięcia gospodarki na właściwe tory. Reformy profesorów Sadowskiego i Baki, choć częściowe, zmierzały we właściwym kierunku. Ale były blokowane politycznie zarówno przez rządzącą konserwę polityczną w partii i administracji, jak i przez opozycję, w myśl

I się dogadali...

– Dogadaliśmy się. Nie oni, tylko my. Sam też zimą i wiosną 1989 r. zasiadałem i dyskutowałem przy Okrągłym Stole. Gdy powstał koalicyjny rząd premiera Mazowieckiego, rzeczy niemożliwe stały się możliwe. Zachód zniósł sankcje i zaczął nam pomagać. Społeczeństwo godziło się na wyrzeczenia nawet większe niż te konieczne do poniesienia. Półki szybko stały się pełne, dlatego że kieszenie stały się puste. Te pierwsze rządy miały przyzwolenie społeczne na rzeczy nie do pomyślenia przed rokiem 1989. Przełom był polityczny. Szkoda tylko, że to zaufanie społeczne zostało nadużyte wskutek błędów koncepcyjnych i realizacyjnych tzw. terapii szokowej, która pociągnęła za sobą nadmierne koszty, zarazem nie przynosząc oczekiwanych rezultatów. Ale to już osobny temat.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

**Kliknij opcję
KUP NA PREZENT**

**ROCZNA – 100 zł
PÓŁROCZNA – 50 zł
KWARTALNA – 25 zł
MIESIĘCZNA – 10 zł**



**NIE CZEKAJ!
KUP E-PRENUMERATĘ,
NIM SKOŃCZY SIĘ PROMOCJA**

**CO SOBOTA NOWE
e-wydanie PRZEGLĄDU**

Oferta tylko do końca grudnia!

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Schyłek USA i świat na wojnie

Wchodzimy w epokę wielobiegunową,
a globalny policjant słabnie

Rozmawia Jakub Dymek

Wojna jest wszędzie – straszą kolejne raporty i analizy uniwersytetów i think tanków. Od Ukrainy, przez strefę Gazy, po Sudan – konfliktów zbrojnych jest dziś więcej niż kiedykolwiek w XXI w. Pan pisze, że nie mamy jeszcze wojny światowej, za to mamy wojnę na całym świecie. Czy to może być przypadek, czy z tych różnorodnych wydarzeń wyłania się jakaś prawidłowość?

– Nigdy nie można wykluczyć, że nagromadzenie jakichś wydarzeń – wojen, katastrof czy kryzysów politycznych – jest dziełem przypadku. Tym bardziej że wszystko dzieje się jednocześnie w wielu miejscach na świecie. Dlatego uchwycenie trendu czy pewnej fundamentalnej dynamiki zmian jest trudniejsze. A jednak próbuję przekonywać, że widzimy coś więcej niż dzieło przypadku.

Czyli?

– Jesteśmy w momencie zwiększonego globalnego natężenia konfliktów i aktów przemocy. Takie okresy zdarzały się zresztą w przeszłości, nie jest to rzecz bez precedensu. Przeciwnie, mamy dane, żeby umieszczyć obecną eskalację przemocy w kontekście historycznym. W tym pomaga choćby projekt badania konfliktów przy Uniwersytecie w Uppsali w Szwecji. Oni zbierają dane o konfliktach zbrojnych rozumianych szeroko: od wojny między państwami na wielką skalę – jak między Rosją i Ukrainą – aż po walkę wojska ze zorganizowanymi kartelami przestępczymi, jak w Meksyku. I z tych danych badaczy wynika, że pod względem liczby konfliktów zbrojnych lata 2022-2023 są nie tylko wyjątkowe na tle dekad po końcu zimnej wojny. Mówimy o czymś więcej: żyjemy w okresie, gdy konflikty są częstsze niż kiedykolwiek po 1945 r.



PROF.
PAUL
POAST

A może to jednak kwestia jakości zebranych danych? Żyjemy w przekonaniu, że wojen jest wyjątkowo dużo, bo mamy o niebo większy niż poprzednie pokolenia dostęp do źródeł informacji.

– Rozumiem ten argument i nawet byłbym w stanie z tym się zgodzić, gdybyśmy porównywali rok 2020 do 1820. Gdybyśmy cofnęli się o 100 lat, do okolic 1920 r. – również. Ale nie wtedy, gdy mówimy o ostatnich 50-70 latach. Nie można powiedzieć, że nie mamy danych porównawczych o konfliktach zbrojnych z czasów po II wojnie światowej.

Paul Poast – associate professor na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu w Chicago, zajmuje się badaniem relacji międzynarodowych oraz teorią i praktyką konfliktów i sojuszy. Członek Chicago Council on Global Affairs. Autor książek, ostatnio „Arguing about Alliances” (Cornell University Press, 2019). Publikuje cykliczne komentarze na stronach „World Politics Review”.

Mamy je i z nich wynika, że konfliktów zbrojnych jest dziś więcej niż kiedykolwiek po 1945 r. Porównywać się moglibyśmy raczej z czasami tzw. międzywojnia, które wbrew popularnym przekonaniom było czasem wielu starć. Ale nawet biorąc to pod uwagę, jesteśmy świadkami czasów szczególnych.

Dlaczego?

– Od Ukrainy, przez Strefę Gazy oraz wojny domowe w Afryce Subsaharyjskiej, po przewrót i napięcia między władzą cywilną a wojskową w różnych miejscach na całym globie, mamy nagromadzenie konfliktów, które wybuchają i rozwijają się równocześnie. Co może być tego przyczyną? Zaczniemy od tego, że wchodzimy w system, który najlepiej określić jako multipolarny, wielobiegunowy. Nie mamy już jednej światowej potęgi, czyli USA, ani nawet dwóch – razem z ZSRR – jak w czasach zimnej wojny, ale trzy: USA, Rosję i Chiny.

I jak to wpływa na konflikty?

– To ważne, bo historia podpowiada, że na dłuższą metę wiele potęg światowych nie jest w stanie ze sobą

współpracować. Gdy nie współpracują i zaczynają konkurować, następuje rozproszenie ich uwagi – potęgi muszą dzielić uwagę między rywalizację, kontrolę własnego wpływu i interesów oraz relacje z innymi państwami, które też chcą skorzystać z wielobiegunowości

Żyjemy w okresie, gdy konfliktów jest więcej niż kiedykolwiek po 1945 r.

i stają się bardziej asertywne. Rezultat jest taki, że mocarstwa wcale nie są tak skuteczne w zarządzaniu i moderowaniu konfliktów – czego ostatnim przykładem była wojna Armenii i Azerbejdżanu. W innych okolicznościach Rosja naciskałaby na rozejm albo użyła siły, by spacyfikować konflikt. Ale że sama jest na wojnie, nic podobnego się nie wydarzyło. Widzimy już więc, jak w praktyce pewne państwa czy ugrupowania mogą skorzystać z rozproszenia uwagi mocarstw. Kolejnym przykładem jest Hamas. To pierwszy z powodów, dla których ryzyko kaskady konfliktów dzisiaj się zwiększa.

Mocarstwa są rozkojarzone i ktoś może to wykorzystać. A ich zdolność do kończenia cudzych konfliktów w świecie wielobiegunowym maleje. To jest powód numer jeden?

– Dokładnie. Powód numer dwa wynika zaś z pierwszego. Obserwujemy

Obserwujemy schyłek Pax Americana, ładu światowego podporządkowanego USA, kiedy Waszyngton naprawdę mógł odgrywać rolę globalnego policjanta.

jemy schyłek Pax Americana, ładu światowego podporządkowanego USA, który charakteryzował się tym, że Waszyngton naprawdę – a nie tylko w hollywoodzkich filmach – mógł odgrywać rolę globalnego policjanta.

Oczywiście nie do końca się zgadzam z tym, że osłabienie roli USA wprost prowadzi do większej liczby konfliktów. Wszyscy przecież pamiętamy lata 90. i pierwszą dekadę

XXI w. – mimo olbrzymiej potęgi USA to wcale nie był spokojny czas, a w wielu regionach Ameryka była aktywna militarnie. Ale nie da się zaprzeczyć, że kiedyś USA i NATO próbowały bezpośrednio interweniować w celu zakończenia konfliktów. Dziś Stany również próbują ograniczać konflikty, choć z wyraźnie mniejszym skutkiem. Do czego to prowadzi – sami widzimy.

Nawet gdy Waszyngton naciska na ograniczenie konfliktu lub chce powstrzymać jego rozlanie się na inne państwa czy regiony, możliwości USA są mniejsze, a inne państwa mogą próbować osiągnąć odwrotny cel. I mają relatywnie większą siłę w rywalizacji z Ameryką niż w latach 90. i 2000.

Nie mamy już jednej światowej potęgi, czyli USA, ani nawet dwóch – razem z ZSRR – jak w czasach zimnej wojny, ale trzy: USA, Rosję i Chiny.

A kolejny powód?

– Wynika on z obu poprzednich i nazywa się Rosja. A konkretnie rosnąca siła Rosji wobec USA. Szczególnie w odniesieniu do superkontynentu Eurazji – gdzie Moskwa może odgrywać rolę mocarstwa europejskiego i azjatyckiego. To zresztą robi: czy angażując się bezpośrednio w wojnę, czy dostarczając komuś amunicji i sprzętu albo wspierając ruchy separatystyczne.

– Pytanie brzmi, czy możemy wrócić do czasów Pax Americana, gdybyśmy chcieli. A odpowiedź? To bardzo trudne z powodów systemowych. Już tłumaczę. Ludzie wspominają, że Rosja była relatywnie słaba w latach 90., a na powrót zaczęła się globalnie angażować zbrojnie po 2008 r. Tylko że Rosja zawsze – w czasach carskich, w czasach radzieckich – mogła grać w wyższej lidze, niż wskazywałby na to jej potencjał gospodarczy. Po części dlatego, że sam Zachód chciał ją tak traktować. Ale Rosja jest zawsze słabsza ekonomicznie, niż nam się wydaje, a zarazem wcale nie potrzebuje aż takiej siły gospodarczej, by utrzymać znaczącą siłę militarną. Dlatego scenariusz, że osłabienie Rosji gospodarczo – choćby przez sankcje – pozwoli ją spacyfikować,

się komplikuje. Z tych właśnie historycznych, geograficznych, społecznych powodów. Ale nawet założmy, że to się uda i Rosja zostanie spacyfikowana – co wtedy? Silniejsze będą Chiny, rywalizacja wielobiegunowa będzie trwać, a sytuacja nie wróci do stanu z roku 1990.

I to mówią krytycy polityki zagranicznej prezydenta Bidena? Że jego założenia globalnej konfrontacji autokracji i demokracji to próba cofnięcia się do epoki zimnej wojny?

– Dokładnie tego rodzaju krytyka wybrzmiewała jeszcze przed 24 lutego 2022 r. Mowa o rzeczach, które pojawiały się jeszcze w jego kampanii wyborczej – Rosja jako zagrożenie numer jeden, a Chiny jako rywal numer jeden. Krytycy prezydenta Bidena wskazywali, że w konfrontacyjnym podejściu do obu tych państw jest on bardzo zimmnowojenny, do tego często mówi rzeczy, z których muszą się tłumaczyć jego rzecznicy i administracja. Tylko że, prawdę mówiąc, w tej kadencji Biden w niewielkim stopniu odchodzi od kierunków, które zostały wyznaczone przez poprzedników. Poza ▶

► tym jaka jest alternatywa? Można do woli krytykować podejście jego administracji, ale czy naprawdę istnieje droga współpracy z Rosją i Chinami?

Powiedzmy, że odkładamy całą warstwę militarną sporu z Chinami, przestajemy się upominać o prawa człowieka w Hongkongu, rezygnujemy

sobie to wyobrazić w następujący sposób. Na biurku Putina stoją dwie klepsydry. Jedna wylicza czas do wyniszczenia rosyjskiej armii, druga – do momentu, w którym załame się koalicja wsparcia dla Ukrainy. I może on zakładać, że w tej wojnie na wyniszczenie czas będzie po jego stronie. Rosja będzie ponosić

urzędowanie od stwierdzenia: „W porządku, wycofujemy się, zapraszamy do negocjacji, jeśli o nas chodzi, już jest po wszystkim”.

Wielu obserwatorów na świecie i tak nie wierzy w zdolność i chęć USA do rozwiązywania konfliktów. Gaza, Ukraina, Syria, Jemen, listę można by ciągnąć – ale administracja Bidena nie śpieszy się z proponowaniem rozwiązań pokojowych. Nadziei nie dają też instytucje międzynarodowe i ich zdolność do zaproponowania jakiegoś formatu rozmów.

– Myślę, że to prawda, ale cały system globalny – a nie tylko USA – jest przeciwny. Broniłbym zresztą tezy przeciwnej: niezdolność USA do rozwiązywania konfliktów nie jest przyczyną, lecz skutkiem większego kryzysu, powrotu wielobiegunowości i ładu międzynarodowego, któremu brak sterowności.

Jakie zatem są scenariusze?

– Najgorszy to zawsze sięgnięcie po broń jądrową, nawet „małą” bombę, jej użycie w konflikcie

Rosja zawsze – w czasach carskich i radzieckich – mogła grać w wyższej lidze, niż wskazywałby na to jej potencjał gospodarczy.

z polityki wobec Tajwanu – bo widzimy więcej pożytku w kooperacji. I czy to rzeczywiście otworzy Chiny na współpracę z nami na zasadach budowy *soft power*, respektowania umów i sojuszy, poszanowania mniejszych partnerów? Doświadczenie poprzednich prób złagodzenia relacji pokazuje, że nie. Ileż USA próbowały więcej kooperacji, Pekin albo Moskwa robiły coś, co podważało sens tego kierunku i kazało rozważyć powrót do rywalizacji.

No to może światowi przywódcy tylko czekają na powrót Trumpa, bo wierzą, że z nim ułożą się na nowo i proponuje on lepsze warunki koncertu mocarstw niż Biden? Netanjahu w Izraelu, Putin w Rosji, Orbán na Węgrzech, Muhammad ibn Salman w Arabii Saudyjskiej – wielu na to liczy.

– Z całą pewnością wielu przywódców na świecie właśnie podejmuje ten zakład. Spójrzmy na Putina. Od początku tego konfliktu upierałem się, że w przypadku inwazji na Ukrainę Putin nie potrzebuje szybkiego sukcesu. Można

straty, ale ostatecznie piach przesympie się szybciej w tej drugiej klepsydrze, mierzącej cierpliwość sojuszników Ukrainy. Nawet nie dlatego, że Rosja ma takie zdolności mobilizacji rekrutów czy przewagę demograficzną, po prostu nic nie ośabiło jej bazy przemysłowej tak bardzo, żeby nie mogła uzupełniać amunicji czy sprzętu. A sankcje – li czy Moskwa – kiedyś się skończą. Putin może przypuszczać, że zniesie je Trump, choć uważam, że to bardziej skomplikowane.

Nie widzę szans na szybkie rozwiązanie pokojowe ani w Gazie, ani między Rosją a Ukrainą.

Jak to?

– Poczekamy, zobaczymy. Większość obserwatorów uważa, że Donald Trump był przyjazny wobec Rosji ze względu na jego retorykę w stosunku do Putina. Ale w rzeczywistości sankcje i konfrontacyjna postawa wobec Kremla tylko się zaostrzyły za czasów jego administracji. Pomysł wyprowadzenia części żołnierzy NATO z Niemiec do Polski i na wschodnią flankę był tego przykładem.

Zwiększona obecność na wschodniej flance była pomysłem wymierzonym w Rosję. Ludzie mogą się śmiać z „fortu Trump”, ale przecież o to w tym chodziło. Ciągłości między Trumpem i Bidenem jest zresztą więcej. Obaj byli konfrontacyjnie nastawieni również wobec Chin, więc jeszcze bym się wstrzymał z osądami, że ewentualna administracja republikanów zacznie

i nakręcenie proliferacji jądrowej. Bo inni będą też chcieli sięgnąć po tę broń. No i za tym idzie zwiększone ryzyko III wojny światowej i bezpośredniej konfrontacji mocarstw, szczególnie jeśli do gry wejdą Chiny. Z drugiej strony najlepszy scenariusz zakłada, że konflikty będą trwać, ale że szczyt ich intensywności jest za nami i część zacznie wygasać albo zostaną zamrożone – bo nie widzę szans na szybkie rozwiązanie pokojowe ani w Gazie, ani między Rosją a Ukrainą. Nadal więc obserwujemy bardzo dużo wojen, ale one wychodzą z najgorętszej fazy i temperatura walk trochę spada. I mamy nadzieję, że nie ruszy kaskada kolejnych konfliktów.

I to jest ten optymistyczny scenariusz?

– Tak.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wostatnich tygodniach – nie, nie, już miesiącach (!) – kilka osób zapytało mnie, jak się czuję w „wolnej Polsce”. Przyznam, że to dość kłopotliwe pytanie. W moim przekonaniu cezura, jaką jest wyborczy akt z 15 października, waży głównie, jak dotąd, fenomenalną frekwencją (teraz czas, żeby ją zrozumieć, zinterpretować, zareagować). Co dalej – za wcześniej wyrokować.

Nie tudząc się, że zmiany nastąpią natychmiast („24 godziny”), i oczekując ze strony odchodzącej władzy obstrukcji albo działań na granicy prawa lub nawet poza nią – nie gorączkowałem się. Nadal się nie gorączkuję, bo i powodów niewiele. Przeszliśmy z trybu turbo-urno w mordęgę „dzień jak co dzień”, przepisy, „żeby nikt nam nic nie zarzucił”. Miłe uśmiechy dla pana prezydenta, który, jak się okazało, nie tylko ma budzący podziw talent aktorski, lecz także charakteryzuje się dokuczliwą, skrajną dyskalkulią, uniemożliwiającą porównanie dwóch liczb (głosy koalicji, głosy PiS).

i zdegenerowane media) było zbyt wysokie. Ale ta ulga nasączona jest kilkuletnim zmęczeniem, napięciem, pełzającą bezradnością, a w konsekwencji przekonaniem, że jako społeczeństwo zmarnowaliśmy kolejne kilka lat.

W tej „wolnej” Polsce nie znikają z dnia na dzień ważne kwestie: co dalej na granicy polsko-białoruskiej (złe to widzę, polski czysty rasizm służb zostanie podmieniony na dobrze uzbrojoną wrogość strażników „twierdzy Europa”), pewnie ruszy się coś z prawami kobiet, nie wyobrażam sobie tego inaczej, a co z zasługującym na pochwałę marszem świadczeniowym PiS? Największymi obawami napawają mnie tzw. kwestie ekonomiczne i gospodarcze. Tutaj nowe cofa się do starego. Wracają zakłęcia o „równowadze budżetowej”, „dziurze budżetowej”, konieczności „oszczędzania i zaciskania pasa”, lamentsy, że „nie ma pieniędzy”, że je „trzeba znaleźć”. Cofnijmy się do roku 2014, 2015, kiedy PiS zapowiadało 500+. Poczytajcie ówczesne komentarze polityków Platformy, Nowoczesnej, a i Lewicy, oraz tzw. ekspertów ekonomicznych o demolującym

Stać nas na lepszą, sprawiedliwszą Polskę

Ale to już historia. Oprócz niewątpliwego sukcesu kabaretowego, jaki osiągnął Mateusz Morawiecki, „premierując” rządowi 14-dniowemu, realną wygraną PiS, symboliczną i metaforyczną, jest takie manipulowanie procedurami, że rząd Tuska został powołany 13 grudnia. Będziemy o tym słuchać przez kolejne cztery lata, albo i osiem, oczywiście poza TVP, jeśli tylko uda się przegnać z niej propagandowe upiory, ale tak, żeby „nikt nam niczego nie zarzucił” (zarzuca, zarzuca i będzie zarzucał – marsze i demonstracje propagandystów i partyjnych stłusgów za wolność mediów i pluralizm już się rozpoczęły).

Symbole jednakowoż są ważne, a święta wielkiej frekwencji nie udało się utrwalić jakimś publicznym, manifestacyjnym znakiem. Ale może nie ma co łać też. Rząd się uciera, kształtuje, wykluwa z kokonu. Ponieważ nie żywię wobec rządów wielkich nadziei, trudno je następnie zawieść, a mnie rozczarować. Przez kolejne lata będziemy zatem się trudnić ptasiarstwem (ang. *birdwatching*), czyli obserwowaniem, komentowaniem, a za jakiś czas, jak zwykle, od lat niezmiennie – protestowaniem, demonstrowaniem.

Nie jest tak, że pozostają na odsunięcie PiS od władzy obojętny lub że nie odczuwam pozytywów tej zmiany. Odetchnąłem z ulgą, nawet jak dla mnie nasycenie przestrzeni publicznej osobnikami takimi jak Kaczyński i jego niefajna ferajna (Terlecki, Witek, Błaszczak, Czarnek, Kamiński & Wąsik, Pawłowicz, Przyłębska, służalcza policja

wpływie na gospodarkę, której na to „nie stać”, i „populistycznym” żywiole roszczeniowości. O tym, że nie ma tych pieniędzy. Czy któraś z tych przepowiedni się sprawdziła, zdała egzamin czasu? Nie. Czy usłyszeliśmy od tamtych złych (ignoranckich) proroków: „myliłem się”, „nie miałem racji”, „wyciągnąłem wnioski”? Nie. A teraz na nowo rozlega się ten skompromitowany głos: „na czym oszczędzać?”, „gdzie one są (te pieniądze)???”. Pogrzebać trzeba wreszcie ten neoliberalny bełkot.

A może należy odwrócić wektor i zadać pytanie, na co wydawać? W państwie (PiS akurat), które doprowadziło do niemal całkowitej zapaści system opieki psychiatrycznej nad dziećmi i młodzieżą i ma jedną z najgorzej finansowanych służb zdrowia w całej Europie, przy zapaści finansowania edukacji i nauki, przy zredukowaniu niemal do zera nakładów na mieszkalnictwo – z dnia na dzień znajdowały się setki miliardów na zakupy zbrojeniowe. Ktoś powie, że to przecież kredyty, za które zapłacą następni. To może kredytować istniejące społeczeństwo, a nie przyszłą, przegraną wojnę? Pieniądze państwa to największe kłamstwo, w którym żyjemy. Poczuję wolną Polskę, kiedy uda się od tych dogmatów uciec i budować sprawiedliwe, dostatnie, empatyczne, równościowe i dowartościowane państwo. Pieniądze na to są. Uwięzione wyłącznie w głowach.

Dobrego roku 2024 i kolejnych życzę Czytelnikom i Czytelniczkom PRZEGLĄDU (Niech nam żyje, choć pieniędzy nie ma!). ■

Mateusz Mazzini

Już nawet tego nie ukrywa. W czasie wiecu kampanijnego powiedział niedawno, że jeśli znowu wygra, będzie dyktatorem. Wprawdzie tylko „przez pierwszy dzień urzędowania”, ale z normatywnego i ustrojowego punktu widzenia niewiele to zmienia. Donald Trump już w pierwszej kadencji udowodnił, że normy instytucji demokratycznych są dla niego wtórne, choć ostatecznie przegrał z systemem. Głównie dlatego, że przynajmniej część jego współpracowników w chwili próby pozostała wierna konstytucji i ideom ojców założycieli, nie poddając się naciskom chorego na władzę autokraty. Jeśli wygra po raz kolejny, niszczycielską krucjatę zacznie szybciej i stanie się ona bardziej krwista, bo nie będzie komu go powstrzymać.

Trump – reaktywacja

Wśród republikanów ma praktycznie zagwarantowaną nominację, w jego cieniu kontrkandydaci zamieniają się miejscami, ale czy na prowadzeniu jest aktualnie Ron DeSantis czy Nikki Haley, nie ma to znaczenia. Edward Luce, korespondent „Financial Timesa” w USA, szacuje, że w Partii Republikańskiej tzw. Never Trumpers, pravicowi wyborcy odrzucający kandydaturę Trumpa, stanowią maksymalnie jedną czwartą elektoratu. Trump może sobie pozwolić na ignorowanie debat, w których mierzą się jego rywale, publicznie chwali się tym, że oskarżenia w federalnych śledztwach tylko podnoszą mu słupki poparcia i zapowiada, że tym razem nie będzie brał jeńców. W skali kraju też czuje się coraz bardziej komfortowo. Według listopadowego sondażu Siena Poll dla „New York Timesa” Trump prowadzi w pięciu z sześciu stanów kluczowych dla wyniku wyborów, w niektórych jego przewaga nad Bidenem jest dwucyfrowa. Choć gospodarka ma się coraz lepiej, ceny paliw kopalnych spadają, a urzędujący prezydent robi, co



Efekt jo-jo

Optymizm wywołany pojedynczymi zwycięstwami demokratów może w przyszłym roku zostać zgaszony przez nową falę populizmu

może, żeby amerykańskim portfelem ulżyć, dotując zielone inwestycje i anulując kolejne partie długu studentckiego, wyborcy wciąż nie uznają go za prezydenta, któremu dobrze idzie. Na jego niekorzyść działa też konflikt Izraela z Hamasem, który potężnie zdemobilizował amerykańskich muzułmanów, poprzednio popierających duet Biden-Harris i na pewno bardzo niechętnych Trumpowi - islamofobowi i rasiście. Poparcie (nawet jeżeli w ostatnich tygodniach słabnące) dla izraelskiej ofensywy w Gazie wypchnęło muzułmanów poza nawias elektoratu Partii Demokratycznej i dzisiaj deklarują, że albo nie pójdą głosować wcale, albo poprą

kandydata niezależnego. Tu najczęściej wskazują Cornela Westa, który otwarcie staje w tym sporze po stronie palestyńskiej.

Oczywiście żaden kandydat „drogi środka” czy „nowego otwarcia” nie ma najmniejszych szans na prezydenturę, ale czego nie weźmie sam, może zabrać Bidenowi. Susan Glasser, dziennikarka tygodnika „New Yorker”, zauważyła, że wybory prezydenckie w USA dawno straciły ogólnokrajowy charakter. To po prostu walka właśnie o tych kilka kluczowych stanów, w których wahadło może się przechylić na którąś stronę. Papierkiem lakmusowym, pisze Glasser, będzie Michigan, czyli stan, w którym jest relatywnie dużo

muzułmanów. Biden wygrał tam ostatnio przewagą 2,78 pkt proc., w liczbach bezwzględnych było to nieco ponad 150 tys. głosów. Wystarczy, że West zbierze tam 50 tys., a notowania Trumpa pójdą w górę, i demokraci tracą aż 16 głosów w Kolegium Elektorskim.

Nie mówimy o tym, czy Donald Trump wygra ani co się stanie z Ameryką, jeśli wróci do Białego Domu. Na ten temat napisano już całe tomy, warto przytoczyć chociażby najnowszy, styczniowo-lutowy numer magazynu „The Atlantic”, w którym wszyscy wiodący autorzy napisali eseje przestrzegające przed kolejną kadencją Trumpa. Koniec pomocy dla Ukrainy, znacząca redukcja zaangażowania USA w NATO, upolitycznianie sądów, wyjście z porozumień klimatycznych, kontynuacja oddzielania dzieci od rodziców na granicy z Meksykiem, budowanie pomostów z innymi autokratami, ataki na wolne media – lista ledwo mieści się na okładce.

W 2024 r. odbędą się wybory w ponad 70 krajach i będą dotyczyły codzienności co drugiej osoby na świecie. 2 mld ludzi będzie w nich uprawnionych do głosowania, jak wylicza „The Economist”. I choć wygląda to jak zapowiedź wielkiego święta demokracji, świat najpewniej zaleje kolejna fala autorytaryzmu.

Od teraz do listopada 2024 r. o amerykańskich wyborach prezydenckich pisać będziemy często, bo znacznie bardziej niż cztery i osiem lat temu wpłyną one na rzeczywistość w Europie. Jeśli do tego czasu Ukraina nie pokona Rosji, a Europa nie zwiększy radykalnie swojego wsparcia dla Kijowa (oraz wydajności własnych przemysłów obronnych), możemy za chwilę znaleźć się w rzeczywistości, której większość z nas nie zna – rzeczywistości wojennej. Osłabione i nieodświeżone armie NATO mogą stanąć twarzą w twarz z dochodzącym teoretycznie nawet do 800 tys. osób rosyjskim wojskiem, przenosząc walki na terytorium państw Sojuszu. Europejskie gospodarki będą musiały przerzucić się na tryb wojenny, zawieszone zostaną

inwestycje, reformy, także te światopoglądowe i prawne. To oczywiście nie stanie się od razu, ale jest całkiem realnym scenariuszem na lata następne.

Kukułcze jajo

Populistyczny chaos po raz kolejny dominuje na Wyspach Brytyjskich. O ile zwycięstwo Partii Pracy w kolejnych (być może przyszłorocznych) wyborach jest niemal pewne, o tyle Keir Starmer jako premier napotka silną opozycję. Widać to już dzisiaj, kiedy Rishi Sunak ostatkiem sił broni się w fotelu premiera, atakowany przez pięć coraz radykalniejszych prawicowych frakcji wewnątrz jego partii.

Stany Zjednoczone, Indie, Meksyk czy Wielka Brytania mogą się nie obronić przed nową falą populizmu, a konsekwencje odczujemy wszyscy.

Najnowszą linią frontu stała się dyskusja wokół planu relokacji do Rwandy osób ubiegających się na Wyspach o azyl, co początkowo zablokował brytyjski sąd najwyższy, ale torysi projekt wskrzesili. Według radykałów nie idzie on wystarczająco daleko, więc uderzają w Sunaka, który jest ciągle szantażowany: więcej nacjonalizmu albo z góry przegrane wotum nieufności. W tak funkcjonującym parlamencie Starmer nawet ze swoją miazdzącą większością będzie napotykał na krzyki zamiast debaty, nie mówiąc o fakcie, że polaryzacja odbija się przecież na nastrojach społecznych. I choć szef laburzystów krytykuje brexit, nie może zapomnieć o tym, że bardzo wiele okręgów, które kiedyś były tradycyjnie lewicowe, zagłosowało za wyjściem z Unii z powodu chęci ograniczenia migracji zarobkowej. Brexit może nie wypalił, ale te przekonania wśród wyborców zostały. Można je traktować jak kukułcze jajo podrzucone przez odchodzących za rok konserwatystów. Ale nie zmienia to faktu, że tym jajem ktoś będzie musiał się zająć.

Wybory czekają także największą demokrację świata – Indie, i tam też należy spodziewać się autorytarnego zwrotu, bo Narendrze Modiemu niewiele może w tej chwili zagrozić. Gdziekolwiek spojrzeć, odnosi same sukcesy, choć niektóre są czysto propagandowe, jak lądowanie łazika Chandrayaan na Księżycu. Życia ponad 700 mln pogrążonych w biedzie obywateli kraju to nie poprawi, ale wzmocni przekonanie o sile i zasadności indyjskiego nacjonalizmu kosztem pozycji mniejszości. Modi będzie kontynuować prześladowania na tle religijnym, ograniczanie praw obywatelskich, nawet możliwość głosowania poprzez zmianę polityki wydawania dowodów tożsamości i paszportów.

W dodatku będzie jeszcze chroniony parasolem z Waszyngtonu, bo Indie pozostają najważniejszym sojusznikiem USA w regionie i pozwalają na stworzenie przeciwwagi dla chińskich ambicji imperialnych, również w zakresie inwestycji w projekcie Nowego Jedwabnego Szlaku. Człowiek z największą na świecie legitymacją demokratyczną będzie więc też najważniejszym nacjonalistą na planecie.

Inne silne demograficznie, choć niekoniecznie gospodarczo kraje Azji podążą najpewniej w tym samym kierunku. Bangladesz i Indonezja nie słynęły do tej pory z silnych i stabilnych instytucji demokratycznych, a i te, które tam istnieją, zostaną poddane dalszej erozji. Zwłaszcza ten pierwszy kraj już zwraca uwagę komentatorów i analityków, bo rozpoczęła się tam kampania represji wobec przeciwników premier Hasiny Wazed, córki pierwszego po uzyskaniu niepodległości lidera kraju, Mujibura Rahmana.

Do urn pójdą też mieszkańcy Pakistanu, pogrążonego w politycznym chaosie po skazaniu na karę więzienia byłego premiera ▶

► Imrana Khana, oraz na Tajwanie, gdzie rośnie znaczenie partii opozycyjnych, flirtujących z ideą zbliżenia z Chinami. Z kronikarskiego obowiązku wymienić w tym miejscu należy też przyszłoroczne wybory prezydenckie w Rosji, choć będą one nikomu niepotrzebną farsą. Władimir Putin utrzyma się przy władzy, a jego rywale będą figurantami podstawionymi przez Kreml. Podobnie wyglądać będzie sytuacja na Białorusi, gdzie już 25 lutego mają się odbyć wybory parlamentarne. Tu też demokracja ustąpi miejsca ustawce, choć akurat jej rezultat nie jest aż tak przewidywalny jak w Rosji. Białoruś ma silną, przebywającą na wygnaniu opozycję, a społeczeństwo dobrze pamięta ostatnie protesty i falę represji ze strony reżimu Łukaszenki. Dyktatora to nie obali, ale może pozwolić opozycjonistom policzyć się i osłabić społeczne poparcie dla autokracji wewnątrz kraju.

Ale Meksyk

Po drugiej stronie globu trzeba będzie patrzeć nie tylko na Stany Zjednoczone, ale też na Meksyk, gdzie głową państwa po raz pierwszy zostanie kobieta – to wiemy na

pewno. Kandydatka partii rządzącej Claudia Sheinbaum prowadzi w sondażach z ogromną przewagą nad Xóchitl Gálvez, znaną przede wszystkim ze swojej działalności w biznesie i politycznie raczej nieodświadczoną (na szczęblu krajowym ma za sobą raptem pięć lat w senacie). Kampania już teraz robi się dość brutalna, bo ekipa Sheinbaum zarzuca rywalce oszustwa podatkowe oraz próby korumpowania urzędników. Ta rewanżuje się oskarżeniami o nepotyzm, populizm i klientelizm.

jakiego nie miały nigdy. Wymienić w tym miejscu trzeba rządzących krajem Braci Włochów, których liderka Giorgia Meloni jest kolejną suwerenistką obiecującą powstanie ponadnarodowej koalicji narodowców. Brzmi to kuriozalnie, ale tym razem ma szansę powodzenia.

Coraz wyżej sięgają też słupki poparcia dla AfD w Niemczech i Szwedzkich Demokratów, a niedawne wybory w Holandii pokazały siłę i skuteczność antyimigranckiej retoryki Geerta Wildersa, ale też znaczny wzrost (z jednego

Populiści wiedzą, że mogą przegrać, dlatego za drugim razem dojdą do władzy silniejsi, sprawniejsi, pozbawieni skrupułów.

Wybory w Meksyku należy oglądać razem z amerykańskimi, bo ewentualna współpraca (lub jej brak) między Waszyngtonem i Mexico City będzie kluczowa dla kształtu ruchu migracyjnego na kontynencie.

Warto mieć też na uwadze wybory w Urugwaju oraz wyniki głosowań samorządowych w Chile i Brazylii, dwóch ważnych dla Ameryki Łacińskiej krajach, w których rośnie polaryzacja, a lewicowi prezydenci mają coraz większe problemy z realizacją progresywnych postulatów.

Z europejskiego punktu widzenia najważniejsze będą nie wybory krajowe, a ponadnarodowe. W czerwcu obywatele 27 krajów Unii Europejskiej wybiorą swoich przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego, instytucji o znacznie szerszych kompetencjach niż jeszcze 15-20 lat temu. To głosowanie jest na europejskiej mapie dość szczególne, bo cieszy się mniejszym zainteresowaniem, a kampania przebiega najczęściej krótko i według podobnych reguł. Dlatego nad wyraz często nadreprezentację w PE zyskują partie skrajne, otwarcie antyeuropejskie. Najbliższy rok może być dla nich rekordowy, bo już w polityce krajowej ugrupowania antyliberalne, sprzeciwiające się federalistycznym tendencjom w Brukseli, zyskują poparcie,

do siedmiu postów) stanu posiadania BBB, Obywatelskiej Partii Rolników, powstałej na gruncie sprzeciwu wobec unijnego pakietu Fit for 55, czyli walki z katastrofą klimatyczną.

Taki obraz nadchodzącego roku wyborczego jednoznacznie pokazuje, że liberalne, progresywne wartości są na świecie zagrożone w kluczowych miejscach. Po kilku ważnych triumfach – Partii Demokratycznej w 2020 i 2022 r., ostatnio też opozycji w Polsce jako pierwszej, której udało się pokonać populistów przy urnie – nadejdzie efekt jo-jo. Problem w tym, że za drugim razem populiści dojdą do władzy silniejsi, sprawniejsi, pozbawieni skrupułów. Głównie dlatego, że wiedzą już, że mogą przegrać. W ostatniej chwili zabetonowanie systemu na modłę węgierską czy turecką zostało udaremnione 15 października w Polsce, ale mimo wszystko pozostajemy krajem o znaczeniu marginalnym dla świata – nawet jeśli osiągnięcie to samo w sobie warto jest przytaczania jako dowód, że liberalna mobilizacja może przynieść wygraną. Stany Zjednoczone, Indie, Meksyk czy Wielka Brytania mogą się jednak nie obronić przed nową falą populizmu, a konsekwencje odczujemy wszyscy.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ogłuszeni

PiS po wyborach było jak człowiek ogłuszony pałąk. Na początku mało do nich docierało. Ale przecież podobnie było z nami, gdy osiem lat temu tamci przejęli władzę. Przy wielkim nieszczęściu trudno objąć umysłem skalę katastrofy. Na to potrzeba czasu. Wielka miotła Tuska już zaczyna działać. Za chwilę dojdzie siekiera. Co najbardziej ich przeraża? Chyba groźba zmian w mediach publicznych. Oparli się na wielkim kłamstwie, na swoich mitach, na złorzeczeniu. Obłąkany szef „Gazety Polskiej”, funkcjonariusze TVP Info, do tego byli opozycjoniści – ależ się rozmnożyli ci opozycjoniści i każdy to męczennik – zorganizowali na placu Powstańców Warszawy manifestację w obronie telewizji. Publiczna telewizja pokazywała zgromadzenie, tak by wyglądało, że jest liczne, sami chwalili się, że przyszły tłumy, a było góra kilkaset dusz. Hasło przewodnie: „Tusk – agent niemiecki, Polska niemieckim landem”. Utrwała się postać Tuska jako agenta niemieckiego, agenta rosyjskiego i agenta brukselskiego. Trzygłowe monstrum jest premierem. Takiej katastrofy jeszcze nie było. Targowica przy tym to nic. Spełnił się najczarniejszy sen Jarosława Kaczyńskiego. Po ośmiu latach budowania Polski według planu prezesa konstrukcja zaczyna być demontowana kawałek po kawałku przez nową ekipę. 13 grudnia kojarzył się do niedawna jedynie z rocznicą wprowadzenia przez władze PRL stanu wojennego, dla Prawa i Sprawiedliwości staje się symboliczną datą utraty władzy i triumfalnego powrotu Donalda Tuska. Dla mnie to ruchome święto. Sam siebie zaskakuję, jak się cieszę. I że to nie mija.

Wyczyn postać Grzegorza Brauna odbił się echem na całym świecie. Konfederacja go broni, że on reżyser i to zgłoszenie gaśnicą w Sejmie świec chanukowych było happeningiem. Palicho Brauna, można uznać, że jest niespełna rozumu. Ale jego czyn uaktywnił drzemiące antysemickie podziemie, wnukowie szmalcowników nie zwykle się ożywili. Są zbiórki pieniędzy dla Brauna, by mu wynagrodzić straty, jakie może ponieść od Żydów. I te wpisy w internecie pełne antysemickiego jadu. PiS potępia incydent, ale zwała winę na opozycję. Że stworzyła atmosferę, która prowokuje takie czyny. Co zdumiewa, PiS nie jest antysemickie, dlatego że takich resentymantów nie ma prezes. Nawet w „Gazecie Polskiej” czytam artykuł przychylny Izraelowi. Tak, dzień po zaprzysiężeniu rządu Tuska przemagam się i kupuję „Gazetę Polską

Codziennie”. Jakaś kobieta spojrzała na mnie zdziwiona. Jaki wstyd. Byłem ciekaw, co dziennik napisze dzień po zaprzysiężeniu rządu. Na pierwszej stronie zdjęcie Tuska z głupią miną, tytuł: „Wielki powrót reseciarzy”. Niżej, dużymi literami: „Tusk zapowiada czyszczenie Polski z PiS. Postkomuniści zachwyceni”. Ja też jestem zachwycony, a jaki ze mnie postkomunista. Okazuje się, że nie tylko ja, że to powszechne, daje się już oglądać media rządowe, chociaż nie zmieniły tonu. To już tylko drgawki przedśmiertne, można je oglądać okiem badacza, straszny widok, ale się zdzierży.

Mariusz Błaszczak powiedział: „Koalicja zemsty i chaosu mówi o ładzie medialnym. Tymczasem mamy do czynienia z próbą grabieży łupu politycznego w postaci TVP”. A nie była ona łupem politycznym PiS? TVN jest emocjonalna i gorąco po stronie liberalnej, ale pokazuje rzeczy w granicach prawdy. Telewizja publiczna jest kłamstwem i manipulacją, czerpie z dorobku propagandy hitlerowskiej i stalinowskiej. Zabawne, jak PiS tworzy nowe sztance językowe, np. „koalicja zemsty i chaosu”. Oni bardzo lubią takie pojęciowe wytrychy dla ludu.

Ukatrupiono komisję smoleńską Macierewicza. Ten się miota, jakby szaleńcowi zabrano zabawkę. To było kuriozum w skali światowej. Aż trochę mi szkoda tej komisji, taką była karykaturą zdrowego rozsądku. Wiara w czary w centrum Europy. Macierewicza powinno się zamknąć w jednej celi z Braunem, byłby to ciekawy biologiczny eksperyment.

Na przyjęciu u przyjaciół, sporo osób, zaskakująco starzy bywają ludzie w moim wieku. Rozmowy w grupach, nastrój już świąteczny. Nagle gospodyni ogłasza: „A teraz wypijemy za wielką zmianę, za upadek PiS”. Wszyscy wstają, piją i wiwatują. I powszechna zgoda, że ten przełom może nawet ważniejszy od tego w 1989 r. Wtedy oczywiście była większa zmiana, ale już wszystko nieuchronnie szło w stronę rozpadu imperium, więc bez Solidarności ono też by się rozpadło. Teraz następna kadencja PiS prowadziłaby nas do dyktatury. I jest powszechne poczucie, co może być zbiorowym złudzeniem, że ludzie stali się dla siebie nawzajem bardziej życzliwi. Nieważne, czy tak jest, to uczucie wiele mówi o stanie naszych umysłów.

Kwestia sumienia

W Kanadzie Ukraińcy z 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien i UPA znaleźli bezpieczną przystań

Marek Czarkowski

22 września br. w kanadyjskiej Izbie Gmin na uroczystym posiedzeniu z udziałem premiera Justina Trudeau i prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego spiker Izby Anthony Rota uhonorował 98-letniego Kanadyjczyka pochodzenia ukraińskiego, Jarosława Hunkę. Przedstawił go obecnym jako bojownika o wolność, a posłowie, premier oraz gość z Kijowa przywitali Hunkę owacją na stojąco.

Kilka dni później The Centre for Israel and Jewish Affairs ujawniło, że Hunko to były żołnierz 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien, w której służyli ukraińscy ochotnicy. Część z nich po II wojnie światowej wyemigrowała do Kanady. W efekcie skandalu Anthony Rota podał się do dymisji, Izba Gmin Kanady jednomyślnie przyjęła uchwałę o potępieniu nazizmu, a premier Justin Trudeau przeprosił społeczność żydowską.

Diaspora

Dziś Kanada jest domem największej ukraińskiej diaspory poza Europą. Pionierami byli dwaj galicyjscy chłopi, Iwan Pilipiw i Wasyl Eleniak, którzy przybyli do nowej ojczyzny w 1891 r. Historycy szacują, że do roku 1914 z Galicji, Bukowiny oraz dzisiejszych terenów środkowej Ukrainy przybyło ok. 170 tys. obywateli Austro-Węgier, których dziś uznaje się za Ukraińców. Osiedlali się głównie na zachodzie Kanady – w prowincjach Manitoba, Alberta i Saskatchewan. Drugą falę imigrantów tworzyli obywatele polscy narodowości ukraińskiej, którzy w okresie międzywojennym ruszyli za ocean za chlebem. Trzecia fala to Ukraińcy, którzy dotarli do Kanady po roku 1945. Część miała polskie obywatelstwo i pochodziła



22 września 2023 r. Jarosława Hunkę w Izbie Gmin Kanady witano owacją na stojąco. Kilka dni później okazało się, że to był żołnierz 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien.

z Kresów Wschodnich. Byli też obywatele Związku Radzieckiego, którym udało się uniknąć powojennej deportacji z Europy Zachodniej na wschód, oraz garstka Ukraińców z obywatelstwem czechosłowackim, węgierskim lub rumuńskim. Ci osiedlali się w bardziej uprzemysłowionych prowincjach, takich jak Ontario i Quebec.

Obecnie ukraińskie korzenie deklaruje ok. 1,4 mln obywateli Kanady, z czego tylko 150 tys. zna język przodków, w tym specyficzny kanadyjski dialekt ukraiński. Ukraińska diaspora ma poważne wpływy polityczne. W latach 1979-1984 urząd 22. generalnego gubernatora Kanady, czyli reprezentanta królowej Elżbiety II będącej wówczas głową kanadyjskiego państwa, pełnił Edward Schreyer, którego dziadkowie ze strony matki byli Austriakami, emigrantami z zachodniej Ukrainy. W latach 1990-1995 24. generalnym gubernatorem

Kanady był pochodzący z Saskatoon, największego miasta prowincji Saskatchewan, Roman John Hnatyshyn, prawnik i senator, którego rodzice byli Ukraińcami. Ukraińskie korzenie miało pięciu premierów rządów kanadyjskich prowincji, m.in. premier Manitoby Gary Filmon, premier Alberty Ed Stelmach i premier Saskatchewan Roy Romanow.

Zmarły w 2022 r. biznesmen i filantrop Eugene Melnyk był założycielem i właścicielem największej kanadyjskiej firmy farmaceutycznej Biovail Corporation. W 2003 r. kupił franczyzę profesjonalnej drużyny hokejowej Ottawa Senators grającej w NHL. Jej wartość wyceniano na 450 mln dol. Ukraińskie korzenie ma hokeista wszech czasów Wayne Gretzky. Wśród kanadyjskich kibiców hokeja trwa spór, czy Walter „Turek” Broda, legendarny bramkarz drużyny Toronto Maple Leafs, urodził się

w polskiej, czy w ukraińskiej rodzinie. Pierwszą kanadyjską astronautką, która w 1992 r. poleciała w kosmos, była Roberta Bondar, jej ojciec był z pochodzenia Ukraińcem.

Gen. broni Paul Wynnyk, wnuk emigrantów z obwodu lwowskiego, w 2018 r. został zastępcą szefa Sztabu Obrony, drugim pod względem rangi oficerem kanadyjskich Sił Zbrojnych. Po przejściu na emeryturę objął funkcję wiceministra spraw komunalnych w rządzie prowincji Alberta, a w roku 2021 został wiceministrem zdrowia.

Od lat kolejni premierzy Kanady przy okazji obchodzonych przez Ukraińców świąt, takich jak Dzień Ukraińsko-Kanadyjskiego Dziedzictwa, fotografowali się w tradycyjnych ukraińskich koszulach, nazywanych wyszywankami. Dziś Kanada stoi murem za Ukrainą walczącą z rosyjską agresją.

Obok przykładów pozytywnych jest historia, która kładzie się cieniem na ukraińskiej diasporze i o której mało kto chce pamiętać. To dzieje weteranów 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien oraz żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii, którym udało się przedostać na Zachód, a potem wyemigrować do Kanady. Wielu miało krew na rękach.

Polscy obywatele, żołnierze Waffen SS Galizien

14. Dywizja Waffen SS Galizien, nazywana również Dywizją Haličyzna, została utworzona wiosną 1943 r. W jej skład weszli ukraińscy ochotnicy z Galicji, których większość przed rokiem 1939 posiadała polskie obywatelstwo. Zapleczem politycznym dywizji był Ukraiński Komitet Centralny w Krakowie, złożony z działaczy frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, OUN-Melnikowców, od nazwiska przywódcy, płk. Andrija Melnyka. W lutym 1940 r., podczas krajowej konferencji tej organizacji, radykalni działacze skupieni wokół Stepana Bandery zażądali ustąpienia Melnyka z funkcji przewodniczącego. Gdy spotkali się z odmową, doszło do rozłamu i tak powstała OUN-Banderowców.

Po inwazji Niemiec na Związek Radziecki i zajęciu Lwowa przez Wehrmacht w czerwcu 1940 r. działacze



Gubernator Hans Frank i grupa ochotników do 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien. Drohobycz, czerwiec 1943 r.

OUN-B ogłosili deklarację niepodległości i przystąpili do formowania rządu ukraińskiego, na czele którego stanął Jarosław Stećko, bliski współpracownik Bandery (pierwotnie to Bandera miał być szefem rządu, lecz Niemcy zatrzymali go w Krakowie). Gabinet Stećki przetrwał 12 dni, po czym został rozwiązany przez władze niemieckie, które nie życzyły sobie żadnego słowiańskiego państwa na tym terenie.

Od lipca do września 1941 r. trwały rozmowy Niemców z Bandera i Stećką. Żądano od nich odwołania deklaracji niepodległości. Po kolejnej kategorycznej odmowie obydwu wysłano do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen.

Stronnicy Melnyka stanowili bardziej umiarkowany od banderowców odtam ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego. Poza tym znajdowali się pod kontrolą Abwehry i pewnie dlatego deklarowali sojusz z III Rzeszą, nie zdradzając niepodległościowych ambicji.

W 1942 r. melnikowcy pomogli Niemcom sformować kolaboracyjną Ukraińską Policję Pomocniczą, która

uczestniczyła w likwidacji żydowskich gett. Na tyle zyskali zaufanie niemieckich władz okupacyjnych, że w marcu 1943 r. pozwolono OUN-M sformować pierwsze niewielkie oddziały zbrojne. Po nieudanych próbach przeciągnięcia ich w szeregi OUN-B zostały one rozbite przez banderowców dowodzonych przez Iwana Kłymyszyna, „Kruka”, i Petra Olijnyka, „Eneja”. Część oficerów melnikowców banderowcy rozstrzelali.

Rosnące straty na froncie wschodnim skłoniły Niemców na początku 1943 r. do rozważenia pomysłu stworzenia ukraińskich oddziałów zbrojnych pod ich dowództwem. Pod koniec kwietnia we Lwowie ogłoszono zaciąg do formowanej dywizji. W krótkim czasie zgłosiło się ok. 80 tys. chętnych. Ostatecznie przeszkolono 11,6 tys. ochotników. Był to początek 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien. Niemcy bardzo dbali, by była to dywizja nie ukraińska, ale „galicyjska”. W tarczy na lewym rękawie munduru żołnierzy znalazł się złoty lew z przedwojennego herbu Lwowa, a nie tryzub na niebieskiej tarczy.

► W lutym i marcu 1944 r. oddziały tej formacji brały udział w operacjach przeciw partyzantom na Lubelszczyźnie, Zamojszczyźnie, Chełmszczyźnie, Podlasiu i na Podolu, gdzie dopuściły się zbrodni wojennych, uczestnicząc w masakrach Polaków w Hucie Pieniackiej, Podkamieniu i Chodaczkowie Wielkim. Śledztwo w sprawie zbrodni

Szkołę Wojskową w Moskwie. Brał udział w I wojnie światowej. W armii rosyjskiej dosłużył się stopnia sztabskapitana, odznaczono go Orderem św. Włodzimierza z Mieczami. Po rewolucji październikowej walczył z bolszewikami jako dowódca pułku w 3. Dywizji Żelaznej Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej,

i dostał się do niewoli. Trafił do szpitala w Kielcach, skąd został zwolniony. Po rekonwalescencji w Łodzi w styczniu 1940 r. przeniósł się do żony mieszkającej w Skierniewicach. Gdy jeden z jego dawnych ukraińskich kolegów doniósł na niego, Szandruk trafił najpierw do siedziby gestapo w alei Szucha w Warszawie, a potem do więzienia na Mokotowie. Wyszedł po siedmiu miesiącach. Okazało się, że Niemcy mieli wobec niego plany. Gdy zapadła decyzja o inwazji na ZSRR, znalazł się on

w gronie oficerów, których chcieli wykorzystać do organizacji sił zbrojnych na wschodzie. Potem zmienili zdanie – w 1941 r. odnosili sukcesy na froncie wschodnim i sądzili, że wojna szybko się skończy.

Dwa lata później Niemcy zaproponowali Szandrukowi, który pracował wówczas jako kierownik kina w Skierniewicach, objęcie funkcji szefa sztabu 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien. Odmówił. Pod koniec 1944 r. został wezwany do Berlina przez prezydenta Ukraińskiej Republiki Ludowej Andrija Liwyckiego. Po rozmowie z nim i gen. Ernstem Köstringiem zgodził się zostać przewodniczącym nieistniejącego jeszcze Ukraińskiego

Dziś Kanada jest domem największej ukraińskiej diaspory poza Europą. Ukraińskie korzenie deklaruje ok. 1,4 mln obywateli Kanady.

w Hucie Pieniackiej prowadzi Instytut Pamięci Narodowej. Pod koniec czerwca 1944 r. trzy pułki piechoty Waffen SS Galizien zostały skierowane na front w okolicie Brodów w obwodzie lwowskim. W wyniku operacji lwowsko-sandomierskiej 1. Frontu Ukraińskiego dowodzonego przez marsz. Iwana Koniewa oddziały te wraz z siedmioma niemieckimi dywizjami znalazły się w okrążeniu. Z kotła przebiło się 1,5 tys. żołnierzy ukraińskich, których skierowano do Świętoszowa (dawniej Neuhammer am Queis), gdzie w połowie września 1944 r. rozpoczęło się powtórne formowanie dywizji.

Po osiągnięciu stanu 11,5 tys. żołnierzy na przełomie 1944 i 1945 r. dywizja trafiła na Słowację, gdzie walczyła z partyzantami. Pod koniec lutego 1945 r. została skierowana do Austrii w pobliże granicy z Jugosławią. Następnie w okolice Mariboru na Słowenii z zadaniem walki z oddziałami partyzanckimi marsz. Tity. Na początku kwietnia wycofano ją do Austrii, gdzie w okolicach Grazu ponownie starła się z Armią Czerwoną, tracąc w walkach ok. 1 tys. zabitych i rannych.

19 kwietnia 1945 r. do sztabu dywizji przybył gen. Pawło Szandruk i przejął dowodzenie od SS-Brigadeführera Fritz Freitaga. Tu zaczyna się najciekawsza część historii ukraińskich esesmanów.

Pawło Szandruk

Pawło Szandruk urodził się w 1889 r. we wsi Borsuki w powiecie krzemienieckim, w guberni wołyńskiej. W 1913 r. ukończył Aleksandryjską

jednego z dwóch państw ukraińskich powstałych w wyniku wojny. W armii URL dosłużył się stopnia generała chorążego. W wojnie 1920 r. walczył u boku wojsk polskich. Po zakończeniu działań wojennych i klęsce wojsk URL zadanej przez Armię Czerwoną został wraz z 19 tys. żołnierzy ukraińskich internowany w Polsce.

Po przewrocie majowym 1926 r. wszyscy żołnierze otrzymali paszporty i status uchodźców politycznych. Szandruk kontynuował karierę wojskową, współpracował z Wojskowym Biurem Historycznym, a w 1928 r. został szefem tajnego sztabu Armii URL przy Sztabie Głównym Wojska Polskiego. Miał organizować oddziały ukraińskie walczące u boku

Cieniem na ukraińskiej diasporze w Kanadzie kładą się dzieje weteranów 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien oraz żołnierzy UPA, którzy tam się schronili.

wojska polskiego na wypadek agresji ze strony ZSRR. W tym czasie poznał wielu wyższych oficerów, w tym generałów Wacława Stachewicza i Tadeusza Kutrzebę. Poznał też płk. Władysława Andersa i Jerzego Giedroycia. W 1938 r. podpisał kontrakt na służbę w randze podpułkownika dyplomowanego.

We wrześniu 1939 r. Pawło Szandruk został szefem sztabu 29. Brygady Piechoty. Gdy brygada znalazła się niemal w okrążeniu w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim, która toczyła się od 22 do 27 września, dzięki energii i odwadze Szandruka udało się uratować wojsko przed klęską. Szandruk został jednak ciężko ranny

Komitetu Narodowego oraz dowódcą Ukraińskiej Armii Narodowej.

Wyglądało to jak tania farsa. Niemcy przegrywali wojnę, w Wehrmachcie i formacjach pomocniczych oraz Waffen SS służyło ok. 220 tys. Ukraińców, których sytuacja po zakończeniu walk byłaby nieciekawa. Szandruk napisał we wspomnieniach, że chciał ich ratować.

Gdy w połowie marca 1945 r. powstał Ukraiński Komitet Narodowy, prezydent Liwycki awansował Szandruka na stopień generała porucznika Ukraińskiej Armii Ludowej. 19 kwietnia Szandruk objął dowództwo stacjonującej w pobliżu Grazu 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien.

Zmienił nazwę jednostki na 1. Dywizję Ukraińską, żołnierze złożyli przysięgę na wierność Ukrainie, a na ich czapkach pojawiły się ukraińskie tryzuby. Chcąc uniknąć radzieckiej niewoli, 8 maja generał wydał rozkaz wycofania się na zachód. Jednocześnie wysłał kuriera do gen. Andersa z prośbą o interwencję u Anglików. Dwa dni później dywizja znalazła się na terenach zajętych przez aliantów.

Anglicy umożliwili mu rozmowę z Andersem, w trakcie której wyjaśnił, że podlegli mu żołnierze są obywatelami polskimi, nie mogą więc zostać wydani – na mocy porozumień jałtańskich – Związкови Radzieckiemu. Dzięki wstawiennictwu greckokatolickiego arcybiskupa Iwana Buczki udało mu się też uzyskać wsparcie papieża Piusa XII i dyplomacja watykańska interweniowała w sprawie jego żołnierzy w Londynie i Waszyngtonie. W konsekwencji żołnierze Szandruka zostali internowani w pobliżu Rimini we Włoszech. Uniknęli w ten sposób tragicznego losu Kozaków walczących po stronie Wehrmachtu, których 50 tys., przebywających w okolicach Linzu w Austrii nad rzeką Drawą, zostało na przełomie maja i czerwca 1945 r. wydanych wraz z rodzinami władzom radzieckim w ramach operacji „Keelhaul”. Oczywiście Brytyjczycy obiecali im wcześniej, że nic złego ich nie spotka. Kozaccy oficerowie zostali rozstrzelani, dzieci wysłano do sierocinców, a resztę do łagrow.

Po kilku latach Brytyjczycy pozwolili żołnierzom dawniej 14. Dywizji Grenadierów na emigrację. Wielu wyjechało do Kanady. Jednym z nich był Jarosław Hunko, który najpierw przeniósł się do Wielkiej Brytanii. W 1951 r. ożenił się z Margaret Ann Edgerton, a trzy lata później rodzina wyemigrowała za ocean i osiedliła się w Toronto.

W Kanadzie zamieszkał też Pawło Szandruk z żoną, wywiezioną z Polski na Zachód przez akowskie podziemie. 17 marca 1961 r. decyzją prezydenta RP Augusta Zaleskiego ppłk dypl. Paweł Szandruk „za wybitne czyny i osobiste męstwo wykazane na polu walki” został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari. Była to nagroda za kampanię wrześniową

1939 r. Wybuchł wielki skandal. Szandruka – jedyne go esesmana, który otrzymał Virtuti Militari – solidarnie atakowały prawicowa prasa emigracyjna i gazety wychodzące w kraju. W obronę wzięto go jedynie

Deschênesa, byłego prezesa Sądu Najwyższego prowincji Quebec). Pod koniec 1986 r. został opublikowany jej raport. W części pierwszej stwierdzono w nim, że nazistowscy zbrodniarze wojenni faktycznie

W Wehrmachcie i formacjach pomocniczych oraz w Waffen SS służyło ok. 220 tys. Ukraińców.

Jerzy Giedroyc, który na łamach paryskiej „Kultury” zamieścił fragment wspomnień Szandruka oraz własny komentarz, o co wielu miało do niego pretensje.

Sprawa zbrodniarzy wojennych, którzy po II wojnie światowej znaleźli spokojną przystań na kanadyjskiej ziemi, przez lata była tematem tabu. Trwała zimna wojna i tego rodzaju podejrzenia odrzucano jako sowieckie prowokacje. Dopiero w 1985 r., w efekcie wystąpień posła Roberta Kaplana w Izbie Gmin Kanady, który twierdził, że Joseph Mengele, oślawiony hitlerowski zbrodniarz wojenny, mógł mieszkać w tym kraju, oraz licznych publikacji prasowych, rząd premiera Briana Mulroneya powołał Komisję Śledczą ds. Zbrodniarzy Wojennych w Kanadzie, nazwaną potem Komisją Deschênesa (od nazwiska Jules’a

emigrowali do Kanady i w niektórych przypadkach nadal przebywają w tym kraju. Komisja zalecała zmiany w prawie karnym i administracyjnym, by umożliwić władzom ściganie zbrodniarzy wojennych. Druga część raportu, dotycząca konkretnych postaci, zawierająca załącznik z nazwiskami 240 osób podejrzanych o zbrodnie wojenne, nigdy nie została upubliczniona.

Temat weteranów 14. Dywizji Grenadierów Waffen SS Galizien był istotną częścią śledztwa prowadzonego przez komisję. Według raportu „zarzuty o zbrodnie wojenne stawiane członkom Dywizji Galicja nigdy nie zostały udowodnione”. Gen. Pawło Szandruk zmarł w 1979 r., w wieku 90 lat, w Trenton w Stanach Zjednoczonych.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

DKMSO
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

...w tobie
nadzieja na
odpasowanie

Zostań dawcą szpiku!

Płeć, pochodzenie, tatuaże nie mają znaczenia.
Zarejestruj się na dkms.pl

Gabrysia,
żyje dzięki dawcy szpiku

Łukasz,
potencjalny dawca szpiku

Jałtańska gafa Surkisa

Euro 2012, czyli jak wygrać przegraną sprawę

Jacek Kluczkowski

W czerwcu 2004 r., gdy po otrzymaniu wotum zaufania w Sejmie, zaczęliśmy na poważnie zastanawiać się nad powrotem do rozmów o wspólnej organizacji Euro 2012, Federacja Futbolu Ukrainy uznała, że nasze długotrwałe milczenie jest de facto odmową. Zmiana rządu w Polsce powinna być jakąś okolicznością łagodzącą. Ale nie dla Hryhorija Surkisa (ukraińskiego działacza sportowego – red.). On postawił już na Rosjan. Wyglądało na to, że sprawa jest przegrana.

Na początku lipca 2004 r. w Jałcie na Krymie trwały obrady wielkiego rosyjsko-ukraińskiego forum gospodarczego. Obecni byli na nim prezydenci Władimir Putin i Leonid Kuczma, premierzy obu krajów Michaił Fradkow i Wiktor Janukowycz, komplet ministrów gospodarczych, wszyscy najważniejsi oligarchowie rosyjscy i ukraińscy, kilkuset biznesmenów. Z mównicy padały słowa o wiecznej przyjaźni i braterstwie dwóch największych narodów słowiańskich świata, o potrzebie współpracy Rosji i Ukrainy we wszystkich najważniejszych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego.

Wśród kilkunastu mówców wyznaczonych do zabrania głosu w obecności prezydentów znalazł się także Hryhorij Surkis. W czasie swojego wystąpienia oficjalnie zaproponował Rosjanom wspólną organizację mistrzostw Europy w piłce nożnej.

– Ponieważ Polacy zrezygnowali ze współpracy z nami, zdecydowaliśmy się zaproponować partnerstwo naszym rosyjskim przyjaciółom – stwierdził.

Burzliwe oklaski, wszyscy wstają. Ale nagle oklaski cichną, bo rosyjski prezydent jest wyraźnie

niezadowolony. Gdy zabrał głos, przypomniał wszystkim, że Rosja jest wielkim i bogatym krajem. Gdyby chciała, mogłaby sama zorganizować taki turniej. I być może, kiedyś zechce. Ale w tym momencie to on chciałby zwrócić uwagę na bardzo niestosowną formę ukraińskiej propozycji. Sformułowanie, że Polacy nie chcą, więc proponujemy Rosjanom – jest gorzej niż niezręczne, jest nie do przyjęcia. Kropka.

Później, już jako polski ambasador w Kijowie, wielokrotnie rozmawiałem z Surkiszem. Podczas jednej z tych rozmów, po upływie ponad dwóch lat, wrócił on do sprawy tej jałtańskiej konferencji z lata 2004 r., której – jak twierdził – omal nie przypłacił zawalem serca. Spotkaliśmy się na przełomie 2006 i 2007 r. Surkis był bardzo rozżalony brakiem

partnera w organizacji mistrzostw zarówno z premierem Janukowiczem, jak i prezydentem Kuczmą. Ukraiński prezydent podobno nawet poinformował o tym Kwaśniewskiego, a Surkis rozmawiał na ten temat często z rosyjskim ambasadorem w Kijowie – Wiktorem Czernomyrdinem, uważanym za niezwykle wpływowego człowieka. Uzyskał też poparcie Rosyjskiej Federacji Piłkarskiej. Efektem miał być atrakcyjny prezent Moskwy na kampanię wyborczą dla Janukowicza.

– I wszystko byłoby dobrze, gdybym nie wspomniał o Polakach – kontynuował Surkis. – Że Polacy nie chcieli, więc proponujemy Rosjanom. Właśnie te słowa tak zirytowały Putina. A przecież wcale nie musiałem tego mówić. Putinowi ta wiedza była niepotrzebna. To była

Piłka nożna w Ukrainie stanowiła zbyt poważną kwestię, by w sposób wiążący mogli się o niej wypowiadać ministrowie rządu. To była domena Surkisa.

właściwej jego zdaniem współpracy ze stroną polską. Tomasz Lipiec, ówczesny polski minister sportu, zawiesił wtedy władze PZPN. W konsekwencji kierownictwo UEFA zagroziło odrzuceniem naszego wniosku w sprawie organizacji Euro 2012 bez rozpatrzenia. Surkis zaapelował do mnie w bardzo dramatyczny sposób, żebym wpłynął na polskie Ministerstwo Sportu o wycofanie się z tej decyzji.

– Zrób coś! Bym nie musiał nigdy żałować tego, że postawiłem na was, a nie na Rosjan – powiedział.

Zwróciłem mu uprzejmie uwagę, że w lipcu 2004 r. postawił na Rosjan i to oni go publicznie zdezwauowali.

Okazało się, że sprawa miała wtedy drugie dno. Jeszcze przed jałtańskim forum Surkis uzgodnił zmianę

właściwie sprawa techniczna, na poziomie organizacji piłkarskich. Mogliśmy przecież rozmawiać z różnymi krajami. Nie było powodu, by wyciągać to na widok publiczny, przed prezydentami.

Przyszła mi do głowy replika.

– A my się nie obraziliśmy, gdy Rosjanie was rzucili i wróciliście do współpracy z nami. Doceń różnicę!

Tak czy inaczej, projekt przeprowadzenia turnieju rosyjsko-ukraińskiego roztrząsał się w lipcu 2004 r. w Jałcie ze szczerem. Czy jednak nie było już wtedy za późno, by wracać do projektu polsko-ukraińskiego? Najpierw przedyskutowałem temat z premierem Belką. Powiedział krótko: sprawdzamy. Zadzwoił sam do ministra Sawickiego i uzyskał jego pozytywną opinię. Natomiast



Prezentacja pucharu mistrzostw Europy w piłce nożnej, Kijów, 12 maja 2012 r. Pierwszy z prawej Hryhorij Surkis.

ja spotkałem się z przedstawicielami PZPN z udziałem ministra Giersza. Potwierdziliśmy gotowość związku do wznowienia rozmów z Ukraińcami.

Premier Belka nie chciał jednak rozmawiać na ten temat z prezydentem Kwaśniewskim.

– Mam z nim inne rozmaite sprawy do omówienia, nie chcę zaczynać nowej. Zadzwoń ty, on ma do ciebie słabość – powiedział.

Z tą słabością to się jednak tym razem nie potwierdziło. Prezydent podtrzymał swoje zastrzeżenia. Obawiał się, że pozostało zbyt mało czasu, żeby przygotować dobry wniosek, że Surkis i ukraińskie władze stracili już serce do tego projektu i nie ma co ich zmuszać do powrotu. No i do tego nasze Ministerstwo Edukacji i Federacja Sportu mają inne sprawy na głowie. Staramy się o mistrzostwa świata w piłce siatkowej w Katowicach i drugiego, dużo zresztą większego projektu po prostu nie udźwigniemy.

Wróciłem z tą prezydencką opinią do premiera. Wzruszył ramionami. Myślał tak samo jak ja. Nie rezygnujemy! Jeśli nam się nie uda, to prezydent nas skrytykuje za skłonność do awanturniczych pomysłów. Jeśli natomiast udałoby się nam przekonać Ukraińców i przygotować dobry

wniosek do UEFA, to na pewno będzie nas wspierał.

Po uzyskaniu zgody premiera i ministra mogliśmy przystąpić do rozmów z Ukraińcami. Jeszcze w lipcu 2004 r. zacząłem przygotowywać wyjazd do Kijowa. Gdy okazało się, że nasza ambasada ma problemy z umówieniem niektórych istotnych dla mnie spotkań, zdecydowałem się przesunąć wylot do Kijowa na koniec sierpnia, kiedy po urlopach i święcie narodowym Ukrainy, które przypada 23 sierpnia,

Projekt przeprowadzenia turnieju rosyjsko-ukraińskiego roztrzaskał się w lipcu 2004 r. w Jaltcie ze szczeniem.

tamtejsi politycy wracają do pracy. Przesunięcie terminu okazało się trafionym posunięciem. Wszystkie spotkania udało się uzgodnić.

Najważniejszą nowiną, z którą przyjechałem do Kijowa, była informacja dla tamtejszych oficjeli, że polski rząd zdecydował o poparciu pomysłu wspólnego z Ukrainą przeprowadzenia mistrzostw Europy w piłce nożnej. Przedstawiłem też przedstawicielom ukraińskich władz projekt współpracy w dziedzinie dostosowania ustawodawstwa do

standardów europejskich i wspólnej organizacji szkoleń dla ukraińskich urzędników wysokiego szczebla. Zaplanowałem rozmowę z wicepremierem Dmytrem Tabacznykiem, formalnie nadzorującym ukraińskie ministerstwo sportu, którego poznałem jeszcze w 1993 r., gdy był rzecznikiem prasowym rządu, oraz z Anatolijem Tołstouchowem, ministrem Gabinetu Ministrów, czyli szefem ukraińskiej kancelarii rządowej. Nie zaobserwowałem u nich większego entuzjazmu ani nawet zainteresowania, gdy poruszałem kwestię mistrzostw. Po jałtańskiej wpadce Surkisa nie czuli się chyba zbyt pewnie w tej tematyce.

I zapewne nie oczekiwali, że uczynię ją tematem rozmów.

Na szczęście po spotkaniach z nimi miałem możliwość odpowiedzi na pytania dziennikarzy na zaimprovizowanych konferencjach prasowych. I chociaż reporterzy mnie o to z własnej inicjatywy nie zapytali, sam przekazałem im informację o nieustającej polskiej gotowości do współpracy z Ukrainą przy organizacji Euro 2012 i – nieco na wyrost – zakomunikowałem kijowskim mediom o życzliwym stosunku do tego projektu ze strony moich ukraińskich rozmówców.

Dziennikarze podchwycili tę informację, bo w istocie była ona dla nich najciekawszym newsem wynikającym z moich spotkań. Uwagi o potrzebie zachowania demokratycznego charakteru wyborów prezydenckich były raczej tematem tabu dla prorządowych mediów, a harmonizacja ustawodawstwa i szkolenie urzędników to kwestie naprawdę bardzo mało porywające dla dziennikarzy.

W sprawach wspólnej organizacji mistrzostw Europy najważniejsza

była rozmowa z szefem Federacji Futbolu Ukrainy. Piłka nożna w Ukrainie stanowiła zbyt poważną kwestię, by w sposób wiążący mogli się o niej wypowiadać ministrowie rządu. To była domena Hryhorija Surkisa, człowieka, którego do tej pory, czyli do lata 2004 r., nie miałem okazji jeszcze poznać.

Zaprosił mnie na rozmowę do swojego gabinetu w siedzibie kijowskiego klubu piłkarskiego Dynamo, którego – wraz z bratem Ihorem – był współwłaścicielem. Towarzyszyli mi polski ambasador Marek Ziółkowski oraz ekspertka w zakresie spraw

powiedział – pracowitego i odpowiedzialnego, wokół którego kandydatury zjednoczyły się właściwie wszystkie elity gospodarcze kraju.

Po wygłoszeniu tych wstępnych oświadczeń przeszliśmy do sprawy mistrzostw. Trudno było Surkisiowi skrywać emocje, gdy opowiadał o przebiegu ukraińsko-rosyjskiego forum w Jałcie. Winą za dokonaną przez siebie wolę obarczał jednak stronę polską, a przede wszystkim PZPN, o którym ze zdziwieniem powiedział, że – jak się okazało – nie ma żadnych wpływów politycznych

Wielki ukraiński biznes zwietrzył, że inwestycjom w sportową infrastrukturę, rozbudowę bazy hotelowej, dróg, połączeń kolejowych i lotnisk towarzyszyć będą zamówienia rządowe i nowe linie kredytowe. Nie chciał rezygnować z projektu, na którego realność zapatrywał się bardziej optymistycznie niż politycy i media.

Od tego momentu zmieniła się atmosfera spotkania. Zaproponowałem, żebyśmy „grubą kreską” oddzielili dotychczasowe nieporozumienia, zapomnieli o nich i ruszyli do przodu. Powtórzyłem, że nowy polski rząd jest gotowy przygotować wspólnie ze związkiem piłkarskim zgłoszenie do UEFA. Przyjechałem do Kijowa, by potwierdzić stanowisko strony ukraińskiej po ostatnich zawirowaniach. Powiedziałem,

że podczas spotkań z Tabacznikiem i Totstouchowem odniosłem wrażenie, iż czekają oni na stanowisko Federacji Futbolu Ukrainy.

Żegnając się z nami, Surkis był wyraźnie odprężony i zadowolony z przebiegu rozmowy. Zapewnił, że ze strony rządu Ukrainy nie będzie na pewno żadnych opóźnień.

Po powrocie do Warszawy złożyłem szczegółowe sprawozdanie premierowi z moich kijowskich rozmów. Ruszyliśmy „z kopyta” w sprawie przygotowań do Euro 2012. W Kancelarii Premiera koordynację przejął Jerzy Ciszewski. W resorcie edukacji rękę na pulsie trzymał Adam Giersz, a następnie nowy wiceminister do spraw sportu i kultury fizycznej – Wiesław Wilczyński. Wkrótce prezes PZPN Michał Listkiewicz pochwalił się, że znalazł kolejnego ważnego sojusznika w ministerstwie. Okazało się, że nowo powołana wiceminister edukacji Anna Radziwiłł, która od razu stała się szarą eminencją w urzędzie, to jego dawna nauczycielka z liceum. Gdy się spotkali, zadeklarowała, że pomoże mu we wszystkim, co będzie potrzebne.

Hryhorij Surkis był zaskoczony, że PZPN nie ma żadnych wpływów politycznych i że polscy politycy wcale związku nie słuchają.

ukraińskich w KPRM Olga Iwaniak. Zaproponowałem, by nasza rozmowa przebiegała po ukraińsku. Surkis przystał na to z pewnym wahaniem.

– Ostatecznie jesteście w Ukrainie – burknął.

Muszę przyznać, że zupełnie dobrze sobie radził.

Rozmowę zacząłem od podziękowania mu za jego stanowisko podczas ubiegłorocznego głosowania w parlamencie w sprawie upamiętnienia rocznicy tragedii wołyńskiej. W lipcu 2003 r. Surkis jako deputowany większości głosował za uzgodnionym z polską stroną tekstem wspólnej rezolucji Sejmu RP i ukraińskiej Rady Najwyższej w 60. rocznicę rzezi wołyńskiej, w którym parlamentarzyści obu krajów uszanowali pamięć ofiar i potępili sprawców zbrodni na ludności cywilnej. Po jego reakcji nie byłem jednak pewien, czy pamięta to głosowanie.

Ponieważ Surkis był czołowym politykiem jednej z czterech partii wchodzących w skład rządowej koalicji, zapytałem go także o opinię na temat kampanii wyborczej. Wyrażnie mu się spodobało, że będzie mógł się również w tej sprawie wypowiedzieć. Zaczął od ostrej krytyki Juszczuki za jego rzekomą nieudolność w czasie, gdy był premierem. Dla Ukrainy i dla jej sąsiadów najlepszym rozwiązaniem byłoby zwycięstwo Janukowycza, człowieka – jak

i że polscy politycy wcale piłkarskiego związku nie słuchają. On tego nie mógł przecież przewidzieć! Nagle o czymś sobie przypomniał i wyjął z biurka otrzymany niedawno list od prezesa PZPN, w którym Michał Listkiewicz podtrzymywał zainteresowanie wspólnym przeprowadzeniem przez Polskę i Ukrainę mistrzostw Europy seniorów.

– Seniorów!!! – wykrzyknął oburzony Surkis. – Jakich seniorów? Po co wam ci seniorzy? Najpierw załatwmy rzecz podstawową. Dlaczego PZPN nic o tym nie pisze? Przygotujmy dobry wniosek do UEFA w sprawie przeprowadzenia normalnego turnieju, a wtedy pomożemy wam sfinansować dodatkowo, jako imprezę towarzyszącą, jakiś mecz – a może nawet dwa – dla seniorów, jeżeli tak wam bardzo zależy na spotkaniu piłkarskich weteranów.

Trudno było nie wybuchnąć śmiechem. Powiedziałem, że to nieporozumienie, że mówimy o tych samych mistrzostwach. Starszych panów kopiących piłkę nazywa się w Polsce nie seniorami, ale oldboyami, i że nie planujemy zorganizowania osobnych mistrzostw dla nich.

Pomyślałem: dobra nasza! Surkis w istocie przyznał, że chcą do nas wrócić i dalej z nami pracować nad organizacją Euro 2012.



Fragmenty książki
Jacka Kluczkowskiego
Przypadki i wpadki dyplomaty,
Czytelnik, Warszawa 2023



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czarna dycha

Jako katastrofista nie witam nowego roku, bo tradycyjnie zakładam, że będzie to rok ostatni – mój czy całego globu, wszystko jedno, osobista zagłada wszak jest końcem świata. Od rytualnych przesileń i wynikających z nich lęków staram się uwalniać od lat, więc wizja samotnie i trzeźwo spędzanego sylwestra mnie nie przeraża (raczej kusi, ostatnio zwiąłem grubo przed północą z imprezy, bo mnie hałaśliwe szampansy zmęczyły), a i w czas okołowigilijny samotnie łatwiej uniknąć naporu kołęd i udawanej życzliwości. Agnostyk i do tego mizantrop ma na przełomie grudnia i stycznia ciężko – kumulacja świąt do przetrwania, ludzkość się kłębi podniecona, uruchamia myślenie magiczne i ulega zbiorowej hipnozie, w której przez kilka dni twierdzi, że wszystko będzie dobrze, bo przecież w święta nie wypada, żeby było źle, do diabła, w święta nawet diabli nie biorą.

Najchętniej używaną amunicją polityczną jest w tym czasie corocznie stosowane wobec oponentów oskarżenie o bluźnierstwo: „Nawet świąt nie uszanują!” (w domyśle – barbarzyńcy, Bóg to widzi i w końcu zagrzmie, a gdyby chwilowo oślepił, my w jego imieniu, a także w imieniu wspólnoty narodowej grzmimy awansem). Co się tyczy Boga, zakładam, że wcale nie umarł, tylko już dawno zwariował, ludzkość okazuje się bowiem wynikiem jakiegoś kosmicznie przewlekłego Kryzysu Stwórczego, jest bublek wszechświata, do którego wstyd się przyznać. Mamy zatem prawo czuć się opuszczeni przez Boga, tym bardziej że i jego opuściły zmysły. Ale dość tych smęceń, bo mi się zaraz ukloni art. 196 Kodeksu karnego i przejdę na dwuletni wikt państwa, czemu zresztą wcale bym się nie sprzeciwiał, gdyby nie towarzysząca temu utrata wolności, którą mam za wartość najwyższą.

Jak co roku o tej porze zawodowi konsumenci kultury sporządzają bilanse wrażeń, top listy i podsumowania recenzenckie. Ja ze swoich największych wzruszeń lekturowych i muzycznych zdawałem bieżące raporty na łamach PRZEGLĄDU, ale pozwolę sobie wykorzystać

felieton noworoczny do przedstawienia szanownym czytelnikom dziesiątki największych filmowych przeżyć minionego roku. Jeśli bowiem czegoś niezmiennie żałuję, to porzucenia przed laty profesji krytyka filmowego (jako czynny scenarzysta uznałem po premierze „Pręg”, że bycie zarazem twórcą i recenzentem w tej samej branży jest nieetyczne – potem moja scenariopisarska czynność okazała się epizodyczna, ale na powrót do zawodu krytyka zrobiło się za późno, rynek błyskawicznie się wypełnił nowym pokoleniem zdolnych filmoznawców).

Agnostyk i do tego mizantrop ma na przełomie grudnia i stycznia ciężko – kumulacja świąt do przetrwania, ludzkość się kłębi podniecona, uruchamia myślenie magiczne i ulega zbiorowej hipnozie.

Otóż i ona, moja czarna dziesiątka najlepszych premier kinowych ostatnich 12 miesięcy – jeśliście przeoczyli, szukajcie na platformach streamingowych, nie musicie się śpieszyć, bo prędzej szlag nas wszystkich trafi, niż te filmy się zestarzeją. Czarna dlatego, że to bez wyjątku filmy piekielnie ponure i bezlitosne – dość powiedzieć, że zakończenie filmu Agnieszki Holland jako jedyne można w tym zestawieniu podciągnąć do kategorii happy end. Kto zatem szuka w kinie wytchnienia, niech to będzie dla niego lista przestróg, dla kinomanów o mocnych nerwach zaś – jak najszerszy zestaw poleceń:

Zielona granica (Agnieszka Holland)
Kobieta na dachu (Anna Jadowska)
Bestie (Rodrigo Sorogoyen)
Tár (Todd Field)
Sundown (Michel Franco)
Chora na siebie (Kristoffer Borgli)
Prześwietenie (Cristian Mungiu)
Pamfir (Dmytro Suchowłytko-Sobczuk)
Tori i Lokita (Luc Dardenne i Jean-Pierre Dardenne)
Chleb i sól (Damian Kocur)

Poprzednie felietony na tygodnikprzeklad.pl



DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn





Społeczna epoka lodowcowa

Mężczyźni, zacznijmy być ludźmi, a nie mężczyznami

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Święta, wspólny stół, noworoczne nadzieje. Czy wtedy nie odczuwa się samotności szczególnie?

– Nie znam żadnych badań mówiących o tym, jak święta zmieniają poczucie samotności. Pojawia się pytanie, co to znaczy spędzić z kimś święta. Z pijanym ojcem czy mężem, zapracowaną matką – to jest z kimś czy nie?

Przegląda się pan zjawisku samotności i mówi o epidemii samotności, społecznej epoce lodowcowej. Czy jesteśmy w momencie krańcowym, musimy się ratować?

– Przekroczyliśmy go, bo zaczynamy na potęgę chorować. A jeżeli chodzi o samotność, to raport fundacji Martyny Wojciechowskiej UNAWEZA o zdrowiu psychicznym młodych ludzi mówi, że ok. 38% nastolatków czuje się samotnych w dobie internetu, smartfonów i mediów społecznościowych. Te dane robią wrażenie, przecież teoretycznie to oni są bardziej „społeczni” niż inne pokolenia, przyszli po nas, a ile ich dzieci będzie się czuło samotnych?

Co to znaczy czuć się samotnym?

– To trochę jak z bólem. Jest subiektywny, nie ma obiektywnego



PROF. WOJCIECH KULESZA

– psycholog

bólu, człowiek sam musi go oszacować. Samotność kwantyfikowali Amerykanie, badając, ilu masz przyjaciół. W latach 90. byli tacy, którzy mieli zero przyjaciół, nie mają ich też 30 lat później. Przy czym osób bez przyjaciół jest około trzech razy więcej. Tych, którzy mają powyżej 10 przyjaciół, jest dwukrotnie

mniej. To już jest kwantyfikowalne: nie mam przyjaciół albo spada liczba przyjaciół. No i prof. Jean Twenge w książce „Generations” („Pokolenia”) pokazuje wprost, że ludzie skarżą się na pogorszenie relacji społecznych po długiej ekspozycji na media społecznościowe. To majstersztyk nazwać media społecznościowe społecznościami, trochę jak papierosy prozdrowotnymi albo broń palną pro-life.

Ta społecznościowość to także robienie sobie selfie, czyli ja, samotny, w niekończących się odsłonach. Pamiętamy jednak trud samotności wymuszonej podczas pandemii, jest też systemowe przymuszanie do samotności.

– W więzieniach zadajemy komuś samotność w imię naprawy tego człowieka, a tak naprawdę torturujemy go, zabijamy, mścimy się na nim. To stary koncept z początków XX w. Amerykanie wpadli na to, że zamykanie człowieka z Biblią spowoduje, że się zbawi, będzie miał czas na kontemplację Boga, swojej grzeszności. Te odpryski widać w filmie „Skazani na Shawshank”. Naczelnik mówi słowami z Biblii, w tym więzieniu jest tylko Bóg i on. Od lat 70. w Ameryce następuje erupcja samotności, potem do władzy dochodzą Ronald

Reagan i konserwatyści i mają mało socjalne podejście do ludzi. Skazanego trzeba zgnoić, a nie resocjalizować, dlatego izolacja więzienna gwałtownie przyspiesza. W Polsce też to trwa, trudno znaleźć wiarygodne dane, ale podejście do osadzonych nie napawa optymizmem.

Samotność w wymuszonej izolacji jest okrucieństwem.

– Izolację można „się cieszyć” przez dwa tygodnie, ale to Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że izolacja powyżej 15 dni zamienia się w torturę. Światło jest zapalone non stop, nie wydziela się melatonina, spanie jest możliwe, ale bez fazy głębokiej – prozdrowotnej – po 15 dniach człowiek jest wykończony. Badania psychiatryczne pokazują, że ludzie doświadczają omamów, mózg szuka stymulacji i dlatego tak rośnie liczba prób samobójczych oraz ryzyko demencji. Osadzeni niczego nie doświadczają. W bardzo wąskim procencie, kiedy człowiek jest zagrożeniem dla siebie lub innych, jest to oczywiście zasadne, ale w żadnym innym nie.

Pana sformułowanie „społeczna epoka lodowcowa” działa na wyobraźnię. Co możemy robić, żeby ocieplić klimat ludzkich kontaktów?

– Zwróćmy uwagę, że sami pchamy nasze dzieci w telefony. Jedną z pierwszych rzeczy, które widzą, to telefon, a nie twarz dorosłego. Począwszy od tego, że wisimy nad krocem kobiety, filmując narodziny, a na pierwszych urodzinach trzeba powtórzyć dmuchanie świeczek, bo się nie nagrało. Jesteśmy na uroczystym obiedzie, bo córka zdała maturę, robimy zdjęcia i piszemy całemu światu, w jakim jesteśmy stanie emocjonalnym. Potem córka składa nam życzenia urodzinowe przez media społecznościowe. Zrozummy, co robimy naszym dzieciom, że to nasza wina, to my siadaliśmy do stołu

z telefonem, kiedy one jeszcze go nie miały, to my przerywaliśmy rozmowę, żeby odebrać telefon albo odpisać na „ważną” wiadomość. Przestańmy w to wypychać nasze dzieci.

Uczy pan studentów, że nie ma instynktu macierzyńskiego.

– Ojcowie wypisali się z życia własnych dzieci, bo zostali tak wychowani. Apel do ojców, żeby wrócili do dzieci i zaczęli z nimi być, bo ich samotność jest ogromna. Szczepienie? Nawet jeśli jest po godzinach pracy, to i tak dziecko przyprawia matką albo babcią. Zebranie w szkole? Zawsze po południu, obecne są mamy, ojców nie ma. Mitem jest, że ciężko pracują na rodzinę, badania

Mit samca alfa powoduje, że matki i partnerki myślą, że mężczyzna ma być twardy. Czasem trzeba być miękkim, mit twardości bardzo nam szkodzi.

nad akademikami pokazują, że mężczyźni na tym samym stanowisku mają dużo więcej wolnego czasu niż kobiety, czyli mają czas na hobby, bycie z ludźmi. Ojcowie, powróćcie do swoich dzieci, przestańcie się chować za instynkt macierzyński, bo on nie istnieje.

To mit, że mężczyźni go nie mają, też mają prolaktynę, oksytocynę, spadek testosteronu, czyli są mniej agresywni. Ich organizm krzyczy do dziecka: „Jestem z tobą, kocham cię, jestem do ciebie przywiązany!”. Kapanie malucha i płacenie alimentów to dość małe zaangażowanie ojców. Jeżeli będą robić pół tego, co matki, to matkom będzie lepiej, ojcowie będą mieli relacje z dzieckiem, a dziecko się dowie, że ma ojca. I wreszcie: badania nad depresją poporodową pokazują, że konieczność wprowadzania farmakologii może spaść o kilkadziesiąt procent, gdy oprócz matki jest obecny opiekun (np. ojciec).

Co na to mężczyźni?

– Reagują bardzo źle. Prezentując te wyniki, jestem wyzywany od faszystów i lewaków. Przecież stara zasada mechaników mówi: „Jak coś działa, nie psuj tego”. Dla nas, ojców, to szalenie wygodne, że kobiety muszą zasuwać, ale nie dość, że gubimy w tym nasze dzieci i nasze partnerki, to jeszcze sami siebie gubimy. Mężczyźni na wykładach kłócą się ze mną, że instynkt macierzyński istnieje. To przypomina trochę debatę mężczyzn na temat praw reprodukcyjnych kobiet. Instynkt macierzyński wymyślił mężczyzna, który był rasistą, seksistą, popierał eugenikę i pisał w pracy z począt-

ku poprzedniego wieku, że instynkt macierzyński jest zabijany przez edukację kobiet, że nie powinny one się kształcić, tylko zostać w domach.

Nie znaleziono dowodu, że instynkt macierzyński istnieje, proponuję go zamienić na instynkt rodzicielski. Nasze organizmy krzyczą, a samce ssaków naczelnych uczestniczą w wychowaniu także nieswoich dzieci; samica nie zajmie się sierotą, bo ma swoje potomstwo. Samce alfa nie są, jak twierdzi wielu instagramowych celebrytów, agresywnymi despotami, ale są koncylacyjne, są wybierane przez grupy i nie należą do tych „chamów, co trzymają samiec za łeb”.

Samotność może być jedną z przyczyn wysokiej liczby samobójstw wśród mężczyzn. W 2022 r. popełniono w Polsce 5018 samobójstw, przy czym życie odebrało sobie 4261 mężczyzn.

– Od ponad 100 lat dla wygody chowamy się za „instynktem macierzyńskim”, ze stratą dla wszystkich. Najdłuższe badanie szczęścia, tzw. badanie harwardzkie, pokazało, że najdłużej i najszczęśliwiej żyją ci, którzy mają szczęśliwe relacje z innymi. Jeżeli zestawimy to sobie z największym procentem samobójstw, który jest wśród mężczyzn, to może ▶

Wojciech Kulesza – doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu SWPS, kierownik Katedry Psychologii Społecznej. Zajmuje się zjawiskiem mimikry, nierealistycznym optymizmem oraz medycznym fake newsem. Pasjonuje go psychologia miłości. Autor m.in. książki „Efekt kameleona”. Członek Rady Festiwalu Nauki. Ojciec dwóch prawie dorosłych córek.

► wróćmy do naszych partnerek, nawet byłych (biorąc połowę ciężaru wychowania), uczestniczymy w życiu naszych dzieci, bo gdy będziemy starzy, wspomnienia bycia blisko z naszymi dziećmi i świadomość, że miałem szczęśliwe życie jako ojciec, będą ważne. Proste wskazniki: w Stanach pytano mężczyzn i kobiety, czy mają przyjaciół, jeżeli tak, to czy mówią im, że ich kochają. Mężczyźni mówią to dwukrotnie rzadziej. Czy dzielisz się emocjami? Oczywiście, że nie. A czy przytulasz się do tej osoby? Nie. Kobiety za każdym razem dwukrotnie częściej, czasem z jeszcze większą częstotliwością, mówią „tak”.

Jak zaradzić tej męskiej izolacji?

– Żeby mężczyźni czuli się mniej samotnie, niech zaczną być między ludźmi. Ale słyszą (od matek, partnerek): „Nie bądź jak baba”. „Baba” jest emocjonalna, przytula się, ale gdy spojrzymy na czterolatka w przedszkolu, jak się żegna z przyjacielem, to się całują, płaczą za sobą. Potem są

się robi ludziom, ale to zmienia nas. Chodzi o to, że zamiast wpatrywać się w telefon, zaczynamy zwracać uwagę na innych. Skądś się biorą nasze relacje społeczne, przyjaźń, przywiązanie, poczucie spełnienia. Bycie miłym, dobrym dla ludzi powoduje, że ćwiczę uważność na innych i wtedy czuję się mniej samotny, jestem w stanie wymienić rozmowy, które odbyłem. Wśród tych ludzi może być jakiś nasz przyjaciel, ktoś bliski.

Czyli powrót do życia na żywo, tu i teraz?

– Właśnie! Jest taki pakiet ćwiczeń, który kiedyś przetłumaczyłem jako „magiczne pięć godzin”. Chodzi o skalę tygodnia, o kilka rzeczy, np. codziennie rano rozmawiamy, choćby o tym, jaki będzie twój dzień. W związku romantycznym, kiedy zamieszkaliśmy razem, to śniadanie jedliśmy godzinę, a teraz nie mamy pięciu minut, żeby usiąść i wypić kawę. Podobnie z dzieckiem: odbieraliśmy z przedszkola, rozmawialiśmy o głupstwach, ale rozmawialiśmy,

– Tak! Przepraszam starszą panią, że jej to powiem, że sobie pozwolę na tę poufałość, i mówię np., że nadzwyczajnie wygląda, uzasadniam, że ma wszystko pod kolor. Ludzie to dobrze przyjmują, a to jest wstęp, bo miło coś dobrego usłyszeć o wyglądzie albo zachowaniu, na swój temat. Nie pamiętam, żeby za to ktoś na mnie burknął. Ja zapamiętuję ludzi, twarze, które mi dziękują i uśmiechają się, coś miłego odpowiadają. Nie bójmy się reakcji ludzi, tylko zwróćmy uwagę, jak to nas zmienia, że czujemy się bliżej ludzi, bo ich zauważamy. Jeżeli nie rozmawiam z ludźmi, to trudno, żebym się czuł blisko. Dzieciom też mówimy, jak idą do szkoły pierwszy raz: „Porozmawiaj albo wymień się kanapką czy czymś słodkim”, innymi słowami: „Zaczynaj gadać do obcych ludzi”. A sami się chowamy za mediami „społecznościowymi”, udając, że właśnie jesteśmy z innymi ludźmi.

No to mamy plan na nowy rok.

Czego by pan życzył czytelnikom?

– To byłyby długie życzenia. Ale najpierw: każde święta są dla nas, a nie my dla świąt. Jeżeli celem świąt było spożycie 12 potraw albo założenie specjalnej koszuli z reniferami, to nie są święta, tylko wypełnianie PIT, które trzeba wykonać i lepiej się nie rąbnąć w sztywnych procedurach. Pomyślmy o badaniu harwardzkim, co powoduje szczęście. To, że cieszę się, że siedzę przy stole albo leżę przy stole, bo kto powiedział, że nie można leżeć i zamówić sobie pizzy czy chińskiego jedzenia. I druga część: jak sobie składamy życzenia „wszystkiego dobrego w nowym roku”, pamiętajmy, że wszystko dobre ma jeden mianownik – ludzi, z którymi czujemy się dobrze. A teraz, po świętach, zadzwońmy do kogoś, z kim długo nie rozmawialiśmy. Jeżeli się nie pokłóciliśmy, to będzie miła chwila zdziwienia. I nie mówmy: „No dobra, to kiedyś musimy się złapać”. Weźmy kalendarz, umówmy się na spotkanie albo telefon np. co piątek. A potem sami sobie życzymy „wszystkiego dobrego” i przypomnijmy, co jest dla nas dobre – bliskie bycie z innymi.

Beata Dżon-Ozimek

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Zadzwońmy do kogoś, z kim długo nie rozmawialiśmy.

I nie mówmy: „Kiedyś musimy się złapać”.

Weźmy kalendarz, umówmy się na spotkanie albo telefon.

tego oduczani. Dbajmy o nasze przyjaźnie, także z dzieckiem, to nie tylko bycie ojcem, ale jeszcze przyjacielem. No i mała rada dla matek, żeby inaczej wychowywały synów, bo ktoś nas na tych „nieczułych nieobecnych” wychował, siłą rzeczy bardziej matka, bo ojcowie abdykowali intelektualnie. Mit samca alfa powoduje, że matki i partnerki myślą, że mężczyzna ma być twardy. Czasem trzeba być miękkim, mit twardości strasznie nam szkodzi. Mężczyźni, zacznijmy być ludźmi, a nie mężczyznami, to nam dobrze zrobi.

Co jeszcze można zrobić, by zmniejszyć swoją samotność?

– To może zabrzmieć dziwnie, ale ćwiczmy się w byciu uprzejmymi dla innych ludzi. Pewne ćwiczenie z zakresu psychologii pozytywnej polega na tym, że np. dwóm obcym osobom codziennie mówimy coś miłego. Najprościej na temat wyglądu, zachowania. Nam się wydaje, że miło

o leżakowaniu, czy kompcik był dobry, a z dorosłymi dziećmi: „Jak twój dzień?” i odpowiedź: „OK”. No więc znajdziemy czas na tę codzienną uprzejmość, zainteresowanie, mówienie miłych rzeczy ludziom, z którymi mieszkamy.

To nie znaczy „wychowanie bezstresowe”, ale dlaczego mam nie powiedzieć, że kogoś Kocham albo za co podziwiam, za co dziękuję. I wyrażanie gestów fizycznych, takich jak pogłaskanie, przytulenie. Jak byliśmy mali, przytulaliśmy się do rodziców, dlaczego się nie przytulamy teraz? Nie wypada? To jest kulturowe, a nasi rodzice potrzebowali się przytulać i my potrzebujemy się przytulać, pogłaskać kogoś po głowie, wziąć za rękę, pocałować w policzek, wreszcie pójść na randkę. Może być romantyczna, może też być przyjacielska.

Mówić miłe rzeczy. Jak to przyjemne!

JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY



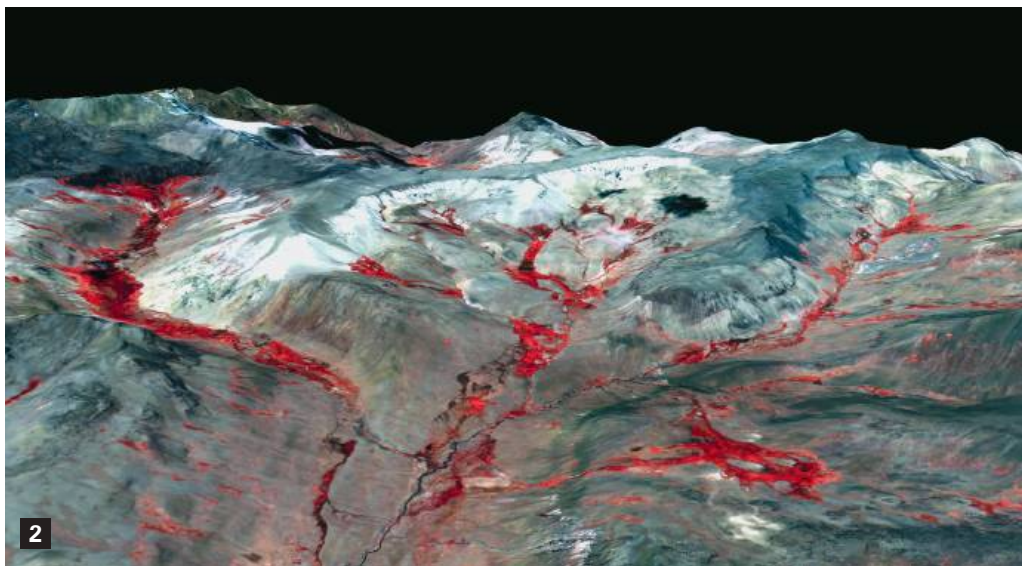
DZIESIĘĆ KULTOWYCH WYPRAW

1

Za moimi plecami pół wieku wielobarwnej podróży. Zawsze na zasadzie – jak najdalej od uczęszczanych szlaków. Żyłem bez granic i nieraz myślę, że moje porywające istnienie można uznać za arcydzieło sztuki, które stawia mnie w szeregu obłądnie uprzywilejowanych. Niczego nie dostałem w spadku, byłem menedżerem własnego sukcesu, osobiście pisałem scenariusz mojej egzystencji. Twierdzę, że życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzałem rezygnować z niczego, co mi się należy. Któregoś dnia, niczym grom z jasnego nieba, dotarło do mnie, że moja metryka jest bardzo zakurzona i nadszarpnięta zębem czasu. Denerwuje mnie też, że zegar tak szokująco szybko teraz tyka i że kartki kalendarza muszę zrywać w pośpiechu. Zdaję sobie sprawę z tego, że czas jest bardziej ulotny i każdy kolejny rok staje się krótszy od poprzedniego.

Dzisiaj na zakończenie roku dokonuję życiowego bilansu najbliższych sercu wypraw.

JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
odkrywca źródła
Amazonki, twórca
survivalu w Europie;
www.palkiewicz.com





1. Ponadczasowa Bali (2019), podróż życia, pierwsze prawdziwe wakacje z Lindą.
2. Odkrycie źródła Amazonki (1996).
3. Misja ekologiczna kosmonautów w Syberii (1994).
4. Trans Borneo, pośród Dajaków, łowców głów (1986).
5. Na biegun zimna: Jakuck-Ojmiakon (1989).
6. Magiczny Angkor.
7. Pierwszy raz biały człowiek u Janomami (1978).
8. Szkolenie jednostek antyterrorystycznych w skrajnych warunkach.
9. Atlantyk solo (1975).
10. Bora-Bora, nieuchwytny czar i szczególna atmosfera egzotyki.



Kornel Wawrzyniak

Rosnącą popularność gier planszowych można zauważyć na każdym kroku. Nie chodzi tylko o półki w księgarniach czy sklepach (choć w dużych marketach gry potrafią zająć już nawet połowę objętości działu z zabawkami). W większych miastach od kilku lat pojawiają się specjalistyczne sklepy, a nawet kawiarnie, w których można kupić planszówki lub pograć ze znajomymi na miejscu w ulubione gry. Powiększają się również kolekcje gier w prywatnych domach.

Urodzaj

Czynników stojących za tak ogromną popularnością planszówek jest wiele. Specjalistyczne portale zajmujące się tym typem rozrywki sugerują, że chodzi o mnogość tytułów i ich różnorodność. I rzeczywiście wśród najpopularniejszych planszówek można dziś wymienić nie tylko gry rodzinne czy towarzyskie, ale też rozbudowane strategie, skomplikowane gry logiczne czy tzw. RPG (ang. *Role Play Gaming*, w których odgrywa się i rozbudowuje postaci). Popularne są również gry detektywistyczne, w których odtworza się pracę śledczych, operując nawet na spreparowanych przez twórców aktach spraw czy taśmach z przesłuchań.

Dziś gry planszowe zachwycają nie tylko treścią, ale i wykonaniem. Nad tytułami pracują znakomici graficy, a kolejne wydania tytułów popularnych wśród fanów rzucania kostką potrafią się zmieniać na prośbę graczy. Są nawet fani konkretnych twórców, którzy piszą scenariusze do gier i ich mechanikę, czyli idee określające podstawowy cel danej gry. Kilku projektantów planszówek, jak Stefan Feld (znany z Zameków Burgundii) czy Bruno Cathala (Abyss, Pięć Klanów) mają status gwiazd rocka w świecie gier planszowych. Każdy z nich reprezentuje charakterystyczny styl projektowania rozgrywki. Obaj są ikonami w swoim fachu. Cathala tylko w ostatniej dekadzie stworzył aż 12 tytułów.



FENOMEN PLANSZÓWEK

Niegdyś Monopol, chińczyk czy warcaby. Dziś gry planszowe to skomplikowana, wielogodzinna rozgrywka, której fanów przybywa

Również w Polsce prężnie rozwija się branża planszówek. Szczególnie triumfy Polacy odnoszą w samej produkcji. – W Polsce mocno rozwinął się sektor produkcji gier planszowych. Jesteśmy takim miejscem w Europie, w którym produkuje się prawie najwięcej, jeśli nie najwięcej gier. Można spokojnie wymienić co najmniej sześciu-ośmiu producentów, którzy skupiają się wyłącznie na produkcji gier planszowych, przyjmując zamówienia nie tylko z Polski czy z krajów Unii Europejskiej, ale z całego świata – tłumaczył portalowi Money.pl Marcin Ropka specjalista ds. gier firmy Ateneum, jednego z największych polskich dystrybutorów gier planszowych.

Szacuje się, że europejski rynek gier planszowych w 2025 r. osiągnie

wartość ponad 25 mld dol. Dla porównania jeszcze w 2018 r. miał on wartość ok. 12 mld dol. Z raportu Narodowego Centrum Kultury „Polska branża gier planszowych” wynika, że bardzo trudno oszacować wartość rodzimego rynku planszówek. Autorzy zwracają uwagę, że ich twórcy nie posiadają własnych kodów PKD i gry wrzucane są systemowo w to samo miejsce co zabawki. Wyodrębnienie samych gier nie jest więc proste.

Według Marcina Ropki polski rynek gier planszowych można oszacować na ok. 600-700 mln zł. Specjalista zastrzega jednak, że mieszczą się w tym wszystkie możliwe tytuły. Również te mało wymyślne i gry dla dzieci, które w obu przypadkach niekoniecznie pasują do

obrazu współczesnych rozbudowanych planszówek, w które gra się godzinami.

Wśród Polaków planszówki są popularne do tego stopnia, że Empik zaczął organizować Festiwal Gier Planszowych. W ramach edycji z 2021 r. przeprowadzono badanie dotyczące tego, jak Polacy spędzają wolny czas. Aż 49% ankietowanych odpowiedziało, że gra w planszówki przynajmniej raz w miesiącu. Co 10. osoba twierdzi, że gra kilka razy w tygodniu. 43% osób kupuje gry planszowe raz na pół roku, a 13% minimum raz w miesiącu. Co jednak najciekawsze, to zainteresowanie grami planszowymi wzrosło rok do roku o 32%. Według Empiku najpopularniejszymi planszówkami w Polsce są Monopoly, CATAN, Rummikub, Wsiąść do pociągu oraz scrabble. – Dobrze znane klasyki wciąż cieszą się największą popularnością wśród kupujących. Oferta w kategorii planszówek stale się rozwija i gry „bez prądu” cieszą się coraz większym zainteresowaniem klientów Empiku – wskazuje Katarzyna Braksator, menedżerka Działu Zabawek i Rozrywki Rodzinnej w Empiku.

Przy jednym stole

Badania pokazują, że gry planszowe mają wiele zalet. Przede wszystkim wymagają planowania, strategii czy nawet sprawności manualnej. W 2020 r. przeprowadzono badania na uniwersytecie w Lleidzie. Ich wyniki opublikowano w „International Journal of Geriatric Psychiatry”. W toku badań wykazano, że nowoczesne gry planszowe oraz karciane poprawiają płynność werbalną, jak również zapobiegają pogarszaniu funkcji poznawczych u osób starszych.

Dodatkowo planszówki poprawiają pamięć krótkotrwałą, a także pozwalają rozwinąć elastyczność umysłową. Dzięki grom planszowym uczymy się też hamować swoje zachowania i niektóre odruchy (np. na potrzeby blefu). Według badaczy z Lleidy ta ostatnia umiejętność była wyjątkowo przydatna dla nieletnich

w spektrum ADHD, którzy obawiają się społecznego wykluczenia.

Według psychologów nawet przestrzeganie reguł obowiązujących w grach może rozwijać. Szczególnie że część mechanik w różnych tytułach jest podobna. Pozwala to na wyodrębnianie i przenoszenie pewnych kluczy z jednej gry do drugiej i wykorzystywanie wcześniej obmyślonych, sprawdzonych już strategii.

Nie sposób nie wspomnieć o tym, że gry planszowe po prostu sprzyjają socjalizacji. Większość rozgrywek wymaga więcej niż jednego gracza. Grając z innymi, siłą rzeczy wymieniamy się opiniami, strategiami albo zaczynamy rozmawiać nad stołem.

Badania pokazują, że planszówki mają wiele zalet. Przede wszystkim wymagają planowania, strategii czy sprawności manualnej.

Jeśli nie mamy wokół siebie zainteresowanych grami planszowymi, to z pomocą przychodzi internet. W sieci, a zwłaszcza w mediach społecznościowych, znajdziemy grupy, w których można umówić się na wspólne granie. To zaś może nawet sprzyjać zawieraniu nowych znajomości. Jeśli jednak mamy taki kaprys, w część gier możemy zagrać online, czy to za pomocą elektronicznej wersji gry planszowej, czy aplikacji do telekonferencji.

Wreszcie, jeśli chodzi o zalety, to gry planszowe wymagają skupienia tylko na toczącej się akurat rozgrywce. To zaś pomaga oderwać się od codziennych problemów i wpływa na redukcję poziomu stresu. Ludzie coraz chętniej sięgają po gry planszowe również dlatego, że większość dnia spędzają przed ekranami telefonów i komputerów. Według danych zebranych przez agencję We Are Social w raporcie „Digital 2022” tylko w zeszłym roku przeciętny Polak spędzał przed ekranem swojego smartfona średnio 4 godziny i 48 minut. Z badania „Życie przed ekranem. Jak wpływa na wzrok Polaków?” wynika zaś, że przed wszystkimi ekranami Polacy spędzają statystycznie 10 godzin i 26 minut dziennie. To daje aż 159 dni rocznie wyłącznie gapienia się w monitor.

Renesans lochów i smoków

Niektórzy upatrują źródła wzrostu popularności gier planszowych w wybuchu pandemii i zamknięciu ludzi w domach. Zwiększająca się popularność planszówek była już jednak widoczna na początku XXI w. Wszystko zaś zaczęło się jeszcze dawniej, 50 lat temu, kiedy wprowadzono na rynek pierwsze wydanie klasycznej dziś gry RPG Dungeons & Dragons (ang. Lochy i smoki). Jej popularyzacja w ostatnich latach pociągnęła za sobą również bum na gry planszowe. Kiedyś kojarzone z rozrywką dla kufonów, planszówki stały się zabawą

znanych i lubianych. W samo D&D grają m.in.: Jon Favreau, aktor znany z „Iron Mana” i reżyser niezwykle popularnego „Mandalorianina”, pisarz Stephen King, muzyk Marilyn Manson, reżyser Steven Spielberg, a nawet ekranowy paker Vin Diesel.

Jednak skąd ta nagła popularność gry, wydanej w 1974 r.? Odpowiedź na to pytanie brzmi... telewizja. Do pierwszego znacznego zainteresowania rozrywkami dla nerdów przyczynił się serial „Big Bang Theory” o grupie stereotypowych nieporadnych naukowców. W wolnym czasie bohaterowie grali w przeróżne gry, również planszowe. Kolejnym kamieniem milowym stała się moda na retro i lata 80. wywołana popularnością serialu „Stranger Things”. Cały serial zaczyna się zresztą od rozgrywki w Dungeons & Dragons w piwnicy domu jednego z bohaterów.

Mieszanka tych wszystkich czynników, czyli zmęczenia byciem stale online, potrzeby socjalizacji oraz mody i nostalgii, sprawiła, że gry planszowe weszły właśnie w swój złoty okres. Oby popularność analogowej rozrywki trwała jak najdłużej i odciągała kolejne oczy od ekranów.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Żart pisze się sam

Nasz humor ewoluuje, ale wciąż potrafimy śmiać się z siebie



OLGA DRENDA

– pisarka, dziennikarka
i tłumaczka

Rozmawia Jan Tracz

Potrafisz opowiedzieć żart nowo poznanej osobie?

– Tak, zdarza mi się to dość często i zawsze zdaję sobie sprawę, że wiąże się to z pewnym ryzykiem. W końcu nie znam tego kogoś i nie wiem, czy nie trafię w czuły punkt lub nie wypowiem żartu w złą godzinę. Jestem jednak w stanie to zrobić, choćby po to, aby rozluźnić atmosferę, zwłaszcza na spotkaniu autorskim lub w okolicznościach zawodowych.

Co chcesz osiągnąć, opowiadając żart?

– To ciekawe, że z góry zakładamy chęć osiągnięcia czegoś opowiadaniem żartu. Wydaje mi się, że nie zawsze musimy mieć jakiś ukryty plan. Czasem dowcip nie musi służyć niczemu, a właśnie może być odpowiednikiem tiku nerwowego, czymś, co bezwiednie przychodzi nam do głowy. Kawal może pomóc nam poradzić sobie z ciszą albo staje się efektem

ubocznym rozmowy. Słuchając rozmówcy, żartem machinalnie reagujemy na to, co ma nam do powiedzenia. Nie zmienia to faktu, że jak najbardziej można żartować z wyraźną intencją. Przykładowo Barack Obama będzie opowiadał żart, aby ocieplić swój wizerunek i przekonać nas wszystkich, że jest świetnym gościem. Natomiast Władimir Putin zacznie żartować, aby następnie podbudować swoje wrażenie gitowca, który za chwilę poderżnie ci gardło i będzie miał z tego masę frajdy. W takich przypadkach żarty rzecz jasna zawierają element groźby. **Jesteś zwolenniczką humoru sytuacyjnego czy tego, który będzie rozplanowany z góry, znacznie wcześniej?**

– Przygotowanie żartu wyhamowuje jego potencjał. Wolę raczej humor, który powstaje z powietrza, skrapla się w tym powietrzu skojarzeń i ot

tak rodzi się przy okazji. Tego rodzaju kawał jest czymś równie niespodziewanym jak np. czkawka (śmiech). Mój ulubiony rodzaj humoru to taki, który opiera się na jakiejś niezgodności, niespodziance, a nawet zaskoczeniu. Komedia sceniczna i filmowa też będzie na mnie działać, ale wciąż cenię sobie żart nieuporządkowany. Taki, który uderza (i przy tym działa) w najmniej oczekiwanym momencie.

A jak to jest z nami, Polakami?

Jaka jest definicja naszego humoru? Potrafimy śmiać się z samych siebie?

– Swego czasu miałam wiele zagwozdek i satysfakcji związanych z czytaniem ankiet na temat: czy i jakie Polacy mają poczucie humoru. One wzajemnie się zerwały. Na każdą odpowiedź, że jesteśmy bardzo zabawnym i wyluzowanym społeczeństwem, pojawiała się kontra, że jest odwrotnie. Myślę, że istnieje

coś w rodzaju polskiego odcienia humoru, choć zmienia się on w czasie. Ma sporą dawkę humoru samoponiżającego, uznawanego przez wielu za szkodliwy dla psychiki, choć dla mnie to jeden z ulubionych. Wydaje mi się, że trzeba mieć pewien dystans i świadome poczucie autoironii, aby w ogóle zdecydować się na śmianie z siebie samego. Humor to jednak ambiwalentna kwestia, więc wierzę, że odpo-

wiedzi na te pytania mogą ze sobą sąsiadować. Czasami wystarczy jakieś minimalne przesunięcie piksela w nastrojach społecznych, żebyśmy z autoironicznych zmienili się w bardzo poważnych, którzy biorą wszystko do siebie. To taka mała zmiana wiatru i ona czasami następuje. Ale jeśli już muszę wyrazić opinię, to tak, potrafimy śmiać się z siebie i są w historii lub kulturze takie momenty, że jest to znacznie bardziej widoczne. Weźmy mecze polskiej reprezentacji w piłce nożnej (śmiech).

Nasz humor jest różnicowany?

– Tak, bo dzisiaj są różne publiczności i wrażliwości. Im więcej mamy



środków i kanałów przekazu, tym więcej rodzajów humoru pojawia się w naszym życiu. Do tego część elementów związanych z humorem się upolityczniła. Choćby kabaret, jeszcze niedawno źródło czystej i niekoniecznie wyrafinowanej rozrywki, dopadło coś w rodzaju cenzury. Polsat przewencyjnie wycinał te fragmenty skeczy, które mogłyby zagrozić rządzącej jeszcze niedawno partii. Dzięki temu kabaret otrzymał drugie życie we współczesnych mediach.

A lubimy, kiedy inni to robią? Czy potrafimy jedynie pozwolić sobie na hermetyczną autoironię?

– Sami doskonale znamy swoje granice tolerancji i lepiej potrafimy sobie dokopać niż inni. Oznacza to, że wiemy, iż nie jest to realna krzywda, bo sami wyznaczamy sobie te granice. Autoironia nie jest tym samym, co pewnego rodzaju złośliwość z czyjejs strony. Kiedy ktoś podkpiwa z nas, ma to zupełnie inny wektor i wydźwięk niż żarty etniczne opowiadane przez kogoś z wewnątrz. Tym samym częściej spotyka się z protestem.

W najnowszej książce, eseju „Słowo humoru”, cytujesz Czesława Miłosza. Wspominasz, że dostrzegali u Polaków „skłonność do szubienicznego humoru”. Jego diagnoza była trafna?

– Była specyficzna dla swoich czasów, bo została postawiona wkrótce po II wojnie światowej. Miłosz odnosił się do dziedzictwa humoru, który był obecny już w międzywojniu. Wtedy popularne były makabreski, czarny humor czy generalnie dowcipy zawierające pewien element grozy. Miłosz uważał, że taki „śmiesz z pogrzebu” po wojnie oznaczał nihilizm, utratę wrażliwości, rodzaj otępienia. Ale można pytać, czy nie okazało się to psychologicznie pomocne, nie pomogło Polakom oswoić się z postwojennymi traumami.

W jaki sposób nasz humor zmieniał się w ostatnich latach?

– Paradoksalnie nie zmieniał się aż tak bardzo, bo jeżeli popatrzymy na antologię humoru polskiego bądź literaturę archiwalną, to okaże się, że humor ewoluował w mowie i wydźwięku, ale treść często pozostawała ta sama. Kiedy Polska była jeszcze krajem wielonarodowym, istniał tzw.

Olga Drenda – (ur. w 1984 r.) absolwentka etnologii i antropologii kultury na Uniwersytecie Jagiellońskim. Laureatka Nagrody Literackiej Gdynia 2019 w kategorii esej za „Wyroby. Pomysłowość wokół nas”. Za tę książkę otrzymała również nominację do Paszportów „Polityki” za rok 2018 w kategorii literatura. Publikowała m.in. w „Polityce”, „Guardianie”, „Dwutygodniku” i „Tygodniku Powszechnym”.

humor pogranicza kultur, jak nazwał to socjolog kultury Kazimierz Żygulski. Ludzie byli świadomi swoich specyfik, nieporozumień i zwyczajów, więc ten rodzaj dowcipu w ogóle nie był negatywny, choć zahaczał o różnice międzyludzkie. Nie miał wydźwięku rasistowskiego, przypominał raczej humor nowojorski. Po wojnie, już w monoetnicznej Polsce, te same żarty zaczęły być opowiadane z intencją podszytą czasem wrogością i lękiem. Tak przynajmniej twierdził Żygulski.

Humor w PRL polegał na wyśmiewaniu się z silniejszego. W jaki sposób to było w ogóle możliwe?

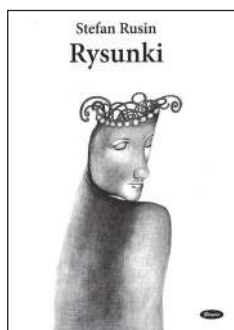
– W PRL okazało się to dość skomplikowane. Wyśmiewanie się z silniejszego było co prawda widoczne

(to, na marginesie, klasyczna zasada stand-upu), ale w granicach, na które ten silniejszy pozwalał. Wszelkie treści musiały przejść przez cenzurę, a ta była bardzo kapryśna. Istnieje przekonanie, że wtedy cenzura była po prostu „głupia” i łatwo dało się ją oszukać. To nie do końca prawda – oni częściej udawali głupich. Władzy autorytarnej na rękę jest utrzymywanie pozorów wolności wypowiedzi. Tym samym daje margines dla wypowiedzi krytycznych, który nie narusza autorytetu władzy.

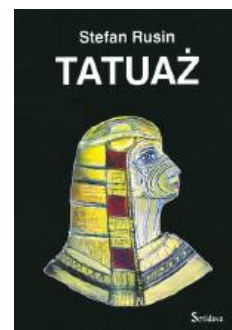
Jeszcze kilkadziesiąt lat temu twórców stymulowała cenzura. Dziś już jej nie ma, a żart stał się o wiele bardziej wyzwolony. Ale czy na pewno jest on na tym samym poziomie? A może oba rodzaje humoru są nieporównywalne?

– Dotarłam do wielu treści związanych z humorem opozycyjnym i odnoszę wrażenie, że nie zawsze były to wybitne dowcipy, w stylu Pomarańczowej Alternatywy czy Barańczaka. Wiele z nich było grubo ciosanych, więc nie wierzę, że za każdym razem cenzura stymulowała. Raczej konieczność poruszania się w języku cenzury wymagała od artystów wyuczenia się tego, co wolno robić, a co trzeba omijać, ale jakość produktu końcowego bywała różna. W pewnym sensie ▶

KSIAŻKI



Stefan Rusin
Rysunki
Glicynia,
Konin 2023



Stefan Rusin
Tatuaż
Setidava,
Konin 2023

Stefan Rusin, autor ponad 30 książek z zakresu poezji, prozy dokumentalnej czy eseistyki, a także działacz społeczny, uprawia rysunek i malarstwo pastelowe. Prezentował je na 50 wystawach indywidualnych w galeriach w całej Polsce, jego prace trafiły również do kolekcji prywatnych w USA, Kanadzie i Wielkiej Brytanii. Szersza publiczność może je oglądać na kartach tego obszernego albumu.

Wśród licznych obszarów działalności twórczej autora jest projektowanie tatuaży artystycznych. Tej dziedzinie Stefan Rusin poświęcił kolejną książkę, pochylając się nad fenomenem modyfikowania ciała w różnych epokach i kulturach. Historię obrazów na ciele wieńczą autorskie projekty artyści.

► dzisiaj mamy podobne zjawisko, ponieważ algorytmy internetowe są wrażliwe na różnego rodzaju treści. Jeśli ktoś nie chce dostać tzw. bana w mediach społecznościowych, musi przestrzegać pewnych reguł i nauczyć się nowego, sekretne go kodu językowego. Choćby dlatego o pewnej postaci historycznej w internecie mówi się „austriacki akwarelista”.

Starsi odbiorcy kultury zarzucają, że dzisiejszy żart stał się infantylny. Czy, nawiązując do słów Stanisława Barańczaka, współczesny odbiorca humoru chce, aby go intelektualnie szanowano?

– Generalnie tak i wydaje mi się, że słowa Barańczaka wciąż są żywe i aktualne. Wierzę, że odbiorca jest człowiekiem świadomym. Jeżeli oglądamy kiepską komedię, to zdajemy sobie sprawę, że jest ona niskich lotów. Decydujemy się jednak na seans tylko dlatego, że pragniemy się pośmiać z faktu, że dany film jest po prostu słaby. A to już o czymś świadczy.

Trudno sobie wyobrazić czasownik odjaniepawlać użyty za życia Jana Pawła II. Albo śmianie się z Lecha

Wałęsy. Czy wyznaczamy granice czasowe, po których pozwalamy sobie na niektóre żarty? A może cierpliwie czekamy, aż dana figura przestanie być święta?

– Solidarność nie miała poczucia humoru! Większość twórczości zaangażowanej, która powstawała w tamtych czasach, była śmiertelnie poważna. Dopiero bardziej awangardowi artyści, Totart czy Łódź Kaliska, wprowadzili trochę szaleństwa. Ale konwencja humorystyczna nie pasowała do opozycyjnego standardu.

Za to podczas prezydentury Lecha Wałęsy krążyło o nim mnóstwo kawałów, które pewnie też często sam aprobował. Dla mnie to postać z zupełnie innej planety i myślę, że nasz aparat poznawczy nie był gotowy na jego nieprzewidywalność! Dziś Wałęsa reżyseruje się sam i za każdym razem sprawia niespodzianki. On jest poza jakąkolwiek kontrolą! Jeśli zaś chodzi o papieża, to pamiętam, że przynajmniej w Krakowie, nawet gdy ktoś był niewierzący, istniała niepisana umowa niekomentowania tej postaci inaczej niż ostrożnie i z rozważą.

Potrzebowaliśmy lat, aby zyskać dystans do każdej z tych osób. To była po prostu kwestia czasu, ale żarty na ich temat były nieuchronne. Może taki jest los herosów?

A co z kinem? Czy i tu zaszła jakaś diametralna zmiana, która korespondowałaby z poruszanymi wcześniej tematami?

– Lata 90. to czas najlepszych komedii, bo wówczas opierały się na dobrych scenariuszach i świetnej grze aktorskiej. A to wystarczyło przy niskim budżecie. To się skończyło z początkiem nowego stulecia. Komedie, owszem, przyciągają dużą publiczność, ale wyłącznie te romantyczne.

Tęsknisz za rodzajem humoru z XX w.? A może odpowiada ci nowa rzeczywistość?

– Nie przyszło mi żyć w tamtych czasach i po dogłębnym researchu trudno mi stwierdzić, jak na bieżąco reagowałabym na ówczesny dowcip. Świetnie jednak się odnajduję w dzisiejszym humorze i cieszę się, że przeżywam go w tych specyficznych, ale i satysfakcjonujących czasach.

Jan Tracz



Filharmonia
Narodowa

WESOŁA WDÓWKA

31.12 – Koncert sylwestrowy

7.01 – Koncert karnawałowy

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej, plejada solistów

Łukasz Borowicz – dyrygent, Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Ferenc Lehár – Operetka *Wesoła wdówka* (wykonanie koncertowe)

Na koncerty zaprasza
Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej



Polska Grupa Energetyczna

Organizator

filharmonia.pl

MKiDN

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsor





Agnieszka
Wolny-Hamkała

Tak, ale

Jak rozpoznać anioła?

Jak rozpoznać anioła? Pytanie wydaje się zasadne ze względu na okoliczności. A może jest zawsze zasadne, może na tym polega bajer? Bo wyobraźmy sobie – tak przegapić anioła. Trochę fuck-up, trochę wstyd. To jak minąć za rogiem miłość swojego życia. Ale jak rozpracować anioła? Trzeba mieć specyficzne cechy? Talenty? Być w ciąży? Bez nogi? Połknąć ósemkę? Głosować na Razem? Zatruc się azbestem? Poeta Andrzej Sosnowski wiedział, co jest ważne: „te wszystkie mechanizmy, półautomatyczne dziewczyny, miłości zapoznane w olśniewających samochodach. Ale wiedział, jak rozpoznać anioła. Czuł pismo nosem”. Zatem wystarczy „czuć pismo nosem”? Czyli kumać bazkę? Wygląda na to, że odpowiedź trzeba sobie wymedytować, wykminić, bo anioła widzi się tylko kątem oka, a potem zaraz się go traci, jak się traci czas albo rozum.

Prior, homoseksualny bohater „Aniołów w Ameryce”, miał ułatwione zadanie. Przyjście anioła zwiastowała erekcja. „Głos cudowny. Kiedy go słyszę, staję mi”, opowiadał przyjacielowi. A co na to głos? „The Messenger has arrived”, a potem: „Nie jestem ptakiem nocy. Jestem posłańcem. Czeką nas wielka, cudowna praca, krzywej wieży przywrócimy pion, wielkie kłamstwo obalimy, wielki błąd naprawimy, prawem, mieczem i miotłą Prawdy! Jestem w drodze, kiedy się objawię, zacznij się praca. Bądź gotowy na rozstąpienie powietrza, na oddech, na wstąpienie. Chwała”. Okay, Prior nie trafił na dobrego poetę, za to na rewolucjonistę trafił! I to takiego, który/która potrafi uprawiać w powietrzu świetlisty superseks. W końcu to istoty nadrzędne względem ludzi. Przynajmniej te, które nie upadły (i wiadomo, komu teraz służą). A była to jedna trzecia wszystkich aniołów. Tak mówi Biblia.

W filmie „Twin Peaks. Fire Walk with Me” anioł stróż znika z dziecięcego obrazka, który Laura Palmer powiesiła w swoim pokoju. Według Dawida Lyncha to triumf zła. Ale w jednej z ostatnich scen przegrana głównej bohaterki zostaje złagodzona poprzez powrót anioła – scena rozgrywa się w słynnej czerwonej komnacie, symbolizującej

świadomość/nieświadomość albo zaświat. W „Dzikości serca” anioł objawia się Sailorowi po bójce ulicznej. Unosi się nad ziemią w wielkiej, różowej bańce i wypowiada kluczowe „Lula cię kocha”. A potem dodaje: „Nie bój się, Sailor. Jeśli twoje serce naprawdę jest dzikie – będziesz walczył o swoje sny. Nie odwracaj się od miłości, Sailor”. Czy te anioły są w przebraniu? Czy to kampowe diwy? Nie wiadomo. Ich manieryczność i przegięcie jest jednak w świecie filmu znane: ten z „Aniołów w Ameryce” Mike’a Nicholasa jest chaotyczny, jakby trochę „porobiony” amfetaminą, przepalony zielskiem. W końcu wcieliła się w niego Emma Thompson. Anioły Lyncha z kolei mają twarze o spojrzeniu orgazmicznym, przepojonym rozkoszą, ekstatycznym. Tony Kushner, autor sztuki, na

podstawie której wyreżyserowano film, tak opisał nadejście bożego posłańca (w didaskaliach): to „dochodzący jakby z kosmosu dźwięk podobny do meteorytu pędzącego z nieprawdopodob-

ną prędkością prosto do sypialni Priora; równocześnie ze zbliżającym się pociskiem z pokoju zostaje wysłane całe światło. Kiedy robi się ciemno, bohaterowie słyszą przerażający huk – jakby jakiś potężny obiekt zderzył się z ziemią”. Inaczej to opisał poeta Marcin Świetlicki w wierszu „Specyficzny anioł”. Umiął go rozpoznać? Czuł pismo nosem?

*Myślałem, że to śmierć, a to
nie śmierć, na pewno nie, to
prawdopodobnie jakaś była narzeczona
któregoś z byłych kolegów.*

*Albo też jakaś była barmanka z jakiegoś
byłego lokalu, no, nie jestem pewien,
napotykam ją czasem na mieście,
w tłumie, upale, patrzy na mnie i*

*wiem, kto to jest, nieomal, mam to na końcu języka,
mój język nie ma końca. Ona patrzy na mnie
uważnie, bez uczucia żadnego, to nie jest śmierć,
to coś innego, nie spojrzała dzisiaj.*



NEWSLETTER

ZAPISZ SIĘ

Otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach



Wiesław Kot

Do kina chadzamy jak klienci – po filmy gatunkowe. Thriller ma wywołać dreszczyk, horror przstraszyć, komedia rozbawić. Najmniejszą widownię gromadzą filmy, które mają wymusić refleksję. Oto cztery obrazy, które weszły właśnie do obiegu wideo i do kanałów streamingowych.

„Plan 75”, czyli niepotrzebni mogą odejść
reż. Chie Hayakawa

Dystopia made in Japan. Przyszłość ponura i bynajmniej nie odległa. Symulacja biegnie tak, że rząd oferuje seniorom „Plan 75”. Osoby, którym stuknęło 75 lat, otrzymują szansę przysłużenia się własnemu krajowi i uprzyjemnienia sobie reszty życia. Owa reszta nie



będzie długa, ponieważ program zakłada dobrowolne odejście z tego świata w zamian za hojną rekompensatę finansową w postaci 100 tys. jenów. Można ją obrócić na podróż marzeń, na jakieś ekstatyczne szaleństwo, spadek dla wnuków albo inną formę spełnienia pragnień. Gdyby pieniądze nie przemawiały dostatecznie, rząd apeluje do uczuć patriotycznych. Kiedy starcy „zrobią miejsce” młodszym, zdejmą im z barków obciążenia ekonomiczne, opróżnią miejsca pracy, a i starzejąca się populacja kraju zostanie odmłodzona. Koszt eutanazji i kremacji rząd bierze na siebie, choć już nie dodaje, że prochy zamierza wsypać do miejskich ścieków. Uruchamia też po cichu oddolną presję: znajomi,

Kino. Zaległości dla inteligenta

Śmierć przyspiesza, pociągi się spóźniają

sąsiedzi, a nawet rodzina dają 75-latkom do zrozumienia, że ci żyją kosztem innych. Że stali się materiałem odpadowym i powinni wyciągnąć wnioski.

Całkiem inaczej wygląda sytuacja od strony potencjalnych klientów programu, zwłaszcza takich, którzy czują się rześko. Ta końcówka życia jest jedyną, a więc bezcenną wartością, jaka im pozostała. Zacinają zęby i będą jej bronić do ostatka. A jeszcze inaczej czyta tę symulację widz, szczególnie starszy. Zaczyna się zastanawiać, czy rząd nie ma już w zanadrzu „Planu 65”, a może „Planu 60”? I poniżej?

**„Pierwszy dzień mojego życia”,
czyli nakręcone w trybie przypuszczającym**
reż. Paolo Genovese

Film Paola Genovesego to kolejny jego obraz z serii „co by było, gdyby...”. Genovese zaczynał w kinie od komedii obyczajowych i ubolewał, że poza Włochami nikt się na nich nie śmieje. Tak mocno osadzone były w lokalnym kontekście. Przełożył więc wajchę radykalnie. Zaczął konstruować fabuły uniwersalne, takie, które byłyby czytelne i chwytliwe pod każdą szerokością geograficzną. I to mu się udało nad podziw. Weźmy film „(Nie)długo i szczęśliwie” (2021), którego był współscenarzystą. Traktuje on o czterech parach małżeńskich. Dowiadują się, że ich ślub jest z mocy prawa nieważny, ponieważ został udzielony przez oszusta podszywającego się pod księdza. Niby to nic nie znaczy, ale skoro pojawia się w życiu taka nowa furтка, to trzeba się zastanowić, czy z niej nie skorzystać.

Wcześniej w „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie” (2016) zaproponował sytuację, w której towarzystwo gruntownie zakumplowane od lat spotyka się na zwyczajowej kolacji. By nadchodzące połączenia telefoniczne i SMS-y nie zakłócały pogawarki, umawiają się, że przestawią aparaty na tryb głośnomówiący, a SMS-y będą pokazywać wszystkim. Ostatecznie znają się jak stare konie i nie mają nic do ukrycia. Ale szybko zaczyna się okazywać, że nie, i to bardzo nie! Ta smartfonowa ekshibicja musiała dotknąć odsoniętego nerwu naszej cywilizacji, ponieważ film szybko doczekał się wielu wersji narodowych, także polskiej – „(Nie)znajomi” (2019).



W „Pierwszym dniu mojego życia” poznajemy kilko-
ro potencjalnych samobójców. Kiedy już zdecydowali
o tym ostatecznym kroku, na drodze każdego z nich
pojawia się tajemniczy Mężczyzna (Toni Servillo, „New
York Times” umieścił go na liście najlepszych aktorów
stulecia). Proponuje im rodzaj paktu: niech przesuną
ten swój ostateczny krok jeszcze o tydzień, a w tym
czasie będą mogli zaobserwować reakcję ich najbliż-
szych, gdyby doszło do samobójstwa. Jeżeli po tygo-
dniu uznają, że jest ono jednak najlepszym wyjściem,
odbiorą sobie życie. I teraz nasi niedoszli idą za swoim
przewodnikiem: ani martwi, ani żywi. Bez jedzenia i pi-
cia, bez innych objawów cielesności i niewidziani przez
innych. Pozostają zawieszeni w czasie i zyskują inną
perspektywę spojrzenia na własną sytuację. Ale nawet
z takim bonusem od losu nie jest łatwo zmienić prze-
konanie kogoś, kto czuł, że osiągnął kres. On bowiem
wdrożył się w tzw. myślenie tunelowe: dostrzega tylko
jedno wyjście.

Reżyser i aktorzy trzymają emocje na wodzy, by
oszczędzić widzowi „rozdzierających” scen depresji,
żalu, rezygnacji i rozpacz, które muszą poprzedzać tak
drastyczny krok. Ostatecznie film to tylko laboratorium,
poligon. Akcję śledzimy trochę jak pogadankę psycho-
terapeuty, trochę jak rozprawkę filozoficzną, trochę jak
ćwiczenie prawnicze. W każdym razie jak rozpatrywa-
nie kilku podobnych kazusów. Skojarzenia z „Dekalo-
giem” Kieślowskiego nasuwają się same. W rezultacie
jedni obstają przy tym, by z hukiem zamknąć księgę
własnego żywota. W przekonaniu, że i tak nie byłoby
w stanie go znieść. Drudzy zaczynają być ciekawi dal-
szego ciągu.

Puentę możemy ewentualnie dośpiewać sami. „W ży-
ciu piękne są tylko chwile”, powiada piosenka Ryszarda
Riedla, który skrócił sobie życie z własnej ręki, wku-
lując coraz to nowe dawki brudnej polskiej heroiny.
„Chwilami życie bywa znośne”, mawiała Wisława Szym-
borska. Marek Grechuta dośpiewał: „Ważne są tylko te
dni, których jeszcze nie znamy. Ważnych jest kilka tych
chwil, tych, na które czekamy...”.

„Klondike”, czyli wojna za tapetą z Hawajów

reż. Maryna Er Gorbach

Oto przekład na język filmu tych treści, które podają
dzienniki. Ukraiński „Klondike” to obraz rosyjskiej inwa-
zji na Ukrainę. Nagrodę jury amerykańskiego festiwalu
Sundance za reżyserię otrzymał 28 dni przed inwazją
Rosji na Ukrainę 24 lutego zeszłego roku. Tytuł „Klon-
dike” jest sarkastyczny, jeżeli pamiętać, że Klondike to
dawny okręg górniczy i rzeka w Jukonie w północno-
-zachodniej Kanadzie, czyli na terytorium graniczącym
z Alaską. Nazwa ta została trwale związana z odkryciem
złota w okolicach Dawson City w 1896 r. To była ta
słynna gorączka złota, którą miał za tło film Charliego
Chaplina z roku 1925.

Tu rodzinny dramat rozgrywa się w wiosce Hrabove
w obwodzie donieckim około 17 lipca 2014 r., kiedy to
kontrolowani przez Rosję separatyści zestrzelili samolot
Malaysia Airlines, lecący z Amsterdamu do Kuala Lum-
pur. Zginęło 300 osób. Zarysujemy sytuację. Przyszli ro-
dzice, Irka i Tolik, mieszkają w Donbasie, w pobliżu gra-
nicy z Rosją, na terytorium „przetargowym”. Najeźdźcy
ze wschodu burzą cały ich świat, ale młodzi ludzie nie
decydują się uciekać, tak jak wielu ich sąsiadów. Zresztą
nie mają ani dokąd, ani za co. Zostają i próbują prze-
czekać najgorszą nawałnicę. Z jednej strony, separaty-
styczni przyjaciele Tolika oczekują od niego przyłączenia
się do ich oddziałów, a z drugiej, brat Irki jest wściekły, ▶



► że oboje zdradzili Ukrainę. Irka chce wprowadzić pokój między mężem i bratem, prosząc ich o wspólną naprawę zbombardowanego domu.

Maryna Er Gorbach, reżyserka, scenarzystka, producentka i montażystka, wykorzystuje dom pary jako plan teatralny, którego ściany są dosłownie wyrwane, aby odsonić tło. Kamera wydaje się pracować zdalnie, jak telewizja przemysłowa. W scenie otwierającej film małżonkowie rozmawiają w intymnej atmosferze o zbliżającym się porodzie, dopóki pocisk moździerzowy nie eksploduje w ich salonie. Przez cały film pamiętamy, że jeszcze jeden pocisk i tego wszystkiego może nie być. Nabrzmiaty brzuch przyszłej matki, tykanie zegara, które przybliży moment narodzin nowego życia, a w tle zbliżająca się bezsensowna destrukcja.

Wojna tutaj w pewien absurdalny sposób się udomowia. Kręcący się po okolicy w poszukiwaniu pożywienia prorosyjscy separatyści to sąsiedzi, których w zwykłym życiu Irka spotykałaby na targu. Jej niechęć do nich ma mniej wspólnego z ich przynależnością wojskową, ale dużo z faktem, że odbierają jej żywność, której nie zostało wiele. I tak na pierwszy plan występuje kobiecy aspekt wojny. Dookoła wybuchają pociski, ale przecież codziennie trzeba doić krowy, odkurzać szafki i robić zapasy na zimę. „Jestem zmęczona tymi wszystkimi kłótniami w moim domu”, powie Irka w pewnym momencie. Tymczasem zatarła się granica między jej domem a brutalnym światem na zewnątrz. Rzeczy groźne a niespodziewane mogą zapowiadać zarówno chrząst opon ciężarówki wiozącej czołgi do miasta, jak i przenikliwe pianie koguta w oddali. Na ścianie, która jeszcze stoi, oglądamy tapetę z hawajskim zachodem słońca. Ta absurdalna tapeta pokazuje także, że życie, ta niepowstrzymana siła, trwa, nawet w obliczu śmierci i niewyobrażalnej brutalności.

„Na pełny etat”, czyli nie zdążę!

reż. Eric Gravel

Rzadko oglądamy filmy, które biorą pod lupę zjawiska równie oczywiste jak oddychanie. A w naszych czasach należy do takich niewątpliwie pośpiech. Pośpiech rzadko jest tematem filmów, często bywa na ekranie wypierany przez tempo. Zwłaszcza gdy oglądamy tych wszystkich szybkich i wściekłych w ich bajecznie podrasowanych samochodach, które suną przez ekran z obłądną prędkością. We francuskim filmie „Na pełny etat” mamy kogoś z przeciwnego krańca. Rzecz warto zauważyć także w kontekście wykluczenia komunikacyjnego, które obejmuje nie tylko odległą stolicę Francji, ale i dziesiątki dobrze nam znanych polskich powiatów.

Film koncentruje się na dniu powszednim Julii, która jako samotna matka, ściślej rozwódka, mieszkająca na przedmieściach Paryża, chwilowo znalazła się w fatalnej sytuacji materialnej. Pieniądze się kończą, a były mąż

nie odbiera telefonów. Julia próbuje więc zdążyć do pracy, a jednocześnie obsłużyć własne dzieci, cały czas w kieracie. Niestety, wszystko w niedoczasie, wszystko w panicznym pośpiechu, wszystko w nerwach, że się nie zdąży. Ze któreś ogniwo tego codziennego łańcuszka się zerwie i wtedy skutki będą katastrofalne. Więc Julia najmuje się na porządkową w ekskluzywnym hotelu, co jest poniżej jej kwalifikacji. To jednak jedyna praca, która jest na teraz, choć ma jeden ogromny mankament – hotel znajduje się w centrum Paryża. I teraz codziennie do centrum trzeba gnać slalomem, a już kiedy wybucha strajk na kolei, walka z zegarem i kalendarzem staje się krzywdząco nierówna.

Julia zapamiętała się tak bardzo, że właściwie nie ma już własnego życia, kieruje się wyćwiczonymi odruchami. Reaguje na najbardziej doraźne impulsy. Szerzy horyzont jej życia kompletnie zanika, czas wolny pozostaje mrzonką. Znalezienie nowego partnera to taki wydatek czasu, że po prostu jej na to nie stać. No i ta jedna niekończąca się obsesja: zdążyć, zdążyć, byle tylko zdążyć. Narzuca się wrażenie, że kobieta funkcjonuje w jakimś bałaganie, że nie umie sobie zaplanować i zorganizować życia. A prawda jest odwrotna – Julia dokonuje cudów samoorganizacji. Tyle że przygniata ją nieproporcjonalny przerost obowiązków, że czuje się przytłoczona. Julia nie żyje, ona po prostu się zużywa.

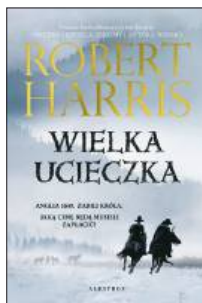


Mamy poczucie obcowania z panicznym przyspieszeniem akcji. Niemal słyszymy tętno krwi tej kobiety. Paryż może się zatrzymać na skutek strajku kolejarzy, ale ona nie może sobie na to pozwolić. A my, którzy to oglądamy, od samego patrzenia czujemy się wykończeni, jakbyśmy rozładowali wagon węgla. I to, co mężczy najbardziej – poczucie bezradności, gdy coś tam w komunikacji nie zatrybi. Wtedy ktoś nagłym szarpnięciem wysuwa nam dywan spod nóg, a my zaczynamy fikać w powietrzu bezładne koziołki. Wiemy, że za chwilę rymniemy na podłogę i nic już nie można zrobić. Nie zdążyliśmy. Zawaliło się.

Wiesław Kot

MIĘDZY OKŁADKAMI

KURTyna W GÓRĘ



Robert Harris
Wielka ucieczka
tłum. Janusz Ochab
Albatros, Warszawa 2023

Nie ma litości dla królów. Wydany w 1660 r., po powrocie na tron Stuartów w osobie Karola II, amnestyjny Act of Oblivion (od niego oryginalny tytuł książki)

nie objął tych, którzy podpisali wyrok na Karola I. Cromwell został wywleczony z grobu, reszcie groziła skrajnie okrutna publiczna egzekucja. Jeśli komuś udało się uciec za granicę, dopadali go skrytobójcy. Pułkownicy Cromwella, Edward Whalley i jego zięć Will Goffe, schronienie znaleźli aż w Ameryce, wśród purytanów w Nowej Anglii. Ale i tam nie byli bezpieczni – ich tropem autor puścił bezwzględne Richarda Naylera. To fikcyjna postać wprowadzona między autentyczne, sekretarz komisji tajnej rady, zobowiązany do postawienia zabójców króla przed wymiarem sprawiedliwości. A ma i osobisty powód, w pełni zrozumiały, by ścigać Whalleya i Goffe'a do upadłego. Jest jednak tak zajadły, że to jego ofiary, zwłaszcza starzejący się i coraz bardziej skłonny do refleksji Whalley, budzą współczucie. Harris nader znacznie ożywia przeszłość, a odmalowane przez niego fanatyzmy są dziś uniwersalną przestrogą. Podobnie jak to, że można przekarmić lud spektaklem zemsty.

Aleksandra Pańko



Adania Shibli
Drobny szczegół
tłum. Hanna Jankowska
Drzazgi, Czersk 2023

Takich ważnych, pałających głosów brakowało w polskiej przestrzeni literackiej! Bardzo dobrze, że właśnie teraz na naszym rynku pojawia się ta minima-

listyczna, głęboko humanistyczna książka, w której zwyczajne ludzkie losy spletały się z Wielką Historią. To medytacja nad mechanizmami przemocy, grozą wojny i pracą pamięci, przypominająca, że historię piszą zwycięzcy, a los ofiar okrywa milczenie. Autorka nie szuka prawdy, racji politycznej, ukazuje raczej głębię emocji i uczuć jednostki. Pisze prostym, momentami wręcz chłodnym językiem, nie ocenia i nie moralizuje, pozwala opowieści snuć się, bo przecież każda historia ma prawo wybrzmieć. Warto dodać, że powieść została nominowana do Międzynarodowego Bookera i National Book Award.

Rafał Piśkuła

Wiwiskcja

Autobiograficzna książka Emmanuela Carrère'a jest intymnym studium pogłębiającej się choroby psychicznej i zapisem prób odnalezienia się bohatera w brutalnej rzeczywistości. Francuski pisarz uczynił z „Jogi” osobisty portret rozpadu człowieka w rozpadającym się świecie. I właśnie w stronę egzystencjalnego dramatu podąża najnowsze przedstawienie Anny Smolar.

Najważniejsza jest w nim rozpisana na dwójkę aktorów, błyskotliwie rozegrana przez Michała Majnicza i Radosława Krzyżowskiego postać dotkniętego głęboką depresją oraz chorobą afektywną dwubiegunową Pisarza. Nie mniejszą jednak uwagę poświęca reżyserka bliskim Carrère'a, tworząc gęsty psychologicznie obraz skomplikowanych, ułomnych, naznaczonych bólem relacji międzyludzkich. Tłem są zaś najnowsze dzieje Zachodu – akty terroru, kryzys uchodźczy, poczucie schyłku.

Choć nie brakuje w krakowskim spektaklu scen poruszających, takich jak rozmowa Emmanuela z amerykańskim Reporterem (Łukasz Stawarczyk) o poszukiwaniu światła w gęstniejącym mroku, i dowcipnych, jak finałowy taniec, są w nim także dramatyczne mielizny. Nadmiar wątków i scen, choćby sekwencja o śmierci Psa czy przydługa projekcja wideo, sprawia, że chwilami akcja grzęźnie.

Michał Centkowski



„Joga”, tekst na motywach powieści Emmanuela Carrère'a, reżyseria Anna Smolar, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera 8 grudnia 2023



„Miłość, seks i powroty”, tekst i reżyseria Diana Karamon, Teatr XL w Warszawie, premiera 17 listopada 2023

Więcej miłości w seksie

Cechą szczególną kameralnego przedstawienia w Teatrze XL jest jego interaktywność. Publiczność ma wpływ na losy bohaterów. Bardziej przebojowi mogą nawet wziąć udział w sztuce, zastępując aktora, który ich zdaniem nie dość trafnie postąpił w kwestii miłosno-erotycznej. Tutaj aktorzy i reżyserka opowiadają o własnych doświadczeniach w związkach i wspólnie z publicznością zastanawiają się, czy w tak bliskich kontaktach nie popełnili jakiegoś błędu.

Bronisław Tumitowicz

Nagusy w winiarni

„Bachanalnia” Tycjana, czyli szukajcie erotyzmu w dziełach sztuki dawnej i bardzo dawnej

Marta Motyl

„A może by tak iść do restauracji i zjeść kolację całkiem nago?”, nęcił nagłówek na portalu Viva.pl. Zapowiadał artykuł, który wiódł na pokuszenie dziełami sztuki z gołymi i wesołymi biesiadnikami, w tym z „Bachanaliami” (1523-1526). Wzmiankował o pierwszej na świecie restauracji, w której goście mają zasiadać nago, czyli The Bunyadi w Londynie. (...)

W ikonosferze, a zatem w obrazach, które otaczają nas szerokim kręgiem w muzeach, galeriach, na ekranach kinowych i telewizyjnych, w reklamach, w internecie zbyt często

zmysłowości, lecz językiem nowego purytyzmu bądź, jak kto woli, nowej powściągliwości. Restauracja The Bunyadi nie usiłowała przyciągać klienteli wychodzeniem poza granice wstydu, dopieszczaniem wszystkich zmysłów za jednym zamachem ani smakowaniem wolności ciała i ducha. Najwyraźniej jej klientelę miał z góry omijać zarzut niemoralności, zatem postawiono na ekologiczność. (...) Goście restauracji mieli do dyspozycji przebieganie, a raczej rozbieranie, z których wychodzili uctować w szlafrokach. Sami decydowali, czy później je z siebie zrzucić. (...) Na restauracyjną listę rezerwacji zapisało się, bagatelnie, 45 tys. osób! (...)

„Bachanalnia” odnoszą się do święta ku czci boga wina Bachusa, odpowiednika Dionizosa, który podarował ludzkości ten napitek. Upodobał sobie zwłaszcza mieszkańców wyspy Andros, ponieważ za jego sprawą tamtejsza krynica zamiast wodą wytrysnęła winem. Okazuje się, że ewangeliczny cud z Kany Galilejskiej do nazbyt oryginalnych nie należał. Na obrazie Tycjana bogowie i śmiertelnicy, panowie i panie jednoczą się, świętując wspólnie w zespole w pobliżu cudownego źródła. Jedni czerpią rozweselający nektar dzbanami, drudzy opróżniają ich zawartość. Nie bez kozery „Bachanalnia” przewijają się na wszelkich listach dzieł sztuki podejmujących tematy picia, wina i picia wina. (...)

Tycjan nie zaliczał się do typowych ludzi renesansu. Nie parł się wieloma dziedzinami twórczości, jak Leonardo czy Michał Anioł.

erotyzm jest sprowadzany do trzech wzorców. A ponieważ nadal posiada ciało i twarz kobiety, skupię uwagę na kobiecych ujęciach. Pierwszy wzorec to tandeta à la XIX-wieczny akademizm, z wziętymi z niego klasycznie perfekcyjnymi Wenus wymoczonymi w pianie. Drugi to naturalizm rozwarłych na oścież warg sromowych, który przywodzi na myśl ćwiczeniówkę do biologii: „Podpisz zaznaczone elementy układu rozrodczego”. Trzeci to święta vulva, której tajemnicę radosne i bolesne poznaje się zgodnie z regułą zakonu siostrzeństwa. Zakłada rozprawianie o seksualności w żeńskim gronie, w celach urzędzonych w pastelach, z matami do jogi bez zagłębiania się w drapieżną stronę erotyzmu. (...)

Nic dziwnego, że w takim świecie o doświadczeniu nagiej kolacji w lokalu nie opowiada się językiem

Mimo początkowego zainteresowania restauracja The Bunyadi nie przyjęła się na dłuższą. O’Naturel, podobny lokal w Paryżu, po 15 miesiącach od otwarcia uskarżał się na brak zainteresowania. Także o otwartym w Bazylei Edelweiss Basel – Nudisten Lounge słuch zaginał.

Tymczasem przed pięcioma wiekami temat nagiej restauracji – a ściślej nagiej winiarni – podjął w „Bachanaliach” Tycjan z należytą tematowi sensualnością i swobodą. Popijanie alkoholu, do tego tańce i hulanki, malarz umożliwił tak głośno, jak tekstylnym, pod gołym, nomen omen, niebem. Ponadto jego wizja przetrwała do dzisiaj. Może dlatego, że wznieca swoją iskrą większą iskrę niż dzieła współczesnej sztuki erotycznej? Szukajcie erotyzmu, a znajdziecie go w dziełach sztuki dawnej i bardzo dawnej.

Kompozycja dzieła składa się z szerokiej palety barw oddawanej dużymi grupami koloru, które zostały sobie przeciwstawione. Niebiańskie i morskie błękity kontra drzewiaste i trawiaste zielenie, biele bladych ciał kontra brązy ciemnych karnacji. Zdjęcia rentgenowskie nie kłamią – Tycjan nie szkicował, Tycjan od razu przystępował do malowania, co w jego czasach było rozwiązaniem śmiałym i nowatorskim. Tworzył obraz, zaczynając od zamasyzowanej podmalówki, następnie nakładał jasne partie kompozycji i brał się do figur. Cztery pociągnięcia pędzla na jedną piękną postać? To podobno mu wystarczało!

Wbrew pozorom poszczególne partie ciała zawsze modelował starannie, co zaznacza jego uczeń, Palma il Giovane: „Nigdy nie malował postaci alla prima (czyli bez podmalówki, przyp. M.M.) i zwykł był mawiać, że ten, kto improwizuje, nigdy nie stworzy idealnego wiersza”. Tym samym, choć w Tycjanowskich kompozycjach sylwetkom brakuje konturów, mają one wyraźnie określone formy. (...)



Tycjan (Tiziano Vecellio), „Bachanalia”, 1523–1526

„Bachanalia” to kompozycja prze-myślana. Postaci, mimo że rozhula-ne, wcale jej nie roznoszą, ponieważ zostały zebrane w porządkujące je półkole. Osoby na bliższym planie leżą, na dalszym stoją, toteż nikt nie zastania nikogo. Co więcej, jeśli któ-raś sylwetka wychyla się w prawo, wzrok widza zaraz natyka się na prze-ciwwagę, czyli sylwetkę wychylającą się w lewo. (...) Machina dzieła funk-cjonuje bez zarzutu także w kwestii różnicowania odcieni i tonów kolo-rów. Skąd tenże porządek? Możliwe, że Tycjan zastosował w malarstwie zasady właściwe muzyce.

Zwróćmy uwagę na partyturę le-żącą na ziemi przed panienką z fle-tem w dłoni. Zawiera ona melodię wraz z francuskimi słowami wiele mówiącymi o upojnym charakterze zgromadzenia nad strumieniem. „*Qui boit et ne reboit pas, ne sait que boire soit*”, kto pije mało, nie wie, czym jest picie, głoszą. Na dworze księcia Alfonsa d'Este w Ferrarze, zleceniodawcy „Bachanaliów”, muzykował wówczas Adrian Willaert. I właśnie jemu przypisuje się autor-stwo utworu z obrazu, nawiązują-cego zresztą do muzyki starożytnej.

Mamy w nim do czynienia z fugą/ka-nonem, czyli z wielogłosem w trak-cie jednej melodii. Kolejni wokaliści włączają się do chóru dopiero po upływie określonego czasu. Zaczyna głos zwany propostą, odpowiadają mu riposty. A jako że utwór Willaerta to *canon per tonos* (kanon spiralny, inaczej okrężny, modulujący), w jego trakcie następują przejścia głosów,

„Bachanalia” przewijają się na wszelkich listach dzieł sztuki podejmujących tematy picia, wina i picia wina.

czyli ich modulacje, przez różne ska-le (tonacje) dźwięków. Czyżby za-tem Tycjan zaczerpnął paletę swojej kompozycji malarskiej z kompozycji muzycznej? (...)

Wskutek winnego upojenia nie-ktorzy uczestnicy święta życia po-tańczyli, a niektórzy polegli – co mo-że się wiązać z ostrzeżeniem przed nadmiernym spożyciem. Wśród tych drugich należy wyróżnić starca, ulu-lanego na drugim planie, i młodą kobietę, ululaną na planie pierw-szym. Choć w jej przypadku ostrze-żenie wcale nie musi odwozić od

udziału w popijawie. Nagie ciało uśpionej zbyt pięknie płynie białą falą obok czerwonej fali strumienia. (...) Jasnowłosa, apetyczna przez krągłości i przybraną pozę, apa-tyczna przez wyraz twarzy, model-ka nawiązuje całą sobą do kanonu Tycjanowskiej piękności. Uwielbiali go kolekcjonerzy. Z nie mniejszym uwielbieniem odtwarzali go kolej-ni artyści, przedstawiciele późnego renesansu weneckiego. Giorgio Va-sari, współczesny Tycjanowi, na wi-dok ululanej wzdychał w te słowa: „Śpiąca naga kobieta, tak piękna, że wydaje się jak żywa”. Słynna „Wenus z Urbino” (1538), u której stóp rze-czony pan V. pragnął wylegiwać się niczym psiak (mający to szczęście na obrazie), to przy fałującą uosobienie skromności!

Kim jest owa wychwalana pod niebiosa przez niego kobieta? Śpią-cą królową? Właściwie tak. Odnosi się bowiem – bardziej lub mniej – do Ariadny. Według mitologii królew-na Ariadna została porzucona przez Tezeusza na Naksos, nie na Andros. Stąd jedne interpretacje z punktu wykluczają, że to właśnie ją wyma-lował Tycjan, i identyfikują rozkosz-ną naguszkę z nimfą, bądź co bądź postacią z orszaku Bachusa. Pasuje? Pasuje! (...)

Obecnie jako źródło wiedzy o ba-chanaliach często gęsto wykorzystu-je się tekst rzymskiego historyka Ty-tusa Liwiusza. Według niego Dionizje

przywędrowały do Rzymu z Etrurii za pośrednictwem greckiego kazno-dziei. Część współczesnych badaczy zgadza się z Liwiuszem, inni prostują, że Rzym przejął winne wierzenia nie z Etrurii, lecz z Kampanii, a jeszcze inni wskazują na oba regiony za jed-nym zamachem. Istnieją sugestie, że obecność Dionizosa nad Tybrem wy-nikła ze znacznie bardziej prozaicz-nej przyczyny, to jest z klęski głodu. Senat włączył wówczas Dionizosa, Korę i Demeter do zbioru czczonych bogów w celu zapewnienia plonów, najlepiej obfitych. (...)

W kolejnym, znacznie bardziej sensacyjnym, nie tylko dla historyków, wątku, Liwiusz przedkłada, że początkowo w misteriach bachicznych brały udział tylko i wyłącznie panie, które uczestniczyły w obrzędach inicjacji przez trzy dni w roku. Jednak kiedy kapłanką nowego kultu została Annia Paculla z Kampanii, przeprowadziła – rzecz jasna z woli Bachusa – reformę. Odtąd wtajemniczenie miało trwać dni 60 i było dozwolone także dla panów. Nie było powodu, by odmawiać im szczęścia w świecie doczesnym i zbawienia w zaświatach. Czyciele Bachusa zbierali się w lesie Stimula na stokach Awentynu. Nowych wyznawców przyciągały na bachiczne zgromadzenia również darmowe jado i napitek. Ośmielone nocą i winem,

wreszcie mogli (p)okazać swój bunt. Natomiast erotyzm i mistycyzm, przynależne owym rytuałom, pozwalały im oderwać się od nieprzyjaznej rzeczywistości ku wolności. Z tym że Gallini wygrzała swoje teorie w wysokiej temperaturze młodzieżowej kontestacji, seksualnej rewolucji i feministycznej emancypacji właściwej nie rokowi 186 przed Chrystusem, lecz rokowi 1968 jak najbardziej naszej ery.

Dlatego jej tezie przeciwstawił się Robert Turcan, historyk, wskazując, że społeczne niezadowolenie nie było w ówczesnym Rzymie manifestowane seksradikalizmem. Chociaż rzeczywiście, rzymskich konserwatystów, obrońców rzymskich obyczajów, obrzędy ku czci Bachusa mogły szokować.

Zdjęcia rentgenowskie nie kłamią – Tycjan nie szkicował, od razu przystępował do malowania, co w jego czasach było rozwiązaniem śmiałym i nowatorskim.

Iedwo co dobrane pary heteroseksualne, nawet kazirodcze, ale także homoseksualne, oddawały się cudzołóstwu. (...)

Liwiusz miał, oj miał!, bujną wyobraźnię, lecz jego narracji nie można odmówić spójności. Co więcej, udział w tego typu zgromadzeniach przypisywał całkiem sporej grupie ludzi, w której mieli znajdować się nawet najwyżej postawieni w społeczeństwie nobile. Komisja śledcza, nagrody dla informatorów, procesy sądowe, wreszcie czystka, której ofiarą według Liwiusza padło 7 tys. osób (!), ostatecznie odwołał Rzymian i Rzymianki od wysławiania Bachusa. (...)

W 186 r. p.n.e. Senat zakazał bachanaliów (z bardzo nielicznymi wyjątkami). Clara Gallini, antropolożka i etnolożka, ubrała powyższą historię w szaty atrakcyjne dla współczesnych. Wskazała, że na zgromadzeniach bachicznych zbierali się przedstawiciele ówczesnego marginesu społecznego: kobiety, niewolnicy, wyzwolenicy, cudzoziemcy. Niezależność od oficjalnych struktur państwowych była dla nich nie lada gratką. W poczuciu wspólnoty

Obecnie do erotyzmu przypisywanego bachicznym misteriom badacze podchodzą z większą ostrożnością. Na przykład Walter Burkert nadmienia, że tak jak w wielu obrzędach inicjacyjnych nie składano prawdziwych ludzkich ofiar, lecz przedstawiano śmierć symboliczną, tak symbolika seksualna pozostawała w rytuałach tylko i wyłącznie symboliką. Owszem, miała oddziaływać na uczucia wyznawców Bachusa, lecz bez bezpośredniego naruszania integralności i intymności ciał. Ponieważ niewtajemniczeni nie mieli pojęcia, co począć z niezrozumiałymi dla nich symbolami, natychmiast przypisywali wtajemniczonym rozpustę nad rozpustami. (...)

Tycjan (Tiziano Vecellio) przyszedł na świat między 1488 a 1490 r. Skąd to „między”? Wrażliwy na punkcie upływu czasu artysta, pytany o datę swoich urodzin, sznurował usta. Swój wiek ukrywał również pod piuska, którą przykrywał przedczesną tyśnię. Pochodził z Pieve di Cadore w regionie Veneto, czyli z niewielkiego miasteczka położonego ponad 100 km na północ od

Wenecji. (...) Urodził się jako pierwszy z pięciorga potomków Gregoria i Lucii Vecellich. Rodzina należała do zamożnych. (...) Państwo Vecelli szybko zauważyli talenty zarówno pierwszoroznego, jak i jego brata Franceska. Posłali synów do Wenecji, skąd pochodziła Lucia, żeby tamże rozwijali plastyczne zdolności. (...)

Tycjan nie zaliczał się do typowych ludzi renesansu. Nie parł się wieloma dziedzinami twórczości, jak Leonardo czy Michał Anioł. Nie brzdąkał na lutni jak Giorgione albo Sebastiano del Piombo. Daleko mu również było do prowadzenia intelektualnych dociekań, w których lubowali się twórcy odrodzenia. A jednak malarz był z niego nadmiar. I dzięki swojemu podejściu do pędzla i palety przeszedł do historii sztuki. Zachowało się ok. 300 jego dzieł. „Zachowało się”, ponieważ część obrazów Tycjana – jako artysty międzynarodowego – przepadła w transporcie: zatapiała, zasypywana lawinami, pochłaniana płomieniami. Te trzy setki stanowią owoc ponad 80-letniego żywota malarza rekordzisty. Także w długości i skali kariery.

Tycjan zmarł w 1576 r. Jego zwłoki złożono w kościele Santa Maria Gloriosa dei Frari, tym samym, dla którego namalował pamiętne „Wniebowzięcie”. (...)

Imię Tycjana odmieniane jest przez wszystkie przypadki nie tylko w historii sztuki czy – ogólniej – kultury. Zagościło nawet w branży kosmetycznej. W ślad za naszym artystą fryzjerzy na całym świecie farbują kobiece włosy na tycjanowski blond, tycjanowską czerwień i inne odcienie ulubionej przez niego rudości. Czy ich klientki wiedzą, że inspiracją jest w tej kwestii Ariadna vel nimfa vel bachantka z „Bachanaliów”? (...)



Fragmenty książki
Marty Motyl
*Sztuka świętowania.
Od Ostatniej wieczerzy
do Maskarady,*
Lira, Warszawa 2023

Miotła (pierwsze dni)

Szybko poszło. Radosław Sikorski nie błąka się po MSZ. Gdy tylko wszedł do gmachu, stanowiska stracili dyrektor służby zagranicznej Piotr Rychlik i dyrektor generalny służby zagranicznej Maciej Karaśński. Zastąpił ich (dlaczego nas to nie dziwi?) Rafał Wiśniewski. Jeden z ulubieńców Sikorskiego.

Z dyrektorskim stanowiskiem pożegnał się kierujący Departamentem Strategii Polityki Zagranicznej Jacek Reginia-Zacharski, którego Zbigniew Rau ściągnął do MSZ z Uniwersytetu Łódzkiego. Nie ma też dotychczasowego szefa Biura Spraw Osobowych Pawła Baki (wiadomo, kadry najważniejsze). Zmiany są także w Biurze Kontroli i Audytu (wiadomo, ufaj i kontroluj). Nie ma co się dziwić – to biuro rozpoczęło kontrolę w kadrach, poza tym ma na głowie audyt na placówkach w sprawach wiz. Zmienili się również szefowie Departamentu Ameryki oraz Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu.

Tych zmian jest więcej, wynotujmy więc dla odmiany, co się nie zmieniło. Witold Spirydowicz, resortowy weteran, wciąż kieruje Departamentem Europy.

Nie zmieniło się też inne przyzwyczajenie ministra – nadzwyczajna sympatia do dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. Rzecznikiem prasowym MSZ został Paweł Wroński, chyba od zawsze z tym dziennikiem związany. W historii ministerstwa będzie to już czwarty dziennikarz „Wyborczej” na stanowisku rzecznika. Pierwszym był Krzysztof Śliwiński. Z tym że on z funkcji zastępcy redaktora naczelnego „GW” wyjechał jako ambasador do Maroka i dopiero po powrocie z Rabatu został skierowany do kontaktów z mediami.

Potem był jeszcze pełnomocnikiem rządu ds. kontaktów z diasporą żydowską. A w roku 2000 wyjechał jako ambasador do RPA.

Drugim rzecznikiem był Marcin Bosacki. On z kolei do MSZ przyszedł w roku 2010 i po trzech latach wyjechał jako ambasador RP do Kanady. Potem poszedł w politykę, był senatorem, a dziś jest posłem PO.

Trzeci był Marcin Wojciechowski. Sikorski w 2013 r. jego właśnie ściągnął na funkcję rzecznika, gdy Bosacki wyjechał do Kanady. I wszystko przebiegało według znanego schematu, bo w sierpniu 2015 r. Wojciechowski został mianowany ambasadorem RP na Ukrainie. Za późno! To już był czas Andrzeja Dudy, a potem zwycięstwa PiS, więc pod koniec roku 2015 postanowienie o nominacji Wojciechowskiego zostało przez Witolda Waszczykowskiego uchylone. Ale całkiem z niego nie zrezygnowano – został wysłany do Mińska jako radca odpowiedzialny za kontakty z mediami. Dobrze się spisywał, został zastępcą ambasadora, obecnie zaś jako chargé d'affaires kieruje placówką.

I teraz dochodzimy do clou wywodu: na jaką placówkę za dwa lata wyjedzie Paweł Wroński? (Czy będzie się nadawał – to już inne pytanie). Ma on to szczęście, że Sikorski raczej nie zwodzi swoich współpracowników. W przeciwieństwie do Raua, mającego na sumieniu co najmniej kilku ludzi, którym coś obiecał, a potem słowa nie dotrzymał. Jeżeli jesteśmy już przy rzecznikach, to np. Łukasz Jasina miał obiecane stanowisko ambasadora, a potem już „tylko” szefa Instytutu Polskiego w Londynie. I nawet tego Rau nie załatwił.

Attaché



W pogoni za kurczakiem.
Park tygrysów syberyjskich
w Hailin w północno-
wschodnich Chinach.
17 grudnia 2023 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- gramofon
- wstęgowana odmiana chalcedonu
- jasne piwo z angielskiego pubu
- romeo na drodze, Centauri na niebie
- żalotnik przed kamerą
- dyletantyzm, niezawodowość

- jasnogórski – wieczorna modlitwa
- szczytowy punkt, maksimum
- w niej tablice z Dekalogiem
- larwa, stadium rozwoju pszczoły
- pojazd na tory

- owocowe nadzienie naleśnika
- unijna waluta
- miała imieniny w Wigilię
- jego kwiat zachwylił chlebobdawców ogrodnika
- śliwka w kulce z ciasta
- Klakier Gargamela lub Sylwester
- ...albo kurka wodna
- cyberoszust może ci je wyczyścić
- dyscyplina Gortata i Sochana
- ogórek do beczi
- ...główna – sztab naczelnego dowódcy
- wielki, niezgrabny powóz
- „...leśnych ludzi”
- leń, obibok

- do 100 albo baranów
- 1 dm sześć. cieczy
- statek na zamrażniętej wody
- skrzydło bez silnika
- 1 mln V
- ...wybrany – Żydzi
- nauka o układzie nerwowym
- bezsilność, brak energii
- berbeć w powijkach
- rajski, Oliwny lub botaniczny
- Nogajska – tatarski związek plemienny
- królewicz trojański, uprowadził Helenę
- farciarzowi obcy
- owalna, dmuchana tódz
- setna część, odsetek
- oponent z nim się nie zgadza
- bardzo mały pies pokojowy
- z niej pozyskiwane metale

- wielka, pełna mleka śniła się kotkowi
- ...niewiniątek
- tylna część spodni
- narząd oddechowy ryb
- świątynia wyznawców judaizmu
- potrzasać nią to grozić
- spalonej ziemi lub salami
- zbiór praw judaizmu
- ...Banan z powieści i serialu
- powściągliwość, brak przesady
- państwo z dwiema Karolinami
- dzikie z piosenki Grechuty
- andrzejkowa przepowiednia
- rzecz zabezpieczająca spłatę długu
- ropne zapalenie na palcu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

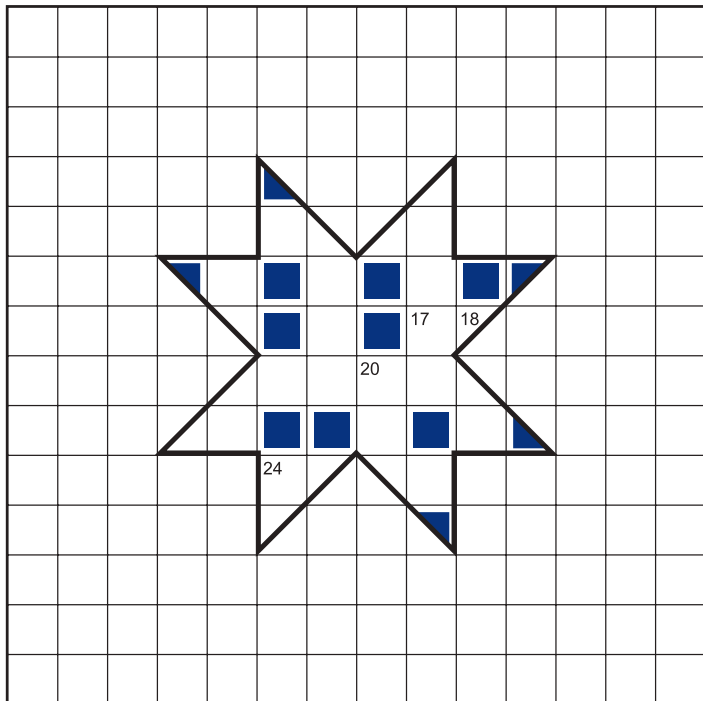
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1149”. Do rozlosowania książki „Lady Susan. Sanditon. Watsonowie” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 stycznia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1146” z nr. 49: *Afrontu kobieta nie zapomina.* Nagrody otrzymują: Jolanta Pawlik z Bytomia, Teresa Szukielowicz z Międzyrzecza, Krystyna Wiśniewska z Bełchatowa.

Rozmieszczenie części numerów i zaciemnionych pól w diagramie należy ustalić samemu.



Poziomo:

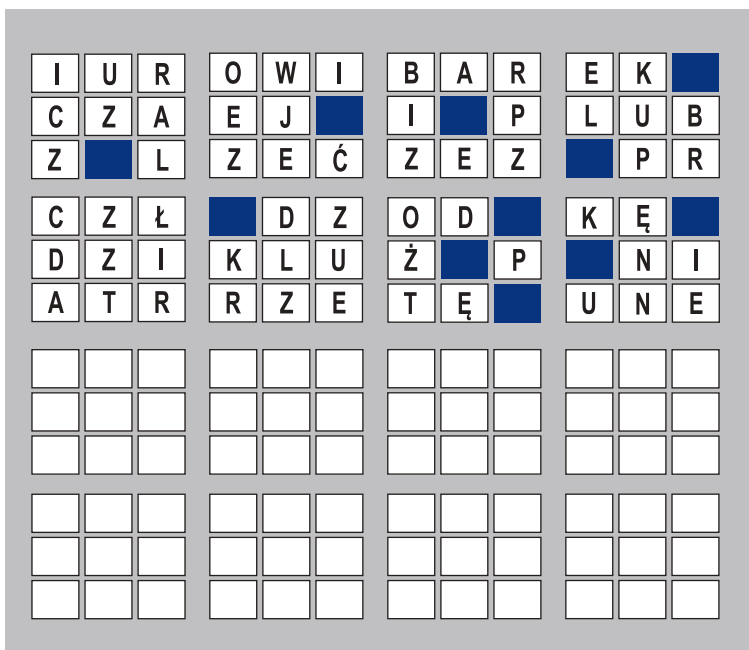
- 1) podróżowanie z machaniem
- 9) tytułowany magnificencją
- 10) literackie wychwalanie, sławienie
- 11) odchylenie się boksera
- 14) leczy metodami niekonwencjonalnymi
- 15) Durczok albo Stoch
- 17) królowa Gruzji lub Łempicka
- 19) miał lampę z dżinnem
- 21) pochylenie tułowia podczas ćwiczeń
- 23) ochronka, bidul
- 25) walijski lub szkocki wśród psów
- 26) usunięcie z kraju, relegowanie
- 27) Przybora lub Mordasewicz
- 28) Tadek z wierszyka Chotomskiej

Pionowo:

- 2) przepisowy ubiór, mundur
- 3) kierowanie na coś reflektorów
- 4) państwo z Dodomą
- 5) w worku Mikołaja lub pod choinką
- 6) brytyjski harcerz
- 7) po zdjęciu papilotów
- 8) sztuczne złoto
- 12) uzupełnianie zasobów wody w glebie
- 13) cząstka czegoś, odrobinka
- 16) prowadzi wywiad z respondentem
- 18) mieszkanka Leeds, Manchesteru
- 20) piekarnicze lub winiarskie
- 22) kawał chłopa, mięśniak
- 24) ...Rommel, dowodził Afrika Korps

ROZSYPAŃE MYŚLI

Ustaw kostki z literami w takiej kolejności, aby rzędami poziomymi odczytać aforyzm. Zaciemnione pola oznaczają przerwy między wyrazami.



Rozwiązania na s. 65

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

8		7		9	6			
				8		3	9	
2				4	6	7		8
							7	
3	7	8		6		2	1	
1	2			7				
		4		5	3	1		2
		3	7					5
	5					9	6	

TRUDNE

5	3			4			7	
	8				9			6
		2			3		5	
3		9		8	1	6		
			3	6	7			9
			9					3
				1	6			5
7	5	4			2		6	
6						8		

GDY WYCHODZISZ Z DOMU



I NIE WIDZISZ POLICYJNYCH
RADIOWOZÓW



SAM ODEJDĘ. MAM SWÓJ HONOR I GODNOŚĆ



PODKOMISJA DZIAŁA DALEJ



ZA ROLĘ W "DEMONSTRACJI W OBRONIE TVP"

JAN PIETRZAK OTRZYMAŁ OSCARA

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. EWA ŁĘTOWSKA,
PIERWSZA RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH

Czy odbyła pani jakąś rozmowę z gen. Jaruzelskim? Jeśli tak, to jakie wywarł on na pani wrażenie?

– Miałam chyba dwie takie rozmowy. Wrażenie zrobił na mnie dobre. W pierwszej rozmowie pytał o to, jak widzę urząd rzecznika praw obywatelskich. A ja, jak pierwsza naiwna, zeznawałam mu szczerze, jak na spowiedzi: że uważam, iż powinno być tak i tak, przekazując mu moją książkową wiedzę o działaniu ombudsmenów. Generalnie tego słuchał w ciszy i na końcu, jak by to ująć, pobłogosławił mnie na drogę. Oczywiście miałam świadomość, że jeśli w czasie urzędowania udało mi się coś tak, a nie inaczej przeprowadzić – jeżeli w ogóle – to dzięki określonej sytuacji międzynarodowej: pierestrojka, Gorbaczow itd. Wślizgnęłam się w szczeliny możliwości. Dbałam, aby te szczeliny dostrzegać i w nich się rozpychać.

**MONDE
diplomatique**

ANNE-DOMINIQUE CORREA,
PUBLICYSTKA

Poza granicami Salwador najczęściej przypomina gigantyczne więzienie. 26 marca 2022 r., po prawdopodobnym zerwaniu rozejmu, kraj przeżył najkrwawszy dzień od dwóch dekad: ponad 62 osoby zmasakrowały gangi M-13 i Barrio 18. Następnego dnia Bukele ogłosił stan wyjątkowy. Od tego czasu policja patroluje ulice, a całe miasta otoczyło wojsko. Ponad 60 tys. osób uwięziono, co czyni z Salwadoru kraj o najwyższym wskaźniku zatrzymań na świecie. Wskaźnik uwięzienia w Salwadorze wynosi 1068 osób na 100 tys. mieszkańców. W obliczu eksplozji populacji więziennej rząd, po ekspresowej budowie, zainaugurował 2 lutego 2023 r. „centrum przechowawcze dla terrorystów”, aby pomieścić 40 tys. dodatkowych więźniów.

zwierciadło

PROF. JOANNA HAŃDEREK,
FILOZOFKA I ETYCZKA, UJ

Prawda jest taka, że my też jesteśmy zwierzętami, gatunkiem pośród innych gatunków i mamy ze światem zwierząt dużo wspólnych cech. Tak samo boimy się śmierci, tak samo chcemy kochać, tak samo potrzebujemy być przytuleni, zaopiekować się naszym młodym. To jest dostrzeżenie pokrewieństwa, przywrócenie nam naszej zwierzęcości, budowanie nam świadomości równościowej. Jako *Homo sapiens* paroma zaledwie genami różnimy się od szympansov czy bonobo. Gdy mówimy, że pies czy kot nas kocha albo czuje się opuszczony, wprowadzamy właściwy język emocji, dajemy sobie też szansę na rozpoznanie istoty relacji pomiędzy nami i zwierzętami.

1STYL

KRZYSZTOF HOŁOWCZYK,
KIEROWCA RAJDOWY

Trzeba zasuwać, nie oszczędzać się i cieszyć się każdą chwilą. Oczywiście patrzeć raczej do przodu, nie w tył. Ale nikt nie żyje w przyszłości, żyjemy teraz. Dlatego trzeba wycisnąć „dziś” jak cytrynkę. Na tym się koncentruję. Kto wie, czy będzie jutro? Ale może taka refleksja przyszła do mnie nie ze względu na wiek. Trzy lata temu miałem raka pęcherza, na dodatek całkiem sporego. Życie pogroziło mi palcem. Nagle zrozumiałem, że już nie godzina, ale każda minuta jest cenna. Dlatego wróciłem do czynnego sportu, bo bez tego nie potrafię żyć.

ROZWIĄZANIA

A	U	T	O	S	T	O	P	S	L	
T	N	S		A	R	E	K	T	O	R
O	P	I	E	W	A	N	I	E	A	K
M	F	I	Z	Z	U	N	I	K		
B	I	O	T	E	R	A	P	E	U	T
A	R	T	N	N	W	W				
K	A	M	I	L	I	T	A	M	A	R
N			A	L	A	D	Y	N	D	L
S	K	L	O	N		R	G	N	E	
I	S	I	E	R	O	C	I	N	I	E
T	E	R	I	E	R	Z	E	A	Z	
J	T	L	W	Y	D	A	L	E	N	I
T	J	E	R	E	M	I	Z	K	I	K
R	K		N	I	E	J	A	D	E	K

ŁATWE

8	4	7	5	3	9	6	2	1
5	6	1	2	7	8	4	3	9
2	3	9	1	4	6	7	5	8
4	9	6	3	2	1	5	8	7
3	7	8	9	6	5	2	1	4
1	2	5	4	8	7	9	6	3
9	8	4	6	5	3	1	7	2
6	1	3	7	9	2	8	4	5
7	5	2	8	1	4	3	9	6

TRUDNE

5	3	6	1	4	8	9	7	2
4	8	7	2	5	9	1	3	6
9	1	2	6	7	3	4	5	8
3	7	9	5	8	1	6	2	4
2	4	8	3	6	7	5	1	9
1	6	5	9	2	4	7	8	3
8	9	3	7	1	6	2	4	5
7	5	4	8	9	2	3	6	1
6	2	1	4	3	5	8	9	7

C	Z	Ł	O	W	I	E	K		B	A	R
D	Z	I	E	J		L	U	B	I		P
A	T	R	Z	E	Ć		P	R	Z	E	Z
	D	Z	I	U	R	K	Ę		O	D	
K	L	U	C	Z	A		N	I	Ż		P
R	Z	E	Z		L	U	N	E	T	Ę	

Aby język giętki...

KATARZYNA BONDA O SOBIE

Nie znoszę, jak mi ktoś wyjada z talerza. Niczym się nie dzieję, muszę mieć wszystko swoje.

MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ O RODZINIE

Żona wybiła mi z głowy głupoty, a ojcostwo zmieniło. Nagle obudziłem się z fantazji.

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA

O PRIORYTETACH KOALICJI

Liberalizacja prawa antyaborcyjnego to musi być absolutny priorytet tej koalicji.

ANDRZEJ LEDER O WROGOŚCI W POLITYCE

Wrogość jest wpisana w życie polityczne. Nie ma polityk, które funkcjonują bez pewnego stopnia wrogości.

JOANNA SZCZEPKOWSKA

O FELIETONACH W „WYSOKICH OBCASACH”

Kiedy moje poglądy okazały się niedostatecznie skrajne, za mało było w nich „zaściśniętej pięści”, to mnie z tych felietonów wyrzucili za... własne zdanie po prostu.

WILHELM SASNAŁ O KARKACH

Chodzi mi o pewien mental, nabuzowanie, złość, prymitywizm w złym znaczeniu.

LECH WAŁĘSA O ŁOWIENIU RYB

Łowię tylko tyle, ile potrzebuję dla siebie. Potem sam je przyrządzam, oskrobuję. Wszystko robię sam.

GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA

O CÓRCIE KATARZYNY

Jak była mała, śpiewałam jej na dobranoc „Czerwone maki na Monte Cassino”. A potem Kasia śpiewała je, usypiając Karolinę.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogol-Kiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz

Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub

Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz

Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław
Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporter: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie
prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogło-
szeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy
publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest
zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej
od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowie-
dzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Panna młoda



Kosmonauta w sukience



Panna młoda, jednorożec i inne światy

Julia Curyło

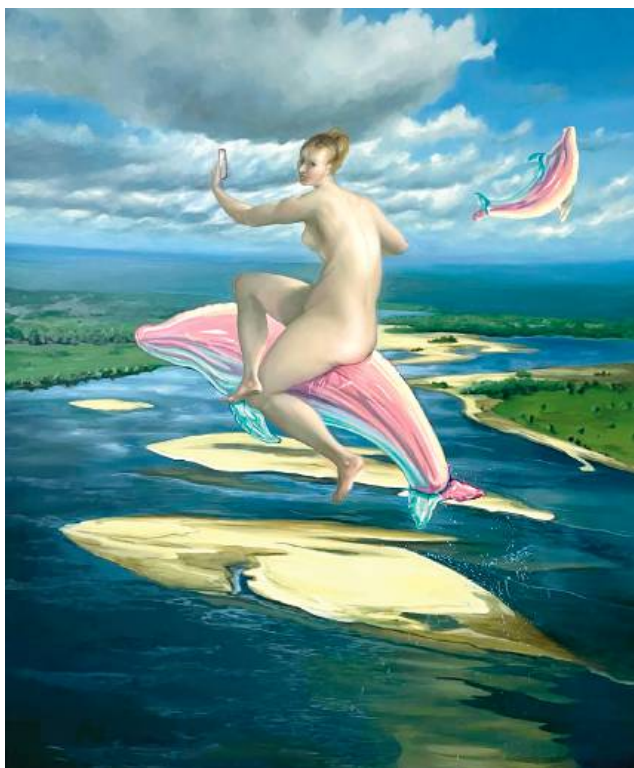
Panna młoda z czaszką, kosmonauta w sukience czy jednorożec to motywy, które pojawiają się na nowej wystawie Julii Curyło. Artystka analizuje w swoich pracach stosunek człowieka XXI w. do wiary, mistyki i religii. Problem skomercjalizowania sfery religijnej, obecność w niej popkultury, a także estetyka kiczu towarzysząca wierze katolickiej to kwestie, które szczególnie ją interesują. Używa ikonografii ze świata popkultury, gadżetów produkowanych tanio i masowo, jak np. dmuchańce, nawiązuje także do przedstawień z historii sztuki, stosuje cytaty i pastisz. Inteligencja i humor cechują narracyjne kalambury, jakie w malarskich kompozycjach zamyka ta wyjątkowa artystka. W lekkiej, igrającej z kiczem, kolorowej formie dotyka bardzo poważnych problemów i czule patrzy na to, jak wyposażeni w zabawkowe idee próbujemy sobie radzić z rzeczywistością. Ze szczegółami oddaje stypizowane i pozbawione wyrazu twarze, jaskrawe kolory, charakterystyczne gesty.

Do 5 stycznia

Warszawa

Galeria Fundacji im. Bolesława Biegasa

Al. Jerozolimskie 51



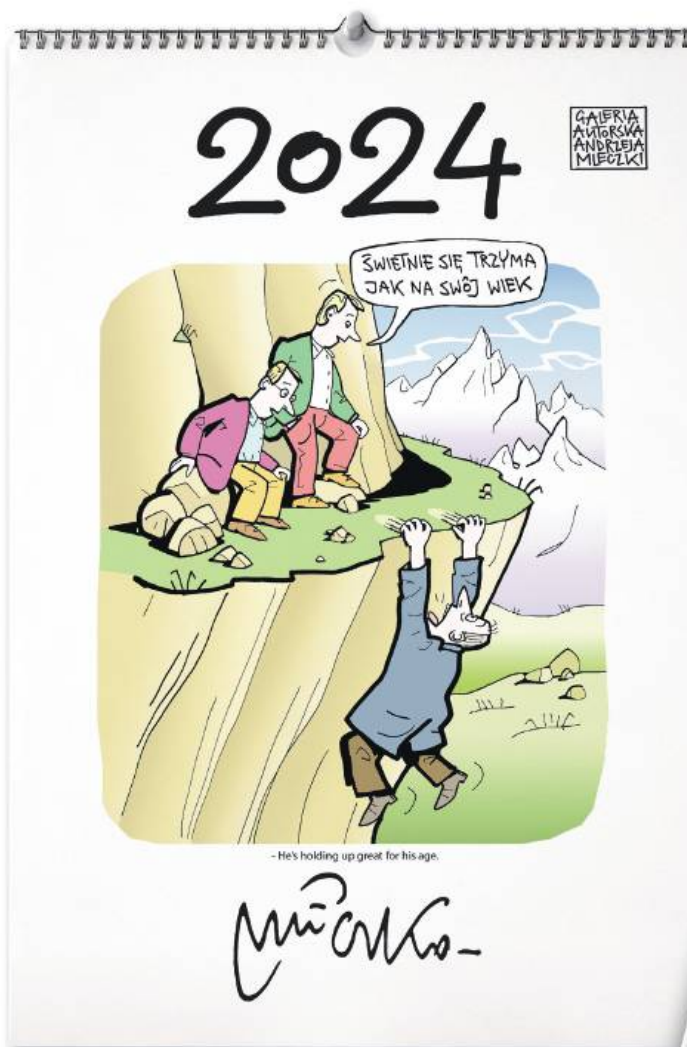
Wenus na różowym delfinie



Milky way

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GALERIA
AUTORSKA
ANDRZEJA
MLECZKI



KALENDARZ ŚCIENNY



KALENDARZ BIURKOWY



NOWY ALBUM:
"BIZNES, SEX, POLITYKA"



 sklep.mleczko.pl

CASTING



REŻYSERIA MATEUSZ ATMAN I AGNIESZKA JAKIMIAK

SCENARIUSZ EMILIA FLORCZAK, MACIEJ KARBOWSKI, MICHAŁ KASZYŃSKI, KAMIL KSIĄŻEK, HELENA RZAŚA, IGA SZUBELAK, HANNA WOJTÓŚCISZYN, AGNIESZKA JAKIMIAK, MATEUSZ ATMAN

CHOREOGRAFIA OSKAR MALINOWSKI | PRZESTRZEŃ MATEUSZ ATMAN I NINA SAKOWSKA | KOSTIUMY NINA SAKOWSKA | OPRACOWANIE MUZYCZNE MAREK ZAWADZKI

WYSTĘPUJĄ EMILIA FLORCZAK, MACIEJ KARBOWSKI, MICHAŁ KASZYŃSKI, KAMIL KSIĄŻEK, HELENA RZAŚA, IGA SZUBELAK, HANNA WOJTÓŚCISZYN

ASYSTENTURY ALEKSANDRA BRATKOWSKA, AGATA KROŁOW, DOMINIK RUBAJ



TEATR

PREMIERA 12 STYCZNIA 2024
GRAMY 13, 14, 16, 17 STYCZNIA 2024

TCN.AT.EDU.PL

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM | Miodowa 22/24

kasa czynna stacjonarnie: wt. do pt. w godz. 15:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 15:00 – 17:00 (lub do rozpoczęcia spektaklu)

telefonicznie: wt. do pt. w godz. 11:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 13:00 – 17:00 pod numerem telefonu 662 155 960

e-mail: kasa@e-at.edu.pl | tel. 22 635 99 39 lub 662 155 960 | tcn.at.edu.pl | kicket.com

Spektakl dyplomowy
studentów IV roku Akademii Teatralnej
im. A. Zelwerowicza w Warszawie.
Kierownik akterstwa:
specjalność aktorstwo dramatyczne



Patroni medialni



Partnerzy Teatru

